

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA
Gdańsk
Waly Jagiellonkie
24

26379



ZYGMUNT WASILEWSKI

OBYS' ŻYŁ
W CIEKAWYCH
CZASACH

210

ZYGMUNT WASILEWSKI

OBYS ŻYL W CIEKAWYCH CZASACH



• PAX •

WARSZAWA





Mjr Zygmunt Wasilewski

ZYGMUNT WASILEWSKI

**OBYS ŻYŁ
W CIEKAWYCH
CZASACH**

Z PAMIĘTNIKA ADIUTANTA
(1939-1945)

INSTYTUT WYDAWNICZY „PAX“

Okladkę i stronę tytułową projektował
TADEUSZ NIEMIRSKI

K 1993/58



26379

884-3

„Obyś żył w ciekawych czasach“

(Przekleństwo chińskie)

OD AUTORA

Zdziwić może czytelnika żartobliwy ton dominujący w notatkach. A oto wytłumaczenie: poczucie humoru to przecież nic innego jak poczucie proporcji. A proporcji nie było. Tak nam się przynajmniej zdawało. Imperium Francuskie, Związek Radziecki, obie Ameryki, Imperium Brytyjskie, Afryka, Australia, Kanada, Indie i podbite narody Europy — to nasza strona, tamta — Niemcy, Włochy i Japonia. Japończycy? e! nie liczą się: takie jakieś małe, żółte, w okularach, a zresztą tak daleko... Włosi? e! też się nie liczą: nawet Austria, którą wszyscy bili, jak chcieli, ich biła, jak chciała!

Nie, nie dadzą nam rady! Proporcji nie ma — można się uśmiechnąć.

Nawet tragiczne dni upadku Francji i ucieczka z niej tylko na krótko wytrąciły nas z równowagi. Wtedy wierzyliśmy jeszcze słowom premiera Reynaud, że Francuzi walczyć będą w koloniach, walczyć będą na całym świecie, walczyć będą wszędzie tam, gdzie walczyć będziemy my. Byliśmy pewni, że w dniu, w którym podpisano zawieszenie broni, na Kanale La Manche ukażą się tysiące łódek, kajaków i balii, w których wszyscy Francuzi płynąć będą na „Wyspę Ostatniej Nadziei”, aby walczyć nadal, a na pierwszej dwuosobowej balii z żaglem pruć będą fale Kanału Pétain i Weygand, krzycząc na całe gardło: „Vive la France, vive l'Entente Cordiale, allons enfants de la Patrie!”

Nie, nie pruli. Balie potrzebne były do prania: strach

ma swoje prawa. Ale zamiast balii zobaczyliśmy wkrótce setki amerykańskich konwojów ze sprzętem wojennym. I to jakim!

No i znów proporeji nie było, znów mogliśmy się śmiać, i to całą gębą!

Zaistniał co prawda moment, że brak proporeji nie był śmieszny, ale wprost tragiczny: 100 : 0 na korzyść Niemców! Moment ten to końcowa faza „Battle of Britain”. To moment, gdy po ostatnim masowym nalocie bombowców Luftwaffe obrona przeciwlotnicza Wyspy praktycznie już nie istniała, gdy nowych Spitfirów zostało tylko siedem, gdy z resztek trzech eskadr myśliwskich z trudem tworzone jedną niepełną, gdy dogorywał Londyn, gdy Anglia była już właściwie bezbronna.

To moment, w którym oczekiwano jeszcze jednego, dwóch nalotów. Byłyby one ostatnie. To nie ulega wątpliwości.

No tak, ale o tej tragicznej sytuacji nie wiedzieliśmy i, na szczęście, nie wiedzieli chyba o niej Niemcy! Czym bowiem wytłumaczyć, że wtedy, właśnie wtedy, zrezygnowali z pewnego już knock-outu, zrezygnowali z inwazji i przestali latać?

A więc uśmiechaliśmy się nawet wówczas.

Brak wiadomości z Kraju lub wiadomości przeraźliwe — nie załamały nas również: ich brak nie oznaczał jeszcze nieszczęścia, a podtrzymywał nadzieję, wiadomościom strasznym nie wierzyliśmy na ogół, były bowiem zbyt straszne, zbyt nieprawdopodobne, aby człowiek o zdrowym umyśle, człowiek normalny — mógł w nie uwierzyć.

Całe to szczęście zresztą, że żyliśmy nadzieją i uśmiechem, cóż bowiem byłaby warta w boju armia zrezygnowana, zapłakana, apatyczna i smutna?

Oto wytłumaczenie, dlaczego połowa kartek tej książki jest w obwódkach różowych, mimo że druga jest w czarnych.

W POLSCE

Małaszewicze, 31 sierpnia 1939 r.

Majora Ratajczaka, komendanta Bazy, spotkałem na szosie tuż przy lotnisku. Poznałem go z daleka, więc pozapinałem się na wszystkie guziki, naciągnąłem rękawiczki i szybkim krokiem poszedłem na jego spotkanie.

— Panie majorze, melduję uprzejmie swój przydział na dziesięciodniowe ćwiczenia.

Major się zmarszczył, przyglądał mi się przez chwilę w milczeniu, wreszcie rzekł:

— W wojsku, panie kapitanie, należy meldować się posłusznie nie zaś uprzejmie — proszę to sobie zapamiętać.

— Tak jest, panie majorze, ale proszę mi pozwolić pozostać uprzejmym, nie tylko posłusznym.

Ucałowaliśmy się „z dubeltówki“, albowiem major był moim przyjacielem.

Po krótkiej pogawędce — „ano w takich czasach, niech ich cholera weźmie, jak twoje zdrowie, niech ich diabli, co słyhać, ale dostaną w kuper...“ itd. — poszliśmy na lotnisko.

Z wielką ciekawością obejrzałem luksusowe koszary, piękne hangary, nieśmiało dotknąłem ogona groźnego „Łosia“...

Zameldowawszy się w kancelarii Bazy i przedstawwszy się różnym oficerom funkcyjnym, poszedłem

do kasyna. Spotkałem tam wielu przyjaciół i starych kolegów. Między innymi kapitana Józka Wyrzykowskiego, z którym razem kończyłem Szkołę Podchorążych.

Józek jest dobrej myśli. W wojnę nie wierzy. „No, a gdyby nawet, to przydział będziemy mieli na razie spokojny, bo Brześć to daleki «hinterland»“.

Zadaniem brzeskiej Bazy jest zaopatrywanie w materiał techniczny eskadr pracujących w polu i szkolenie załóg na ich uzupełnienie.

Wysłuchawszy komunikatów radiowych, poszedłem na kwaterę, która mieściła się w gabinecie przyjęć naczelnego lekarza(!).

Małaszewicze, 1 września 1939 r.

Spałem źle. Siennik był za twardy — poduszka za mała. Poza tym śnił mi się kościotrup, którego rysunek, obok mapy Berlina i okolic, wisiał w nogach łóżka. (Berlin mi się nie śnił.) Około 5 rano obudził mnie warkot silników lecącego wysoko samolotu.

„Jeżeli o tej porze są już w powietrzu, to o której oni wstają? — pomyślałem zaniepokojony. — Ładna perspektywa! Przez dziesięć tygodni mam się zrywać o świcie! Nie, nie dam rady. Trzeba będzie coś wykombinować.“

Powoli wstałem, umyłem się i stojąc w oknie, zacząłem dopasowywać maskę gazową, których kilkanaście znalazłem na szafie.

Naraz przed oknami budynku zobaczyłem samolot, defilujący na pół-gazie na wysokości około 30 metrów. Sylwetka samolotu nie była mi znana. Kadłub długi i cienki, z przodu oszklona kabina, znaków żadnych, podwozie wciągnięte.

Okna były otwarte. Z sąsiedniego pokoju usłyszałem następujący dialog:

— Ty, co to za samolot?

— Cholera go wie. Ni to „Łoś“, ni to „Żubr“. Pewnie jakiś francuski.

Ledwo przebrzmiały te słowa, zrobiło się prawdziwe piekło: wraz z ogłuszającym rykiem silników rozległ się huk wybuchających bomb, posypało się szkło wypadających szyb, drzwi wyrwane z zawiasów runęły do pokoju.

Złapałem dopasowaną przed chwilą maskę i jednym skokiem znalazłem się na korytarzu. Lecz w tej samej chwili rozległ się huk jeszcze straszliwszy, poczułem wyraźnie, jak cały budynek się zachwiał i pęd powietrza rzucił mnie o ścianę. Upadłem na podłogę, zasypaną tynkiem i gruzem. Bomba wybuchła wewnątrz domu o kilka metrów ode mnie. Przyłgnałem do podłogi, zakryłem głowę rękami i ledwo żywy ze strachu oczekiwałem na dalsze wybuchy. Panowała jednak zupełna cisza. Po chwili dopiero usłyszałem z zewnątrz krzyki: „Pali się, pali się!“

Nagle poczułem jakiś silny, lecz dosyć przyjemny zapach. Wrzasnąłem instynktownie „gaaaaaz!“ i w jednej sekundzie, nie oddychając, założyłem maskę.

Przez korytarz przebiegło dwóch żołnierzy. Byli już w maskach. Wyglądali potwornie. Obaj pokrzwieni i biali od kurzu i tynku.

Wybiegłem na dwór. Samoloty niemieckie, które przeprowadziły bombardowanie z lotu koszącego, znikają już w oddali, nabierając wysokości.

Dokoła biegali żołnierze zupełnie bezradni. Ktoś później określił, że „wszyscy się czuli jak dupy na szczudłach“. Ma to być podobno szczyt bezradności...

Spojrzałem na lotnisko. Przed hangarami stało w ogniu osiem samolotów. Kilkunastu przytomniejszych żołnierzy biegło na pomoc. Wtem ktoś krzyknął: „Lecą!“

Spojrzałem w górę. Na wysokości 3 000 metrów leciały z kierunku Brześcia cztery trójki srebrnych Dornierów.

Ile sił w nogach puściłem się w kierunku bramy i jednocześnie z wybuchami pierwszych bomb skryłem się w opłotkach wsi leżącej po drugiej stronie szosy.

Położyłem się w trawie i obserwowałem bombardujące samoloty i niecelny ogień naszej OPL.

Kilka bomb trafiło w hangary, z których dwa się zapaliły, kilka dalszych w szosę w pobliżu mojej „kryjóWKi“.

Straty mieliśmy dość duże. Dwunastu żołnierzy poległo, trzydziestu pięciu było rannych. Spaliło się kilkanaście samolotów i cztery samochody. Zostały uszkodzone trzy budynki.

Wieczorem z Brześcia przyjechał generał Kleeberg. Pochodził po lotnisku, obejrzał szkody, a później miał do nas przemowę: — ...Sami widzicie, moi drodzy, jaki Niemcy mają tandetny materiał. Dwadzieścia pięć procent bomb nie wybuchło.

Małaszewicze, 2 września 1939 r.

Wszystkie zdadne do lotu maszyny ukryliśmy w okolicznych folwarkach. Cały dzień upłynął spokojnie. Dopiero pod wieczór przyleciała dziewiątka i rzuciła około stu bomb. Obeszło się bez strat.

Byłem w Brześciu, żeby pobrać z magazynów mobilizacyjnych pistolety dla oficerów i starszych podoficerów. Pistoletów mi nie wydano, bo nie nadszedł jeszcze odpowiedni rozkaz.

Twierdza i miasto zapchane są wojskiem i jadącą do oddziałów rezerwą.

Małaszewicze, 3 września 1939 r.

Dwukrotny nalot. Jeden żołnierz został zabity, trzech rannych. Złapano dwóch szpiegów. Ponieważ byli głodni, dostali kolację z dwóch dań i odesłaliśmy ich do twierdzy. Deseru nie dostali, cholery. Za karę! Dobrze im tak.

Znowu byłem w Brześciu po pistolety, ale rozkaz jeszcze nie nadszedł. Kupiłem sobie laskę.

Przeniosłem się na kwaterę do wsi. Gospodyni,

Tekla Tymoszuik, była bardzo zadowolona. „Teraz, panoczku, to ja już się nie boję“. Nie mogę tego powiedzieć o sobie, ale Tekla ma rację: kilka bomb upadło na wieś i w połowie ją spaliło. Nasza chałupa, to jest Tekli i „moja“, ocalała, mimo że wszystkie sąsiednie poszły z dymem. Pierwsze padło ofiarą pożaru gospodarstwo Józefa Baniuka. Wiadomo dlaczego: „Ot, widzicie, panoczku, nie wierzył Baniuk w Boga, to i ma!“

Sliczne i wygodne za rok lub dwa miało być nasze lotnisko. Dla oficerów luksusowe wille, dla żołnierzy elektryczne kuchnie. Nie mówiąc już naturalnie o dębowych posadzkach i centralnym ogrzewaniu. Są to rzeczy wprost konieczne. Tak samo konieczne, jak sztafowe róże i płaczące wierzby.

Przewidziana również była budowa schroniku, owszem, ale później, po wierzbach...

A tymczasem kazano nam się przenieść do piwnic i tam „urzędować“. Zniesiono do podziemi biurka, żelazne puste szafy, papier, suszki i atrament. Okienka zabito deskami, żeby nie wiało. Na podłogach położono maty, żeby nie „ciągnęło“. Najgorzej, jak „ciągnie“. Można się zaziębić. Ale chyba nikt się nie zaziębi, ponieważ nie zdąży. Jak tylko trąbią na alarm, a trąbią co pięć minut, każdy ile sił bryka z „Alkazaru“ w pole.

Małaszewicze, 4 września 1939 r.

Dzisiaj znów poległo dwóch żołnierzy, a kilku zostało ciężko rannych.

Nie mamy żadnych wiadomości z frontu. Łączność przeważnie nie działa. Nawet do Brześcia trudno się dodzwonić, mimo że pocztowcy, prawdziwi bohaterzy, pracują pod bombami, wiążąc pozrywane druty.

Małaszewicze, 5 września 1939 r.

Przeżyliśmy bardzo ciężki dzień. Około godziny 8 rano przyleciało osiemnaście Dornierów. Niemcy czuli

się zupełnie bezpiecznie: ani artyleria nie strzelała, ani nie było myśliwców. Co najmniej pół godziny kręcili się nad lotniskiem, obrzucając bombami wszystkie cele po kolei.

Ponieważ syreny zawyły za późno, jednocześnie z hukiem pierwszej bomby — nie zdążyłem już bryknąć w pole i przebywałem w „Alkazarze“ przez cały czas bombardowania.

To były okropne chwile. Bezbronni i bezradni, czekaliśmy jak na egzekucję, która zdawała się być nieunikniona. Słyszać było tylko warkot silników, gwizd i huk bomb.

To nieprawda, że w takich chwilach przebiega się myślą całe swoje życie. Nieprawda! Myśli się tylko o jednym: trafi czy nie trafi? I — jak tu się wykręcić?

Oprócz kilkunastu żołnierzy, oczekiwały na egzekucję dwie maszynistki, kilka kobiet z kasyna i mały psiak, który siedział w kącie, trząsł się i wył. Kobiety śpiewały. Był to okropny widok i okropny śpiew.

Na przeciwległym krańcu lotniska poległo sześciu żołnierzy. Zginął również kapitan Wyrzykowski. Ten sam, który nie wierzył w wojnę i który uważał Brześć za spokojny „hinterland“.

Małaszewicze, 6 września 1939 r.

Przez kilka godzin zatrzymała się na naszym lotnisku, w przelocie do Pińska, eskadra „Łosi“.

Jeden z oficerów opowiadał nam o nalocie, jaki eskadra przeprowadziła na niemiecką kolumnę pancerną na szosie, gdzieś w okolicy Różan.

Z powodu braku zapalników odpowiednich do lotu koszącego, nalot przeprowadzono z samobójczej wysokości — 1200 metrów!

Zapytałem porucznika, który leciał w pierwszej maszynie, jakich wrażeń doświadczał lecąc pod tak silnym ogniem.

— Wyobraźcie sobie, że nie odnosiłem żadnych specjalnych wrażeń. Nie widziałem po prostu pocisków

rozrywających się pode mną, nade mną i obok. Widziałem tylko nieprzyjaciela na szosie — nic więcej; myślałem tylko o tym, aby pancerne wozy nie zjechały z nitki celownika — o niczym więcej.

— No dobrze, ale był pan przecież w śmiertelnym niebezpieczeństwie i w każdej chwili...

— Tak, rzeczywiście... ale jest to, prawdę mówiąc, sprawa zupełnie prosta. Jeżeli nie trafią, no to... w porządku, a jeżeli trafią — no to, mój Boże, też będzie w porządku.

— Hm, jednym słowem porządek zapewniony, a to grunt. A jaki był rezultat nalotu?

— Bardzo dobry. Prawie wszystkie bomby w celu. Nawet nie mieliśmy, jak na te warunki, dużych strat. Z ośmiu maszyn biorących udział w nalocie wróciło sześć.

Koroszczyn, 7 września 1939 r.

Dzisiejszej nocy opuściliśmy Małaszewicze, przenosząc się do wsi Koroszczyn, odległej o 5 kilometrów od lotniska.

Sytuacji frontowej zupełnie nie rozumiemy. Podobno wojska niemieckie są już pod Warszawą i upadek jej przesądzony. Tymczasem Poznańskie się trzyma, Pomorze — też. Chyba, jak przypuszczają miejscowi „stratedzy“, jakiś potężny nasz zagon wali prosto na Berlin, a drugi zajął Prusy Wschodnie?

E, w to też nie wierzę. Rewelacyjna wiadomość o przerwaniu przez Francuzów Linii Zygfrйда w siedemnastu miejscach zrobiła na nas przygnębiające wrażenie. Przerwano ją w zbyt wielu miejscach. Bujda! Taka sama bujda jak to, że trzydzieści „Łosi“ bombarduje Berlin! Skąd trzydzieści? Wszystkich „Łosi“ jest podobno trzydzieści siedem, a piętnaście z nich widziałem wczoraj na lotnisku.

Przed chwilą byliśmy pierwszy raz świadkami, jak artyleria strąciła niemiecki samolot. Cóż to był za cu-



downy, niezapomniany widok! Na tle jasnoniebieskiego, bezchmurnego nieba leciała trójka Dornierów. Leciały nad szosą w kierunku na Białą Podlaską. Artyleria strzelała z rzadka i jak się nam zdawało, niecelnie. Naraz prawoskrzydłowa maszyna zachwiała się gwałtownie, zrobiła jakiś piruecik i w tej samej chwili buchnęła z niej smuga czarnego dymu. Samolot poszedł na łeb, ukazał się ogień i po paru sekundach z lecącej pionowo do ziemi maszyny zaczęły się odrywać jakieś płonące i dymiące kłaki.

Oczekiwaliśmy, że załoga będzie skakać. Ale nie wyskoczył nikt. Nie mogli albo nie zdążyli. Obłok dymu i ognia runął na ziemię.

W parę minut potem przyjechałem na to miejsce motocyklem.

W zagajniku pod wsią Małaszewicze kończył swój bandycki żywot srebrny Dornier. Palił się jeszcze, wraz z załogą. Jeden tylko z lotników, dziwnym jakimś trafem, został w chwili upadku wyrzucony z maszyny.

Nie żył już. Leżał o kilkanaście kroków od samolotu. Podeszedłem do niego i z kieszeni munduru wyjąłem papiery. Nazywał się Wilhelm Emde, miał 23 lata. Członek SS.

Dziesięć, ładna twarzyczka zdawała się uśmiechać, a śliczne niebieskie, jakby zdziwione oczy patrzyły prosto w słońce... Szkoda, że się nie męczył, s... syn.

Około godziny 2 po południu, gdy siedzieliśmy we dworze przy obiedzie — trzy niemieckie samoloty przeleciały tuż nad nami. Pewnie szukali artylerii przeciwlotniczej, która ma swoje stanowisko w dworskim parku. Jeżeli ją dostrzegli, to jutro rano może być gorąco. Trzeba skoro świt iść na spacer. Nigdy tyle nie spacerowałem, co obecnie...

Koroszczyń, 8 września 1939 r.

Krażą fantastyczne pogłoski. Podobno Ameryka wypowiedziała wojnę, podobno Włochy wysłały do

Niemiec... ultimatum, podobno flota rosyjska wysadziła desant w Królewcu...

Naturalnie jest to takie samo kłamstwo jak to, że Niemcom skończyła się benzyna. Widocznie czołgi grupy pancernej idącej na Warszawę, które bez przerwy posuwają się naprzód, pędzone są kwaśnym mlekiem...

Przypominam sobie, jak jeden z kolegów opowiadał mi, że inauguracyjny wykład o broni pancernej na jednym z kursów unitarnych w Rembertowie wykładowca zagał tymi słowy:

„Nie będę miał, proszę panów, wdzięcznego tematu, gdyż broń pancerna nie odegra w przyszłej wojnie większej roli“.

Koroszczyń, 11 września 1939 r.

Ogarnia nas coraz większe przygnębienie. Przeczujemy nieszczęście. Do oddziału naszego zgłasza się coraz więcej żołnierzy-rozbitków. Bałagan okropny. Łączność zerwana zupełnie.

Szosa do Brześcia zatłoczona samochodami. Taksówki, limuzyny, ciężarówki — napchane po brzegi ludźmi i bagażem, jadą w kierunku Brześcia w kilku rzędach.

Zarządzono pogotowie marszowe.

Bucin, 12 września 1939 r.

Wczoraj wieczorem nadszedł rozkaz ewakuacji. Przez Kowel, Buczacz, Stanisławów — jedziemy do Horodenki. Część oddziału pojechała transportem kolejowym, my — samochodami. Jedziemy tylko w nocy. Dnie spędzamy zamaskowani we wsiach. Dzisiaj zatrzymaliśmy się we wsi Bucin pod Kowlem.

W nocy szosa wygląda koszmarnie. Tłumy uciekinierów z tobołami na plecach, tysiące samochodów, wozów, rowerów — wszystko ucieka na południe. Przekleństwa, krzyki, zatory, żebranina o pomoc i benzynę.

Rzadko kto komu udziela pomocy. Każdy myśli tylko o sobie. Aby prędzej, aby dalej!

Łudzimy się jeszcze, że my nie uciekamy; że jedziemy pracować. Na granicy rumuńskiej mamy podobno zorganizować odbiór i montaż angielskich samolotów. Oby to było prawdą!...

Horodenka, 14 września 1939 r.

Jesteśmy już na granicy Rumunii. Z Bucina jechaliśmy przez Kowel (palił się właśnie), przez Brody (spaliły się w parę godzin po naszym przejeździe), przez Czortków i Trembowłę.

Podobno angielskie samoloty są już w Konstancy, ale Rumuni nie pozwalają ich wylądować.

Horodenka, 15 września 1939 r.

Kwateruję u bardzo sympatycznej rodziny ormiańskiej, państwa Stefanowiczów. Jutro ślub ich wnuczki, Kamili. Jesteśmy zaproszeni na wesele.

Niemcy latają, ale bomb jeszcze nie rzucali. Widać to od razu: ludzie chodzą uśmiechnięci, są dobrej myśli, nie wierzą złym plotkom.

Na ulicach tłumy wojskowych różnych broni i stopni.

Podobno jakiś żydek z Lublina, który używając wszelkich możliwych środków lokomocji po trzech dniach podróży znalazł się w Horodence, zagadnął spotkanego pod miastem oficera:

— Panie poruczniku, jakie to miasto widać?

Na to oficer:

— Jestem pułkownikiem, nie porucznikiem!

A żydek:

— Uś! to ja już tak daleko uciekłem?

Nadszedł rozkaz, aby przygotować się do wyjazdu do portu Konstanca celem wylądowania i montażu

angielskich samolotów. W związku z tym redukujemy zbyt wielkie obciążenie oddziału. Rzeczy niepotrzebne bądź zabezpieczamy na miejscu, bądź palimy. Spaliśmy cztery wielkie skrzynie pełne pięknych map i planów w różnych podziałkach od 1:10 000 do 1:3 000 000. Mapy te nie były potrzebne, bowiem pokrywały teren od wschodniej granicy Rzplitej aż do... Uralu!

Muszę przyznać lojalnie, że rejonu Kamczatki i Sachalinu — nie było.

Nie znaleźliśmy również ani jednej mapy terytorium Rzeszy...

W RUMUNII

Neamtu, 19 września 1939 r.

O godzinie 12 minut 57 dnia 17 września przekroczyliśmy granicę rumuńską pod wsią Serafińce.

W Horodence kwaterowaliśmy dwa dni. W sobotę byłem na ślubie i weselu panny Kamili. Więcej się nami, wojskiem, zajmowano niż młodą parą. Cywile wzruszali nas zupełnie. Mówili, że czują się z nami bezpiecznie (tak jak Tekla z Małaszewicz), że my ich na pewno obronimy, że co by to było, gdyby nas nie było...

O świcie poszedłem za miasto przespać się w pierwszych lepszych krzaczkach. Obawiałem się, że załoczo-na Horodenka będzie zbyt ponętym „kriegswichtige“ celem dla niemieckich bombowców.

Przewidywania moje okazały się słuszne. Tylko niestety wróciłem z krzaków o pięć minut za wcześnie. Gdy znalazłem się w obrębie pierwszych zabudowań, ogłoszono alarm i jednocześnie z nim przylecieli Niemcy.

Usiadłem na brzegu chodnika. Gdy usłyszałem wy-cie pierwszej bomby, położyłem się w rynsztoku. Bomby padały zupełnie blisko. Kamienie i odłamki furkotały mi nad głową. Jedna pięćdziesiątka rozerwała się w rynsztoku, ale po drugiej stronie ulicy.

Na kwaterze nie znalazłem już swoich rzeczy. Bab-

cia Stefanowiczowa powiedziała mi, że zabrali je żołnierze, ponieważ wyjeżdżamy. Pożegnałem się serdecznie ze staruszkami (pan Stefanowicz wcisnął mi w rękę cygarniczkę na pamiątkę) i poszedłem szukać samochodu. Był już na gazie — czekano na mnie.

Na granicy stanęliśmy o godzinie 12,15. Rumuni nie chcą nas przepuścić. Trwają jakieś pertraktacje. Co chwila nadjeżdżają samochody. Zebrało ich się około setki.

Po półgodzinnym oczekiwaniu nadeszły jakieś rozkazy i... oba szlabany graniczne poszły w górę...

Okropny moment. Nie wiem, czy uda mi się kiedyś wymazać go z pamięci. Wszyscy mieliśmy łzy w oczach. Niektórzy całowali biało-czerwoną barierę, inni ziemię lub budkę strażnika. Kilku żołnierzy szło chało głośno, kilku modliło się klęcząc. Każdy prawie zabierał coś na pamiątkę. Jeden zeszkrobał scyzorykiem trochę biało-czerwonej farby ze słupa granicznego, drugi — zawiązał w chusteczkę garść ziemi, trzeci zerwał jakiś kwiatek...

Wreszcie, oglądając się wciąż za siebie, przeszliśmy granicę. Bezpośrednio po tych strasznych chwilach nastąpiło nie mniej okropne i przygnębiające **ro z b r o j e n i e**.

Byliśmy upokorzeni. Wstydziliśmy się. Rumuńscy żandarmi kazali nam złożyć broń w przydrożnym rowie. Podchodziliśmy do wskazanego miejsca, rzucając na stos pistolety, karabiny i bagnety. Już chyba zawsze będę słyszał trzask rzucanej broni, będzie mnie prześladował jej widok. Będę pamiętał twarze żołnierzy. Szczególnie tych kilkunastu, którzy karabinów nie rzucili, ale złożyli je bardzo, bardzo delikatnie.

Już po przejściu granicy rumuńskiej dowiedzieliśmy się, że wschodnią granicę Polski przekroczyły wojska radzieckie. Koledzy z wyobraźnią — lecz takich jest mniejszość — uważają posunięcie radzieckie za usprawiedliwione: oferowaną nam przez ZSRR pomoc — od-

rzuciliśmy. Zawarty ostatnio traktat o przyjaźni, nie-agresji itp. pomiędzy Niemcami a Związkiem Radzieckim to posunięcie strategiczne i w ogóle „lipa“, mająca na celu — tak dla jednego jak i dla drugiego kontrahenta — wyłącznie zyskanie na czasie przed pewnym przecież między nimi starciem zbrojnym.

Jedziemy przez Czerniowce, Suczawę, Fălticeni. Ludność wita nas przychylnie, obdarowując owocami, winem i chlebem. Nie możemy przewyciężyć odrętwienia. Przyglądamy się wszystkiemu obojętnie.

Foscani, 22 września 1939 r.

Jedziemy wciąż na południe. Nocujemy bądź w samochodach, bądź w przygodnych kwaterach po miasteczkach i wsiach.

Przez dwa dni trwały jakieś polityczne rozruchy. Zabito prezesa rady ministrów, Calinescu. Tej samej nocy w odwet powieszono kilkunastu przywódców tak zwanej Żelaznej Gwardii. W miasteczku, w którym przebywamy obecnie, też jeden taki wisiał. Powiesili go na rynku i tak zostawili. Wszystkie te egzekucje odbyły się bez sądu, na podstawie zwykłego telefonogramu.

Tak, to już Bałkany...

Galacz, 23 września 1939 r.

Stosownie do postanowień Konwencji Haskiej, że wojska internowane mają być rozmieszczone w obozach jak najdalej położonych od teatru działań wojennych — kierują nas coraz dalej na południe.

Zatrzymaliśmy się na kilka godzin w Galaczu, wielkim porcie nad Dunajem. Na drugą stronę rzeki przeprawiać się będziemy prymitywnym promem, holowanym przez mały stateczek. Dunaj cudowny, ale wcale nie modry, tylko szary, jak nasza „błękitna“ Wisła.

Tulcza, 27 września 1939 r.

Od trzech dni jesteśmy w miasteczku Tulcza nad Dunajem. Jest to, jak się zdaje, ostatni punkt zborny, skąd rozsyłać nas będą do różnych obozów, już na stały (stały! — tak się pocziwym Rumunom wydaje) pobyt.

Prace organizacyjne na pewno potrważą dość długo; mimo to nie przydzielono nam żadnych kwater i prawie wszyscy nocują bądź w samochodach, bądź w jakichś barakach, w warunkach wprost okropnych.

Mnie się poszczęściło: znalazłem wygodną kwaterę u pana Grigore Zimleaoni, właściciela restauracji. Ku mojej wielkiej radości, na tej samej kwaterze znalazł przytulisko mój stary kolega pułkowy i przyjaciel, popularny w lotnictwie kapitan Leon Suchecki, Suchym ogólnie zwany. Postanowiliśmy trzymać się razem.

Tulcza, 28 września 1939 r.

Na razie możemy uciekać na własną rękę. Ucieczki mają być zorganizowane dopiero z obozów. Zarządzenie zupełnie słuszne, albowiem pierwsi muszą się dostać do Francji najbardziej wartościowi, to jest ci, którzy mogą być natychmiast wysłani na front.

Nie bardzo jednak wierząc w sprawność naszej organizacji, każdy, jak może, przygotowuje się na własną rękę. Pierwsza rzecz to cywilne ubranie, druga — dokumenty. Ani z jednym, ani z drugim nie mamy wiele kłopotu. Prawie każdy Rumun za pieniądze zrobi wszystko. Fałszywe polskie legitymacje cywilne po 20 lei sztuka sprzedaje miejscowy drukarz; cywilne ubranka, wbrew zakazowi policji, sprzedają wszystkie sklepy; policja sprzedaje przepustki...

Podłużnych i okrągłych pieczęci, i to oryginalnych, mamy pod dostatkiem. Ja osobiście, mając pod „opieką“ pieczęcie Bazy Brześć, pieczętuję na prawo i na lewo. Majora K. zrobiłem starszym woźnym, kapitana S. — fryzjerem, Suchegeo — handlowcem, siebie zaś — murarzem.

Szóstego października, a więc tydzień temu, uka-
zała się pierwsza lista wyjeżdżających do obozów dla
internowanych. Znalazłem na niej nazwisko swoje
i Suchego.

Odjechaliśmy tego samego dnia i po czterdziesto-
godzinnej podróży przyjechaliśmy do miasteczka Ro-
siori de Vede, położonego na południowy zachód od
Bukaresztu.

Rosiori de Vede — „Jeździec nad strumykiem“
(w wolnym tłumaczeniu) — liczy 10 000 mieszkańców,
w większości Bułgarów. Brudne, nudne i nieciekawe.
Takie mniej więcej jak nasz Garwolin. Nie ma tu
żadnego obozu ani drutów — kwaterujemy prywatnie
lub w hotelach.

Wynajęliśmy z Suchym pokój u doamny Melanei
Tinculescu na Strade Dunarei 43, za 600 lei miesięcz-
nie.

Komendantem rumuńskim naszego „obozu“ jest
kapitan Angelescu, stary przyk, emeryt; polskim — bar-
dzo sympatyczny i taktowny kapitan broni pancern-
nej K.

Dnie upływają monotennie. Nuda coraz rozpacz-
liwsza. Poza codzienną poranną zbiórką nie mamy żad-
nych zajęć. Apel to jedyna atrakcja dnia. Zbieramy
się o godzinie 9 rano. Sprawdzanie obecności odbywa
się pro forma. Rumuński żandarm wrzeszczy nazwiska,
wywołany odpowiada „jest“ (jeżeli już zwiął, odpo-
wiada za niego kolega) i na tym część urzędowa się
kończy. Następuje chwila najbardziej przykra i naj-
bardziej oczekiwana: rozdawanie poczty. Codziennie
nadchodzi obfitsza, codziennie kilku kolegów dowia-
duje się o losach swoich najbliższych, codziennie oczek-
ujemy, że i nasze nazwiska wywołają, i codziennie
spotyka nas zawód.

Nie wszyscy co prawda oczekują na pocztę tak
niecierpliwie jak my, i nie wszystkim przynosi ona

dobre wiadomości. Wczoraj na przykład otrzymał list od swojej żony pewien kapitan z piechoty:

— Pan kapitan N.! Jest karta pocztowa do pana, od żoneczki, zdrowa, tęskni! Proszę bardzo.

Wszyscy spojrzeliśmy z zazdrością na szczęściarza, a szczęściarz nie wytrzymał nerwowo i palnął:

— I tu mnie znalazła, cholera!

Po apelu nie mamy już żadnych obowiązków. Jedni idą do domów, drudzy do kawiarni, inni na bridża czy belotkę.

Prowadzimy z Suchym własne gospodarstwo. Kupiliśmy prymus, garnki, nakrycia. Chodzimy codziennie na targ po sprawunki i gotujemy na zmianę. Niestety, nie jem tego, co dzisiaj przygotowuję, bo jeszcze choruję po tym, co Suchy przygotował wczoraj.

Rosiori de Vede, 20 października 1939 r.

Nadeszły od naszych władz z Bukaresztu rozkazy i instrukcje o „rozładowaniu“ obozu, to jest o organizacji ucieczek. Ułożono już nawet kolejkę. Pierwsi lotnicy, pierwsi z lotników — najmłodszy. Na nas przyjdzie kolej chyba gdzieś pod koniec grudnia.

Rosiori de Vede, 24 listopada 1939 r.

Przysłano mi dziś z ambasady w Bukareszcie paszport zagraniczny. Zrazu myślałem, że jakiś używany — tyle było na nim pieczętek. Po bliższym zbadaniu okazało się, że są to wizy. Francuska, angielska, włoska, grecka, bułgarska, jugosłowiańska, syryjska i libańska.

Zaintrygowany jestem do najwyższego stopnia: dlaczego nie ma perskiej?

Paszport wystawiony jest na nazwisko Teofil Deszczyk. Naturalnie wszystkiemu winien jest Suchy, bo to było tak:

Gdy swego czasu nadszedł rozkaz, aby zgłaszać

projekty pseudonimów, Suchy wybrał sobie bardzo ładny, ale — według mego zdania — niezbyt odpowiedni: Zdzisław Burza. Chcąc odwieść go od niefortunnego pomysłu, tłumaczyłem mu, jak mogłem, że przecież burza z niego marna, że jest raczej usposobienia łagodnego i że wobec tego odpowiadałby mu bardziej pseudonim o kolorycie, że tak powiem, pastelowym, na przykład Deszczyk, Teofil Deszczyk.

— To sam bądź Deszczyk, idioto!

— Pewnie że będę, jeżeli ty nie chcesz.

No i zostałem Deszczykiem. Suchy był wściekły i twierdził, że go małpuję, że to jest w ogóle niemożliwe, że jak będziemy podróżować razem, to nie może przecież Deszczyk z Burzą, bo wszyscy się domyślą itd. itd.

Co prawda nie bardzo wiedziałem, dlaczego nie może Deszczyk z Burzą i czego wszyscy mają się domyślać, ale dla świętego spokoju przyznałem mu rację. Proponowałem jednocześnie inne, też bardzo mocne pseudona, a co ważniejsze, gwarantujące pod słowem powodzenie u płci pięknej.

— Jak myślisz, Suchy, czy spośród kobiet, mających choć szczyptę wyobraźni, znajdzie się taka, która nie spłonie rumieńcem, gdy podejdziesz do niej i przedstawiając się brzękniesz ostrogami i wrzaśniesz na cały salon: „Jestem, proszę pani, Konstany Wyrwidąb!“ Albo: „Jestem, proszę pani, Grzegorz Grzmot“. Albo jeszcze lepiej: „Jestem, proszę pani, Maciej Łokieć“ — lub, uważaj Suchy, „Michał Kotas“! Jak myślisz, stary, żadna się chyba nie oprze?

Niestety argumenty moje i pomysły nie odniosły skutku. Suchy jest mało subtelny, albowiem twierdzi, że gdyby nawet (!) powiedział: „Nazywam się, proszę pani, Dupa“ — to i tak by skutku nie odniosło.

Skąd ten pesymizm u niego?

Paszport dla Suchego jeszcze nie nadszedł, nie wiem więc, jak będzie brzmiało jego drugie nazwisko. Podobno, na złość mnie, zaproponował pseudonim — Pip-

ciuch. Z serca mu życzę, aby projekt ten przeszedł. To brzmi swojsko i nieskomplikowanie, i tak coś wieśniaczo. To na pewno będzie modne.

Rosiori de Vede, 26 listopada 1939 r.

Przygotowujemy się powoli do ucieczki. Najtrudniejszy etap to Rosiori — Bukareszt. Nie mamy jeszcze ustalonego planu. Suchy chce jechać samochodem, ja — pociągiem. Moje racje wydają się słuszniejsze.

Wsiedlibyśmy do pociągu na pierwszej stacji za Rosiori, to jest w Papa, dokąd dostać się można na piechotę po zachodzie słońca. W zatłoczonym nocnym pociągu, w trzeciej klasie, przebrani za Rumunów, z jakimiś kobiałkami w rękę — bylibyśmy prawie bezpieczni. Nawet w razie kontroli dokumentów byłaby możliwość ucieczki z wagonu.

Jazda samochodem jest mniej bezpieczna. W razie spotkania patrolu nie mielibyśmy żadnych prawie szans, prócz łapówki oczywiście, ale i ta jedyna szansa mogłaby zawieść.

Suchy jest uparty jak kozioł. Mówi, że nie wytrzyma nerwowo długiej podróży koleją, że złapią nas na dworcu w Bukareszcie, że ma przecucie, że się wszystko dobrze skończy i że ja jestem w ogóle idiota.

Z nerwami Suhego rzeczywiście jest gorzej. Choć i z moimi nie lepiej. Obudziłem się wczoraj około drugiej w nocy i usłyszałem, że Suchy cichutko szlocha. Udawałem, że śpię, ale nie mogłem zasnąć do rana.

Dzisiaj w nocy znowu usłyszałem szlochanie Suhego.

— Suchy, co ci jest?

— A bo co?

— Słyszę, że płaczesz...

— Ja płacę? Nie, to mi tak w kiszkach burczy...

Ten jego sprytny wykręt zniweczył całkowicie mój hart. Wsadziłem łeb pod poduszkę i sam się rozmazałem. Myślałem, że nie usłyszy, ale usłyszał. Zasnęliśmy nad ranem.

Rosiori de Vede, 10 grudnia 1939 r.

Za kilka dni uciekamy. Suchy wygrał większą sumę w bridża i stać go było na cywilne ubranie. Ja przegrałem, więc musiałem kombinować. Portki przebarbowałem na czarno, koszulkę na zielono; kupiłem jakiś używany kapelusik z piórkiem i podarty gumowy płaszcz.

Ostatecznie jedziemy samochodem. Właściciel wozu, Rumun, twierdzi, że wszystko przewidział. Dał jakoby 5 000 lei łąpówki. Z tego tytułu wziął od nas po 4 000.

Suchy nadrabia miną, ale ma wielkiego stracha. Dzisiaj smarował się przez dwie godziny esencją herbacianą, chcąc swą cerę upodobnić do rumuńskiej. Nie pomogło. Pozostał blady. Poradziłem mu dowcipnie, by się posmarował gównem. Skutek pewny i żandarm nie podejdzie.

Bukareszt, 15 grudnia 1939 r.

Wyjechaliśmy z Rosiori o godzinie 12 w południe. Droga prowadziła przez Tur de Magurel, na granicy bułgarskiej. Zatrzymaliśmy się tam przez chwilę, aby zabrać ze sobą oficera artylerii, uprzednio przekupionego. Miał nas przeprowadzić przez najbardziej eksponowany odcinek, to jest przez most na jakiejś tam rzeczce w miejscowości Aleksandria.

Serca zaczęły nam bić mocno, gdy zza niespodziewanego zakrętu ukazał się ów most i posterunek żandarmerii. Szofer dodał gazu, oficer wychylił się z okienka. Mignęła niebieska czapka żandarma, zaklekotały stare deski mostu... Uf!... spojrzeliśmy na siebie z ulgą, ale łobuzerski uśmiech jakoś nam nie wyszedł.

Za miastem oficer wysiadł. Zdawało się, że już bezpiecznie dojedziemy do odległego o 100 kilometrów Bukaresztu. Jechaliśmy z dużą szybkością. Widać było, że zbliżamy się do wielkiego miasta. Zabudowań, wiosek, fabryk — coraz więcej. Już tylko 50 kilometrów pozostało do celu, gdy spotkała nas przygoda.

Z daleka widzimy na szosie tłum ludzi. Podjeżdżamy bliżej i... okazuje się, że jest to pogrzeb cygański.

W otwartej trumnie leżał na wozie mały, czarny nieboszczyk. Tłum Cyganów zawodził głośno. Kapela na skrzypkach, bębnach i piszczałkach przygrywała wcale wesoło.

Suchy miło się uśmiechnął i zdjął kapelusik...

Gdy samochód z trudem przedostał się przez tłum, zastąpił nam drogę żandarm...

Suchy zbladł i włożył kapelusik...

Żandarm stanął na środku szosy i podniósłszy dłoń dawał sygnał „stop“. Byłem pewien, że za chwilę samochód się zatrzyma i cała eskapada zakończy się niesławnie w brasowskim więzieniu. Tymczasem szofer, porządny jakiś chłopak, dodał gazu i przycisnąwszy klakson walił prosto na żandarma. Żandarm wrzeszcząc odskoczył w ostatnim momencie w bok, tuż sprzed kół. Spojrzałem przez tylne okienko i w jednej sekundzie leżałem na podłodze: ujrzałem żandarma celującego do nas z karabinu.

Padł strzał, po chwili drugi. Jechaliśmy pełnym gazem. Strzałka szybkościomierza przekraczała setkę. Gdyby tak kula trafiła w oponę!...

Po kilku kilometrach skręciliśmy w boczną drogę, później w drugą, trzecią. Kluczyliśmy tak godzinę, aż wreszcie wyjechaliśmy na inną, główną szosę, a o 5 po południu wysiedliśmy na małej, cichej uliczce wschodniego przedmieścia Bukaresztu.

Z pewną emocją wchodziliśmy do naszej ambasady. Dochodziły nas różne wieści: A to, że niechętnie przyjmują, a to, że selekcja bardzo sroga: „Pan jest już za stary, kawaler jest jeszcze za młody, kolega za dużo chorował, a pan ostatnio nie był w linii...“

Wbrew przewidywaniom przyjęto nas tak serdecznie i troskliwie, że czuliśmy się zażenowani. Kilku starych przyjaciół i kolegów wzięło nas, oberwańców, w swoje obroty. Jeden złapał paszporty, drugi wręczył

nam fałszywe „Karty identyczności“, trzeci wypłacił po 3 000 lei, czwarty zaś wsadził nas do taksówki i zawiózł do żydka po ubrania cywilne!

Nie upłynęła godzina, a już elegancko ubrany, z forszą w portfelu i goździkiem w klapie, siedziałem z przyjaciółmi w pierwszorzędnej restauracji. Na estradzie rznąła damska kapela. Suchy był w siódmym niebie — nie odrywał oczu od pierwszych skrzypiec...

O północy portier hotelu „Louvre“ (dobry znak) meldował dwóch nowych gości: pp. Aleksandra Seidlitz a Witolda Chomentowskiego, na takie bowiem nazwiska wystawione były nasze „Carte Identitate“. Nie potrzebuję chyba dodawać, że Seidlitz — to Suchy.

Bukareszt, 17 grudnia 1939 r.

Codziennie przychodzimy do ambasady, aby się dowiedzieć o terminie wyjazdu. Ma to nastąpić niedługo, mimo że Rumuni wprowadzili nowe obostrzenia. Oprócz normalnych wiz wyjazdowych potrzebna jest jeszcze jakaś specjalna „plecara“. Uzyskać ją mogą tylko ci, którzy nigdy z wojskiem nie mieli nic wspólnego. Nie wiemy, co z tym fantem zrobią nasi przyjaciele, ale — niech ich o to głowa boli (nie tyle głowa, ile kieszeń).

Jakże nas, Polaków, nieszczęście odmienia! Nowo kreowani „dyplomaci“ pracują ciężko od wczesnego ranka do późnej nocy; pracują naprawdę bez wytchnienia, a mimo to są uprzejmi, mili, uśmiechnięci. Czasem nawet przesadzają, i to grubo. Zamiast nas wsadzić do „ciepłuszki“ i wysłać na zbity łeb do Francji:

— Którędy panowie życzą sobie jechać? Przez Grecję do Marsylii czy przez Jugosławię i Włochy do Paryża? A może bardziej odpowiadałaby panom trasa przez Egipt i Syrię?

Nie wiedziałem, czy facet zwariował, czy kpi, i już miałem powiedzieć: „Odczep się, łachudro“, ale nie zdążyłem, bo Suchy wziął sprawę poważnie i powiedział:

— My byśmy właśnie przez Syrię... my byśmy...

No i okazało się, że pytanie rzeczywiście było na serio... Dano nam do wyboru trasę lądową i morską. Lądową przez Belgrad i Mediolan, morską — przez Morze Czarne i Śródziemne. Ze względów turystycznych wybraliśmy naturalnie tę ostatnią.

Zaczynamy się powoli „mundurować“. Kupiliśmy sobie błękitne koszule i granatowe krawaty, takie, jakie mają lotnicy francuscy.

Mundur i stare spodnie oddałem w ambasadzie. Nie chciałem tego robić, lecz gdy mi powiedziano, że te rzeczy zawiezie kurier do Paryża — nie mogłem odmówić sobie takiej przyjemności. Albowiem niewątpliwie przyjemna jest świadomość, że dyplomatyczny kurier wali z Bukaresztu przez Jugosławię i Włochy do Paryża, wioząc — moje stare portki!

Bukareszt, 20 grudnia 1939 r.

Nie wiem, czy portki już pojechały, ale na pewno czują się bezpieczniej niż my. Musimy siedzieć w hotelu, bo na ulicach włóczy się coraz więcej żandarmów. Przysłano ich specjalnie po to, aby nas, uciekinierów, wyłapali. Trzeba będzie przenieść się na przedmieście. W wielkim hotelu jest coraz niebezpieczniej: każdej chwili możemy oczekiwać obławy.

Nawet w tak skromnym wydaniu jak moje, denrujące jest życie „Mr. Flow — człowieka o stu twarzach“. Wielkie hotele i ohydne dziury, prawie codziennie inne nazwisko, ucieczki, konspiracje, międzynarodowy żargon, którym posługują się coraz sprawniej, policja i agenci, których poznają z daleka...

Zbliżają się święta. Chcielibyśmy je spędzić w ciągu lub na morzu. W hotelu czulibyśmy się bardzo osamotnieni. Byłoby nam smutniej niż kiedykolwiek w życiu. Na wszelki wypadek Suchy ułożył program

dnia wigilijnego i dwóch następnych: „Położę się o drugiej, przykryję kocem i będę ryczał“.

Widzę go, jak, zabezpieczony, zaczyna się rozbierać! Nie ma mowy! Nie wytrzymam — już teraz, pisząc to, ledwie widzę papier.

Bukareszt, 21 grudnia 1939 r.

Zabawiam się w introligatora. Preparuję specjalne koperty, w które sprytnie, tak mi się przynajmniej wydaje, wklejam setki, pięćdziesiątki i dwudziestki. Ostatnio wpadłem na myśl przesyłania pieniędzy w kartkach pocztowych z fotografiami Bukaresztu. Moczę je w wodzie, odklejam emulsję i między nią a tekturką umieszczam banknoty. Wysłałem w ten sposób kilkaset złotych. Żeby choć część doszła na miejsce przeznaczenia! Najwięcej mamy kłopotu, jak w treści listu, zawierającego pieniądze, niewinnie przeszwarować wiadomość o tym. Suchy męczył się dzisiaj nad takim listem długo i nawet nie spostrzegł, że „zaszyfrował“ i inne, obojętne dla cenzury sprawy.

List ten brzmiał:

Co by to było za szczęście być tutaj razem z Tobą! Ile czekałoby nas radosnych i rozkosznych chwil. Tak tu jest spokojnie, tak ślicznie, tak dobrze! Samemu jest mi źle. Z rozpaczą myślę o tym, że każdy obrót okrętowej śruby oddalać nas będzie od siebie, że każdy nowy port, dokąd nasz okręt zawinie, będzie dla mnie portem nowych cierpień, nowych tęsknot i nowej, tak już za bardzo beznadziejnej rozpaczy w tej kopercie jest setka!

Zazdroszczę mewom, że każdej chwili lot swój na północ skierować mogą. A ja? Ja jak ja, ale Ty uważaj, żebyś forsy nie zniszczyła.

Gdy biały nasz okręcik minie cudowne Dardanele — wpłyniemy na morza południa...

Oczami duszy widzę przepiękne, przybrane w szmaragdy wysepki, na których igrają beztróska

stada czarnych fok, foki sprzedaj — kupię Ci drugie...

Lecz cóż to? Z błękitnozielonych odmetów, spośród seledynowobiałych fal, jaskrawa czerwień przebijają? Tak, to są rafy, rafy koralowe — biżuterię też opyl, grunt to żarcie.

Niestety, Ty będziesz daleko, a bez Ciebie wszystko mi się wyda nudne i szare, i złe.

Tak cały jestem Tobie poświęcony, tak wszystkie myśli Tobie są oddane, że jak Ci Zenon nie oddał pieniędzy, to nie oddawaj mu jesionki.

Kończę już. Idę na spoczynek z myślą o Tobie, Jedyna!

Twój

Bobek

Bukareszt, 24 grudnia 1939 r.

Zawiadomiono nas, że wizy są już podpisane, ale odebrać je będziemy mogli dopiero po świętach.

Oby wyjechać jak najprędzej! Tak bardzo źle się czujemy, tak bardzo tęsknimy, że chyba tylko podróż i ciągła zmiana wrażeń pozwoli nam trochę zapomnieć i ulży naszej naprawdę chorej wyobraźni.

Biedny Suchy, tak się boi dzisiejszej Wigilii...

Bukareszt, 25 grudnia 1939 r.

Już po wszystkim. Było gorzej, niż myślałem. Nastrój od samego rana — okropny. Nie odzywaliśmy się do siebie prawie wcale. Około godziny 4 po południu leżeliśmy na łózkach, udając, że czytamy gazety. Moment krytyczny zbliżał się szybko. Gdy już ściemniło się prawie zupełnie, wstałem, zapaliłem światło i niby od niechcienia zacząłem nakrywać do stołu. Czułem, że mnie coś łapie za gardło, i to mocno, ale się opanowałem. Suchy zerkał na mnie co pewien czas, wreszcie wstał i nic nie mówiąc zaczął mi pomagać. Nawet zagwizdał ze dwa razy, ale wyszło mu to bardzo fałszy-

wie. Nakryliśmy stół prześcieradłem i na pożyczonych od pokojówek talerzach ułożyliśmy „wieczerzę wigilijną“: śledzia, marynowany pieprz turecki, ser, masło, kilka jabłek, mandarynki i orzechy. Butelka wina stała pośrodku stołu. Opłatków ani żadnej zielonej gałązki nie było.

Uśmiechając się głupawo, zasiedliśmy wreszcie do stołu. Jeden naprzeciw drugiego. Obok w pokoju grał patefon. Czułem, że lada chwila zacznie się dramat. Była godzina 5. Spojrzałem na Suchego — oczy miał czerwone i zupełnie zaszcze łzami, ale jeszcze się starał uśmiechać. Opanowałem się ostatkiem sił i zdołałem wybełkotać: — No, Suchy, może coś zjemy?

Ale już było za późno. Suchy, kryjąc twarz w dłoniach, zaczął konwulsyjnie łkać... Wystarczyło mi to zupełnie — rzuciłem się na łóżko, dławiąc w poduszce płacz.

Okolo północy, wyczerpani zupełnie, zasnęliśmy.

Wigilia się skończyła — zaczęło się pierwsze święto.

Bukareszt, 27 grudnia 1939 r.

Już wszystko mamy gotowe do wyjazdu. Jutro otrzymamy w ambasadzie szczegółowe wskazówki dotyczące dalszej podróży i jutro, prawdopodobnie, wyjedziemy.

Żeby tylko na pewno. Już zupełnie dosyć mamy Bukaresztu. Trzy dni radosnych świąt były dla nas trzema dniami beznadziejnego smutku.

Konstanca, 30 grudnia 1939 r.

Wczoraj o godzinie 0,25 wyjechaliśmy z Gara de Norde i po siedmiogodzinnej podróży przybyliśmy do Konstancy, głównego rumuńskiego portu na Morzu Czarnym.

Odplywamy za tydzień, 4 stycznia, statkiem „Transylwania“.

Pogoda okropna. Mróz, śnieg, wichur. Morze wzburzone. Trochę nas peszy ta pierwsza podróż morską,

toteż dla dodania sobie odwagi postanowiliśmy się zalać. Przyszło nam to, jak zwykle zresztą, bez żadnych trudności i jak zwykle odniosło pożądaný skutek: zeterminowani, gotowi nie tylko okrętem, ale nawet wpływ przepłynąć Morze Czarne, zasnęliśmy późną nocą w marnym, zimnym pokoiku hotelu „Modern“...

Konstanca, 1 stycznia 1940 r.

Tutejsza placówka konsularna organizuje masowe transporty morskie, liczące od 100 do 1 000 ludzi.

Tłumy żołnierzy, oczekujących na statki, trudno jest, rzecz jasna, konspirować. Język polski słyszy się wszędzie, a ubiór — kurteczka i cyklistówka — zdradza naszych od razu. Organizacja transportów na tak dużą skalę stała się możliwa tylko dlatego, że cała policja i cała, jak jeden mąż, żandarmeria zostały przekupione. Aczkolwiek były wyjątki: nie przyjął łapówki i mimo to pomagał, jak mógł, sam dyrektor czy komendant miejscowej policji.

Zdawałoby się, że najwięcej kłopotu sprawią niemieccy agenci, od których aż się roi, ale tępi Niemcy dali się nabrać na zupełnie prosty kawał. Mianowicie konsul, sporządzając listy imienne transportów, operuje tylko kilkoma imionami — Icek, Abram, Mojżesz i Srul. W rezultacie Niemcy są zupełnie przekonani, że tysiące polskich obywateli, wyjeżdżających do Palestyny, to żydowscy osadnicy.

Spodziewałem się wszystkiego, ale żebym jako Abram Szpilman płynął przez Morze Czarne do Bejrutu?!...

Konstanca, 3 stycznia 1940 r.

Jutro ruszamy w drogę. Płynąć będziemy cudowną, wymarzoną trasą. Zobaczymy Istambuł, turecki port z bajki; Pireus grecki; przepłyniemy tuż obok Krety, legendarnej „kolebki rodu ludzkiego“. Po trzech dniach podróży wypłyniemy na wody afrykańskie, aby zawi-

nać do największego portu Egiptu — Aleksandrii. Stąd popłyniemy do Tel-Awiv, Jaffy i Haify w Palestynie, by wreszcie dotrzeć do przedostatniego celu naszej podróży, azjatyckiego portu Bejrut w Libanie. Po kilkunastodniowym odpoczynku statkiem francuskim czy angielskim przez Cypr, Malte, obok Sycylii, Sardynii i Korsyki popłyniemy do Marsylii, skąd już tylko kilkaset kilometrów dzielić nas będzie od ostatniego celu — Paryża.

Napisałem dzisiaj, stosownie zresztą do rozkazu, do Komendanta Obozu w Rosiori de Vede list tej treści:

... Wielce Szanowny Panie Kapitanie.

Uważam za swój obowiązek przeprosić Pana za wydalenie się z obozu bez Jego wiedzy i zgody.

Udaję się do Francji, by wziąć czynny udział w walkach o oswobodzenie mojej Ojczyzny.

Wierzę w to i przypuszczam, iż Pan również wiarę moją podziela, że walczyć będę równocześnie o zachowanie niepodległości Rumunii, Pańskiej Ojczyzny.

O ile wrócę do Kraju, niezwłocznie nadeślę swój adres, aby na pierwsze żądanie Władz Rumuńskich stawić się do Ich dyspozycji.

Zechce Pan... itd.

Miałem ogromną ochotę dopisać: „Pocałuj mnie w dupę, łobuzie“, ale ponieważ rozkaz nie przewidywał takiego post scriptum — z wielkim żalem dałem spokój.

Na Morzu Czarnym, 4 stycznia 1940 r.

Około godziny 6 wieczorem z Gara Maritime weszliśmy na pokład „Transylwanii“, największego statku rumuńskiej floty pasażerskiej.

Przydzielono nam dwuosobową kajutę I klasy. Kajuta jest bardzo elegancka. Ma jasnożółte obicia, pomarańczową kanapkę, dwa wygodne łóżka z puchowymi materacami, lustro, mahoniowe szafy, kotary, fira-

neczki i dywany. Porcelanowy nocnik w pastelowe kwiatki harmonizuje kolorem i stylem z całością wnętrza.

Zalecono nam koniecznie wypić przed podróżą szklaneczkę czerwonego wina i zjeść parę biszkoptów. Miał to być dobry środek przeciw morskiej chorobie. Idąc z tym zamiarem na przystań wstąpiliśmy z Suchym do łązki i wypiliśmy butelkę rumu pod tureckie pieprze...

Jesteśmy w dobrym nastroju, wszystko się nam okropnie podoba i tak jakoś śmiać się chce...

O godzinie 23 syrena grubym basem ryknęła trzy razy. Wciągnięto pomosty, dało się odczuć lekkie drganie i granitowy brzeg morskiego dworca zaczął się wolno odsuwać od burty...

Tysiące świateł Konstancy oddalało się coraz bardziej i bardziej. Po godzinie było ich widać zaledwie kilka, aż wreszcie zgasły zupełnie. Byliśmy na pełnym morzu.

Poszedłem na dziób statku. W górze było ciemno, a za burtą — czarno. Wiatr wzmagął się. Kołysało coraz więcej. Zdawało mi się, że coraz niżej się zapadam i coraz wyżej wznoszę.

Było bardzo poetycznie i gdybym nie bał się przerwócić — złożyłbym ręce na piersiach. Postąłem chwilę i poszedłem na kolację. Z apetytem zjadłem befszytyk po angielsku. Wolę rzygać befsztykiem niż biszkoptem. To bardziej po męsku.

Wchodząc do kajuty myślałem, że Suchy albo śpi, albo płacze. Ale nie — stał przed lustrem i robił jakieś miny. Rum jeszcze działał. Suchy był w doskonałym humorze — śmiał się, dowcipkował i raz po raz podchodził do lustra. Nie wiedziałem, o co chodzi, ale szydło wylazło z worka, gdy zapytał:

— Jak ci się podoba ta rumuńska stewardessa?

Tak! rum działał, i to ostro.

*W DRODZE
DO FRANCJI*

Na pokładzie „Transylwanii”, Istambuł, 5 stycznia 1940 r.

Godzina 18. Po kilkugodzinnym pobycie w mieście wróciliśmy na statek. Za chwilę wyruszymy w dalszą drogę — przez Morze Marmara do Grecji.

O godzinie 8-rano ujrzeliśmy na horyzoncie ciemny pasek ziemi i wkrótce wpłynęliśmy do Bosforu.

Po obu stronach wąskiej cieśniny wznoszą się wysokie, zalesione wzgórza, na których białe pałacyki sprawiają wrażenie zupełnie nierealne — podobne są raczej do pięknej dekoracji. Wrażenie to potęgują białe, wysokie, szpiczaste wieżyczki minaretów i ciemnozielone, prawie czarne, wysmukłe cyprysy.

Statek płynie wolno. Na spokojnych falach cieśniny uwija się mnóstwo łódek, motorówek i małych stateczków.

Z prawej burty mijamy marmurowy pałac z bajki. Jest to siedziba prezydenta Turcji, Kemala-Paszy.

Po krótkim czasie wille i pałacyki ustępują miejsca budynkom wielkomiejskim, fabrykom, składom, wreszcie z daleka widzimy przystań portową Istambułu. Podpływa do nas łódź motorowa z policją. Spuszczają trapy — kilku cywilnych panów i kilku policjantów wchodzi na pokład.

Nasi żołnierze tłumnie wylegli na pokład. Przyglądają się wszystkiemu z wielką ciekawością. Jeden

z nich powiedział do kolegi wskazując na tureckich gości:

— Patrz, to ci, co będą nas rewizykować!
Oblatany jakiś chłopak.

Na przystani oczekiwał na nasz transport attaché wojskowy, a na mnie i na Suchego mój szwagier. Mieliśmy ze sobą trochę prezentów natury żywnościowej. Ja — salami i cukierki, Suchy — gęś i czekoladki.

Oddając Suchemu gęś do przeszwarzowania przez kontrolę celną, pożegnałem się z nią na zawsze. Przechybiałem, że nic z tego nie będzie.

Suchy szedł drobnymi kroczkami, ręce przycisnął po bokach i czerwony był jak burak. Gdybym nie wiedział, co Suchy ma między nogami, to bym powiedział, że... gęś. Turek kiwnął palcem i powiedział coś po turecku, przypuszczalnie — „oddaj gęś“. Suchy ją oddał i pojechaliśmy taksówką do siostry.

Złożyliśmy również wizytę państwu Z. (on jest radcą tutejszego konsulatu), a naszym starym znajomym z Warszawy. Przedstawiono nas również panu konsulowi. Był to moment bardzo przykry, bowiem przedstawiono nas słowami:

— Panowie uciekinierzy...

Nie, panie radco, my nie jesteśmy uciekinierzy. Uciekały Naczelne Wodze, uciekały Wojewody, Prezesy, Dyrektory, uciekały MSZ-ety z Naczelnikami i Radcami — ale my nie! Lotnicy latali dotąd, dokąd były samoloty, a gdy ich nie stało, pojechali do Rumunii montować angielskie.

Dużo, bardzo dużo lotników uciekło co prawda, ale aż do nieba...

Szkoda, że byliśmy tutaj tak krótko — nie zdążyłem nawet przyjrzeć się miastu. Suchy natomiast zdążył przyjrzeć się Turczynkom i mówi, że Mahomet miał rację każąc im pozasłaniać pyski.

Przed chwilą syrena ryknęła trzy razy, dało się odczuć lekkie drganie itd.

Na Morzu Egejskim, 6 stycznia 1940 r.

O 10 rano przybyliśmy do Pireusu, największego portu Grecji. Cóż za zmiana pogody w ciągu jednej nocy! Jest zupełnie ciepło, słonecznie i zielono. Pachnie naszą późną wiosną.

W porcie ruch jakiś niezwykły. Setki małych stateczków — wszystkie w odświętnej gali. Tysięczne tłumy pireusiaków zalegają kamienne nadbrzeża. Domy (statek stoi tuż przy ulicy) przybrane są niebiesko-białymi flagami.

Okazuje się, że jest to święto Jordana.

Dochodzi południe. Staje się prawie upalnie. Oblegają nas przekupnie z koszami mandarynek, winogron, fig i pomarańcz zerwanych razem z liśćmi...

Zabraliśmy na pokład nowych podróżnych: kilku Żydów udających się do Haify, kilku Greków do Kairu i kilka ładniutek tancerek podróżujących z portu do portu.

O godzinie 1 po południu podpłynął do nas mały stateczek-pilot. Stateczek pisknął cienko, myśmy ryknęli grubo, dało się odczuć lekkie drganie itd.

Kierujemy się wprost na południe. Za kilka godzin z prawej burty ukaże się Kreta.

Suchy jest bardzo dumny, że z szyldów ulicznych w Pireusie nauczył się kilku słów po grecku, a mianowicie: hotel, koniak, Philips i Osram. Ma chłopak zdolności do języków!

Na Morzu Śródziemnym, 7 stycznia 1940 r.

Jesteśmy już w połowie drogi do Aleksandrii. Horyzont zupełnie pusty. Od wczorajszego wieczoru spotkaliśmy tylko jeden okręt — „Cairo-City“ — egipski transportowiec. Morze jest bardzo wzburzone. Na razie bawi nas to. Statkiem rzuca, toteż chodząc zataczamy się jak pijani.

Suchy zatacza coraz bliższe kręgi wokół lewantyńskich tancerek. Mówi, że „wyregulowałyby“ je

wszystkie. Z niewiarą odnoszę się do tej „regulacji“. Na pewno jedną by poklepał, drugą — uszczypnął, a trzecią mógłby nawet ugryźć...

Chociaż może byłoby inaczej: pierwszą by ugryzł, a trzecią poklepał...

Godzina 20

Wyłynęliśmy na terytorialne wody Egiptu. Na przedni maszt wciągnięto zieloną flagę z białym półksiężcem. Z daleka widać niski, piaszczysty brzeg i tysiące szarych, skupionych budynków Aleksandrii. Jest gorąco i tak jasno, że mrużymy oczy.

Aleksandria, 8 stycznia 1940 r.

Stoimy w porcie. Miastu przyglądamy się tylko z daleka, bo Egipcjanie nie honorują polskich paszportów i nie pozwalają opuścić okrętu.

Bierzemy ładunek bawełny z przeznaczeniem do Konstancy.

Odplywamy po południu. Następny nasz port to Tel-Aviv w Palestynie.

Suchy chodzi zły i zawiedziony: tancerki wysiadły „nie wyregulowane“.

Gdy go, co prawda niemądrze, spytałem — dokąd idzie — widząc wychodzącego z kajuty bez szelek i z papierkiem, odburknął:

— Nasrać na Egipt.

Godzina 18

Płyniemy w odległości 3 mil morskich wzdłuż afrykańskich brzegów. Egipskie słońce i egipski upał daje się nam we znaki, ale jesteśmy spragnieni gorąca, przebywamy więc cały czas na pokładzie.

Równolegle do statku i prawie tuż przy nim płyną stada delfinów. Co chwila ukazuje się na powierzchni wydłużony, niczym świński, ryjek, a za nim w pałąk zgięty, gruby, lśniący szarosrebrny kadłub. Kilku ma-

rynarzy urządziło polowanie na delfiny — na które mnie również zaproszono. Złapaliśmy dwa szczeniaki. Każdy z nich ważył mniej więcej po 50 kilogramów. Wyrzuciliśmy je jednak z powrotem za burtę.

Godzina 23

Statek płynie spokojnie, noc widna, dochodzą dźwięki monotonnej egzotycznej melodii. Powietrze, które wiatr przynosi z lądu, jest suche i gorące.

Haifa, 9 stycznia 1940 r.

Nad rankiem mieliśmy burzę. Morze było tak bardzo wzburzone, że — według oświadczenia kapitana — nie mogliśmy zawinąć do małej przystani Tel-Awivu.

Popłynęliśmy w dalszą drogę do Haify, dokąd przybyliśmy w południe. Jest to nasz pierwszy port angielski.

Zebrani tłumnie „anglicy“ witają nas serdecznie. Wszyscy prawie mówią dość dobrze po polsku, i to z jakimś znajomym akcentem. Krzyczą coś do nas i gestykując z zapalem pokazują, że Hitler będzie wisiał.

Między „anglikami“ uwijają się prawdziwi Arabi. Oni też gestykują i też szwargoczą po polsku...

W powietrzu unosi się zapach pomarańcz. Góry skrzyń, piramidy worków, wielkie stopy Pardessów, leżące na nieprzemakalnych płachtach, oczekują na załadowanie.

Co kilka chwil zajeżdżają samochody ciężarowe, wozy, platformy pełne przepysznych, olbrzymich pomarańcz.

Godzina 14

Przed chwilą przybyła kompania harcerzy, aby nas pożegnać. Ustawili się w szyku rozwiniętym i z zapalem skandują kilka jakichś angielskich słów. Zdaje się, że „cześć, cześć, cześć — Makabi — Brześć“.

Bejrut, 10 stycznia 1940 r.

Po bardzo burzliwej i niespokojnej nocy nastał świeży, słoneczny poranek. Około południa ujrzeliśmy na horyzoncie niewyraźny zarys gór Libanu. Po godzinie było już widać ośnieżone szczyty, a po dwóch u ich podnóża ukazały się białe budynki Bejrutu.

Na przystani przywitał nas polski konsul i grupka francuskich oficerów.

Po godzinnym oczekiwaniu nadjechała kolumna wojskowych samochodów, na które załadowano naszych żołnierzy. Przypatrujemy się wszystkiemu z wielką ciekawością. Najwięcej interesuje nas egzotyczne wojsko: atramentowi Senegalczycy w czerwonych pantalonach, maleńcy Indochińczycy i rośli Malaje o czarno malowanych zębach.

Do koszar, odległych o 3 kilometry od miasta, jechaliśmy piękną nadmorską autostradą. Pomarańczowe gaje z drzewami żółtymi od dojrzewających owoców, grupy wspaniałych palm, kilkumetrowe kaktusy o dziwacznych kształtach, jakieś niesamowite kwiaty, ogromne jaskrawe motyle...

Po ulokowaniu żołnierzy w koszarach wróciliśmy do Bejrutu, kąpiąc się po drodze w morzu na podmiejskiej plaży (10 styczeń!).

Zakwaterowano nas w hotelu „D'Europe“ na rue de Port. Co prawda z Europą hotel ten nie ma nic wspólnego, prócz nazwy oczywiście. Jedna wielka sala, podobna do podwórza warszawskiego czynszowego domu, oszklona na wysokości drugiego piętra, jest zarazem hallem, wokół którego w dwóch kondygnacjach bieżą galerie, skąd już bezpośrednio wchodzi się do pokoi. Pokoje są bez okien, podłogę mają z terakoty, a nad łózkami baldachimy chroniące od moskitów.

Chcieliśmy jeszcze dzisiaj rozpocząć zwiedzanie Bejrutu, lecz niestety zaczęliśmy od hotelowego baru i na nim się naturalnie skończyło.

Usługiwali nam fakirzy (!), co Suchego z początku

peszyło, ale niezbyt długo. Gdy pił pierwszy kieliszek, ręce mu się trzęsły ze strachu, a gdy skończył pierwszą butelkę — drugą rozpoczął bruderszaftem z najsympatyczniejszym fakirem, panem Ben Alim, synem właściciela lokalu.

Suchemu ogromnie przypadł do gustu młody Arab — Gówno jesteś, nie fakir, będę cię nazywał Alusiem, rozumiesz? Ty stary byku!

Suchy zaczął się umawiać z Alusiem na jutro. Mają pójść na nargile.

Ponieważ jestem zbyt skromny, aby wysłuchiwać podobnych projektów, poszedłem do pokoju wyłapać moskity.

Bejrut, 11 stycznia 1940 r.

Wczoraj do naszej grupy dołączyło czterech żołnierzy, którzy uciekli z poprzedniego transportu w Tel-Awivie. Uciekli ze statku podczas postoju w tym porcie po to, żeby udać się do Betlejem.

Dostali po dwa tygodnie aresztu, ale co byli w Betlejem na pasterce, to byli. Sam chętnie bym odsiedział.

Gdy tylko zeszli na ląd, zameldowali się u komendanta angielskiego garnizonu. Przyznali się, dlaczego opuścili swój oddział, i poprosili o... transport do Betlejem. Zdumiony tą bezczelnością pułkownik (a może mu ona zaimponowała?) dał chłopakom Willysa i obiecał zawiadomić przez radio ich transport na morzu.

Oddaję głos kapralowi Grzybowskiemu, studentowi Uniwersytetu Warszawskiego, jednemu z „uciekierów“:

„W dość długą drogę do Jerozolimy wyruszyliśmy sprzed Domu Polskiego, gdzie spożyliśmy Wigilię. Droga biegnie z początku zupełną równiną i dopiero pod Latrun (biblijne Emaus) krajobraz się zmienia. Droga, którą ongiś szli Krzyżowcy, zaczyna wspinać się serpentykami pod górę. Noc była piękna, jasna i tak ciepła jak u nas w końcu września. Nie zatrzymujemy

się w Jerozolimie i skręcamy w stronę Betlejem. Jakże ciekawy, pełen legend i uroku jest ten dziesięciokilometrowy odcinek. Oto dolina, na której Dawid pokonał Filistynów. Oto Studnia Mędrców ze Wschodu, gdzie, zgodnie z podaniem, Trzej Królowie mieli ujrzeć gwiazdę, która doprowadziła ich do Żłobka.

I my ją widzimy jasno świecąca na seledynowym niebie. Patrzymy na nią w zachwyceniu.

W oddali, podobna do wygasłego wulkanu, widoczna jest góra Herodium, niegdyś twierdza obronna. Na samym jej szczycie znajduje się grób Heroda Wielkiego.

Na siódmym kilometrze od Jerozolimy bieleje mała kapliczka. To grób Racheli, żony patriarchy Jakuba, czczony przez Żydów od 2 800 lat.

Brzegiem głębokiej doliny dojeżdżamy do Betlejem i zatrzymujemy się na wielkim placu — rynku przed Bazyliką Narodzenia. Nieprzebrany tłum wypełnia plac i boczne uliczki. Biją wszystkie dzwony, a echo tych cudownych dźwięków rozchodzi się daleko po pagórkach betlejemskich. Białe domy, kopuły i dzwonnice, tonące w zieleni cyprysów i drzew oliwnych, występują z wielką wyrazistością. Na tle nieba usianego gwiazdami bieleje wielka grecko-katolicka Bazylika Narodzenia, jedna z najstarszych świątyń chrześcijańskich świata.

Za chwilę rozpocznie się w kościele Świętej Katarzyny, przylegającym do Bazyliki, Pasterka Pontyfikalna.

Zawdzięczając to chyba naszym dziwnym mundurom i orzełkom na czapkach, dostajemy się przed sam wielki ołtarz. Jest duszno i bardzo gorąco. Stoimy zmęczeni i zdyszani. Przed rozpoczęciem nabożeństwa mamy parę chwil, by móc rozejrzeć się wokoło.

Pierwsze rzędy ławek zajmują: Wysoki Komisarz angielski (mimo że jest protestantem) wraz z personelem swojego urzędu. Wygląda bardzo malowniczo

w pełnej gali wspaniałego munduru. Obok niego przedstawiciele Korpusu Dyplomatycznego in corpore.

Tysięczny tłum Ormian, Greków, Koptów i Arabów — jakże inny, jakże egzotyczny i jak bardzo kolorowy. Szczególnie ładnie wyglądają Ormianki ubrane w piękne białe, niebieskie i żółte jedwabne chusty, spływające od głów na całą postać.

Na tronie siedzi w uroczystych szatach patriarcha rzymsko-katolicki Jerozolimy — Aloysius.

Rozpoczyna się Wielka Pasterka Pontyfikalna i trwa do godziny 2 w nocy. Po zakończeniu schodzimy do Groty Narodzenia, połączonej z kościołem Świętej Katarzyny podziemnym korytarzem. Grota wydrążona jest w skale wapiennej i ma ściany wyłożone płytami białego marmuru. Światło tu, nie dochodzi — podziemie oświetla kilkadziesiąt srebrnych lamp — ufundowanych przez katolików, Greków i Ormian.

Podchodzimy do małego marmurowego ołtarzyka wspartego na kolumnenkach. Pod ołtarzykiem lśni na posadzce srebrna gwiazda z napisem łacińskim: Hic de Virgine Maria Jesus Christus natus est. Padamy na kolana i modlimy się gorąco.

Wychodzimy z Groty Narodzenia przez starą Bazylikę Grecką. Zbudowana była za czasów Konstantyna i w swej formie pierwotnej przetrwała aż do naszych czasów. Wnętrze jej zdobi czterdzieści osiem kolumn w czterech rzędach. Ściany jej też wyłożone są białym marmurem, na którym ledwo widoczna jest stara złota mozaika. Wgłębienie środkowej nawy, zakryte przegrodą oddzielającą ołtarz od reszty kościoła, zawieszono jest ikonami. Świątynia tonie w półmroku, jest pełna powagi i surowości.

Opuszczamy ją przez mały, wąski i niski otwór pozostawiony w bramie zamurowanej swego czasu w obawie przed atakami dzikich Beduinów. Dziwne wrażenie sprawia to wyjście z wielkiej Bazyliki, tak małe i niskie, że trzeba się schylić, aby przez nie przejść.

Dziedziniec przed świątynią, białe domki Betlejem, okoliczne pagórki i Pole Pasterzy — toną w różowawym świetle powstającego dnia. Gwiazdy bledną na horyzoncie...

Bejrut, 12 stycznia 1940 r.

Cały dzień poświęciłem na zwiedzanie miasta. W dzielnicy europejskiej nie ma nic specjalnie godnego uwagi — palmy, szerokie ulice, nowoczesne gmachy, wielkie sklepy — to wszystko.

Natomiast stary Bejrut jest cudowny. Z każdej uliczki, z każdego zaułka, zza rogu każdego domu odślaniają się nowe, coraz to piękniejsze widoki.

Wąskie i wąziutkie uliczki, mury i murki, szkarpy, filary, płaskie dachy, tarasy, zakratowane szczelnie okienka, ostre cienie, oślepiające słońce, hałaśliwy, kolorowy, egzotyczny tłum, zakwefione Arabki (Suchy mówi, że to nic nie szkodzi...).

Długo siedziałem na wytartych schodkach stromej i ciemnej uliczki. U jej wylotu, oświetlonego jaskrawym słońcem, otwierał się widok na wysadzaną palmami nadmorską aleję. Wysokie czekoladowe pnie palm rysowały się na tle granatowego morza, a ich jasnozielone wachlarze rozplýwały się na tle niebieskiego nieba, niebieskiego z fioletowym odcieniem. Na dalszym planie widoczny był potężny łańcuch ośnieżonego Libanu...

Potrącił mnie osioł obładowany wielkimi gronami bananów, zwisającymi mu po bokach. Zacząłem wolno schodzić w dół uliczki, gdy między palmami nadmorskiej alei ukazał się długi szereg wielbłądów ze skulonymi na nich białymi sylwetkami Arabów...

Jak to dobrze, że na palmach nie siedziały małpy, a za wielbłądami nie ciągnęły słonie!

Zwariowałbym na pewno.

Bejrut, 13 stycznia 1940 r.

Spotkała nas miła niespodzianka: Francuzi zaproponowali nam wycieczkę autobusową do położonej o 150 kilometrów od Bejrutu miejscowości Baalbek celem zwiedzenia ruin starożytnej świątyni. Naturalnie zgodziliśmy się chętnie.

O godzinie 8 rano, wzięwszy ze sobą zapasy żywności, wyjechaliśmy autobusami prowadzonymi przez maleńkich Annamitów, doskonałych kierowców.

Trasa prowadziła przez miejscowości Zahla i Malakka. Musieliśmy przedostać się na drugą stronę gór Libańskich, których najwyższy szczyt ma przeszło 3 000 metrów.

Jechaliśmy malowniczą górską autostradą prowadzącą do Damaszku i Bagdadu.

Droga, miejscami bardzo eksponowana, wiła się stromymi serpentynami ku najwyższym, ośnieżonym szczytom. Do wysokości 1 500 metrów było jeszcze ciepło, jechaliśmy wśród cytrynowych i pomarańczowych plantacji. Wokół rosły palmy i kaktusy, a pełne wdzięku letnie wille o płaskich dachach i niezliczonych tarasach były całkowicie pokryte fioletowym powojem.

Począwszy od 2 000 metrów roślinność stawała się coraz uboższa, aż wreszcie ukazały się puste i dzikie masywy skalne. Najwyższe przełęcz na 3 000 metrów były już całkowicie pod śniegiem.

Po odpoczynku w jakiejś zawałonej śniegiem strażnicy wojskowej i pokrzepieniu się szklanką gorącego wina, rozpoczęliśmy zjazd po łagodnych wschodnich stokach. Stawało się coraz cieplej, zniknęły śnieżne zasy, znów pokazał się powój, później kaktusy, palmy, zrobiło się gorąco i wreszcie z daleka ujrzeliśmy skąpany w słońcu cel naszej podróży — starożytny Baalbek.

Autobusy zajęły na podwórzu koszar batalionu Legii Cudzoziemskiej, który jeszcze niedawno stał gar-

nizonem w jednym z fortów na Saharze, a obecnie szykuje się na front do Francji.

Przyjazd nasz sprawił ogólną sensację, a specjalnie ucieszył żołnierzy-Polaków. Obstąpili nas tłumnie i zaczęli gorączkowo wypytywać, skąd jesteśmy, dokąd jedziemy i... dlaczego tak prędko wojna się u nas skończyła?...

Bardzo chcieliśmy zwiedzić z Suchym świątynię, lecz postanowiliśmy poświęcić się dla ciekawych legionistów.

Gdy koledzy poszli podziwiać starożytne kolumny, freski, sklepienia i rzeźby, my, otoczeni żołnierzami, poszliśmy do pobliskiego barzyku, aby pogawędzić przy szklaneczce wina.

Zresztą z okien barzyku świątynia widoczna była jak na dłoni... Nawet niegorsza jakaś świątynia...

Podzieliliśmy żołnierzy na dwie grupy, Jedną wziął Suchy do stolika, a ja z drugą stałem przy bufecie. Opowiadaliśmy, jak to było i dlaczego tak było. Niestety, na dużo, bardzo dużo pytań nie mogliśmy dać żadnej odpowiedzi...

Może to i dobrze, że nie piliśmy wina, lecz rum?

Jakoś łatwiej nam było mówić, a im — słuchać. Chłopcy przejmowali się bardzo. Widzieliśmy zdumienie niezmierne i okropny gniew, widzieliśmy łzy i widzieliśmy to najgorsze: pogardliwy uśmiech...

Wkrótce kieliszki zmieniliśmy na szklaneczki, a nasze kapelusze na żołnierskie kepi. Już mało brakowało, a Legia Cudzoziemska powiększyłaby swój stan o dwóch dzielnych, wytrawnych żołnierzy. Niestety, Suchy zalał się i zaczął przemawiać po francusku. Mało tego — uparł się iść do świątyni zobaczyć westalki!

Perswazja moja nie pomogła i wkrótce cała paczka legionistów opuściła knajpę i udała się w kierunku ruin. Suchy szedł na czele śpiewając tango: „Fatmo, opowiedz mi bajkę o szczęściu“.

Wróciliśmy do Bejrutu późnym wieczorem.

Na kategoryczne żądanie Suchego notuję poniżej jego sprostowanie:

„...nieprawdą jest, że przemawiałem po francusku, że chciałem iść zobaczyć westalki i że śpiewałem tango: «Fatmo, nie opowiem nikomu, jak mi dałaś dwa razy szczęście».

Natomiast prawdą jest, że to Waśka przemawiał po rosyjsku, że on poszedł na westalki i że on śpiewał romans: «Spasibo, sierdce, czto ty umiesz tak lubit'...»

Możliwe — pokręciło mi się wszystko.

Bejrut, 16 stycznia 1940 r.

Pobyt nasz w Bejrucie dobiega końca. Pojutrze odpływamy do Marsylii. Szkoda, że nie zdążymy zobaczyć wszystkiego, co godne uwagi... Na trzysta stron Beadeckera dojechaliśmy do pięćdziesiątej.

Załużemy bardzo, że brak gotówki nie pozwala nam pojechać ani do Damaszku, ani do biblijnego Tyru i Sydonu. Zwiedzamy natomiast wszystkie meczety, kościoły i muzea.

Suchy się zmienił i jest ogromnie ponury. Pewno ma po Baalbeku wyrzuty sumienia. Ostatniego piasra dał starej żebraczce, a zakonnika pocałował w rękę.

Gdy go spytałem, czy czasem nie zwariował — powiedział mi, że jestem świnia.

Tak, to na pewno po Baalbeku.

Na Morzu Śródziemnym, 18 stycznia 1940 r.

Dzisiaj o godzinie 11 rano wyszliśmy w morze. Płyniemy wielkim francuskim transatlantykiem s/s „Champollion“ o wyporności 35 000 ton.

„Champollionek“, piętnastoletni staruszek, nie wygląda imponująco od strony morza. Pomalowali go całego na khaki, nie wyłączając mosiężnych balustrad i różnych, błyszczących dawniej, metalowych ozdób. Setki okrągłych okienek od kajut, wielkich lustrza-

nych tafli hallów, sal i barów, zapacykowano byle jak na ultramarynę.

Okręt wygląda nie tylko brudno, ale i śmiesznie. Śmiesznie, bo nie pasują do niego działa ustawione na dziobie i rufie. Wyglądają one tak, jak wyglądałyby ołowiane, strzelające grochem, dziecinne armatki na murach prawdziwej fortecy. Również i groźne bomby głębinowe nie wzbudzają jakoś grozy. Grube liny, na których wiszą, wyglądają jak sznureczki, a same bomby jak małe paciorki.

Za to wnętrze okrętu nie zmieniło się chyba zupełnie i jest takie samo, jak podczas ostatnich pokojowych rejsów do Indii i na Morze Południowe. Wszędzie lustra, witraże, dywany, klubowe kryte skórą meble, palmy, kryształowe nakrycia, wyfraczona służba. Cudowne, bogate halle, salony, czytelnia i biblioteka, wielka sala koncertowa i większa jeszcze, niczym boisko, sala gimnastyczna.

Czujemy się trochę onieśmieleni — nie pasujemy do tych wspaniałości, jesteśmy oberwani — w kieszeniach mamy płótno, a w butach dziury... Nadrabiamy jednak miną.

Godzina 21

Stanęliśmy na redzie portu w Haifie. Mamy tu nocować. Hm, prawdę mówiąc, znudziła mi się ta Palestyna — jestem w niej co tydzień — czy nie może się znudzić?!

Wzdłuż brzegów Palestyny, 19 stycznia 1940 r.

Po załadowaniu kilkuset ton pomarańcz — wyruszyliśmy o godzinie 9 w dalszą podróż.

W Haifie spotkaliśmy dwa okręty towarowe pod polską flagą. Tułają się, biedaki, od portu do portu.

Przeprowadzono ćwiczenia w zakładaniu pasów ratunkowych. Zebraliśmy się wszyscy przy łodziach

i kapitan statku, po sprawdzeniu założenia korków, objaśnił nam, jak się mamy zachowywać podczas alarmu.

Alarm zarządzony będzie nie tylko wtedy, gdy nieprzyjacielska łódź podwodna zostanie rozpoznana definitywnie, ale nawet wtedy, gdy na horyzoncie ukaże się coś podejznanego. Gdy tylko usłyszymy syreny, mamy natychmiast zaśrubować okienka w kajutach, założyć pasy, pozamykać drzwi i jak najszybciej zebrać się przy swojej łodzi ratunkowej.

Ja dostałem przydział, naturalnie z Suchym, do łodzi numer 12.

Różne miewałem przydziały...

Na morzu, 21 stycznia 1940 r.

Znajdujemy się na wysokości libijskiego portu Bengazi, stolicy włoskiej kolonii.

W Aleksandrii, gdzie zatrzymaliśmy się cały dzień, załadowano na „Champolliona“ 8 000 bel bawełny. Statek, dobrze teraz obciążony, płynie równo mimo wzburzonego morza.

Jest bardzo gorąco, a więc przebywamy stale na pokładzie i leżąc na trzcinowych kanapkach prowadzimy inteligentne dysputy:

— Ale te mewy latają i latają, i nigdy się nie zmęczą!

— E! zmęczą się, cholery!

— Zmęczą się?

— Pewnie że się zmęczą... O! patrz pan, jedna ma już dosyć — usiadła na falach.

— Rzeczywiście usiadła — ale może się frajerka naciąć, bo ją rak za kuper złapie, będzie miała!

— Skąd rak! W morzu nie ma raków!

— W głębokim — nie ma, ale tu jest ich do cholery.

— Niby co? Myśli pan, że tu płytko?

— Pewno że nie głęboko — patrz pan, zielony grunt przebija...

Z początku bawiła mnie ta błyskotliwa rozmowa, ale wszystko ma swoje granice. Gdy rozmowa zesłała na tematy kulinarne i jeden z kolegów, widocznie znawca serów, obiecał nam solennie, że nareszcie w Oxfordzie naje się prawdziwego Roquefortu — zaczęło mnie coś zalewać. Obawiam się, że była to krew! Wyrzymałbym i to, ale niestety rozpoczęły się śpiewy. Ktoś zanucił miłym barytonem:

„Gdzie wy tiepier — kto wam celujet palcy —
Kuda uszoł wasz kitajczonok z Li?”

Tu już mnie cholera naprawdę wzięła:

— Panie! skąd pan wie, że kitajczonok pochodził z Li? Zaręczam panu, że był on rodem z Płocka.

— Nie wiem, o co panu chodzi?

— Wiem, że pan nie wie, o co mi chodzi, ale jednego może pan być pewny: Skąd kitajec pochodził, to cholera jego wie, ale na pewno nie z Li, a poza tym komunikuję panu uroczyście, że tyle Roquefort ma wspólnego z Oxfordem, co Rolls-Royce z rolmopsem, co sandacz z sandwiczem i co Dardanele z Lardellim...

Wieczorem Suchy powiedział, że zrobiłem się straszny nerwus. Dłuższy czas tłumaczył mi, że muszę się oszczędzać, że grunt to zdrowie itd., a poza tym prosił mnie, abym mu wyjaśnił... skąd pochodził kitajec?...

Im bliżej brzegów Europy — tym większe spotykają nas ograniczenia. Francuzi się nie krepują i są pod tym względem brutalni. Dzisiaj na przykład nasza kolacja żołnierska była już nad wyraz skromna. Ale nie narzekamy, im więcej poniesiemy ofiar — tym prędzej wojna się skończy. Francuzi dają nam przykład takiej ofiarności.

Nie chcąc być gołosłownym, albowiem nikt by nie uwierzył w możliwość takich wyrzeczeń, zabrałem dzisiaj ze stolika menu naszego głodowego posiłku

i zachowam je jako dowód i jako przykład wojennego wysiłku Francuzów. Oto owo menu:

PAQUEBOT „CHAMPOLLION”

Diner du 21 Janvier 1940

Potage Henriette

Sole Meunière

Tournedos Arlésienne

Chapon de Bresse Rôti Cresson

Salade Escarole

Haricots Verts Sautés

Tarte Frangipane

Roquefort — St-Nectaire

Raisin — Mandarines

Café — Thé — Infusions

Cognac Otard

I to wszystko...

A Suchy to nawet Francuzów prześcignął w umartwianiu się — wypił tylko dwie butelki tego Otarda. Jedną pod mandarynkę, drugą pod rodzynek.

Na Morzu Tyreńskim, 22 stycznia 1940 r.

Nie wiem, z jakiego powodu została zmieniona marszruta. Mieliśmy zawinąć do Bizerty w Tunisie, tymczasem popłynęliśmy kursem północnym i w tej chwili znajdujemy się w cieśninie Messyńskiej.

Z lewej burty widać Sycylię — z prawej najbardziej na południe wysunięty cypel włoskiego buta. Po obu stronach wąskiej malowniczej cieśniny wznoszą się wysokie, urwiste góry, z których najwyższy dymiący szczyt to Etna.

Mijamy z prawej śliczne białoróżowe miasteczka Reggio i Scillę, z lewej — nieszczęsną Messynę.

Godzina 23

Płyniemy kursem północno-wschodnim, to jest w kierunku na wąski przesmyk między Sardinia i Korsyką.

Na Morzu Tyreńskim, 23 stycznia 1940 r.

Wzdłuż brzegów Korsyki

W nocy wiał tak silny mistral, morze tak bardzo było wzburzone, że — według słów kapitana — przejście między wyspami było bardzo utrudnione, a w każdym razie niebezpieczne.

Popłynęliśmy zatem wzdłuż brzegów włoskich i obecnie opływamy od północy dziką i górzystą Korsykę. Szczyty bardzo wysokich gór są pod śniegiem.

Zimno, niebo pokryte chmurami, morze szare, a mewy jakieś wystraszone i nieufne. Europa...

Zgaszono wszystkie światła, nawet pozycyjne, ściągnięto z masztu na rufie francuską flagę. Jutro rano będziemy w Marsylii.

Na morzu, 24 stycznia 1940 r. godzina 6,30

Jest jeszcze zupełnie ciemno, ale na horyzoncie migoczą słabe światełka. Marsylia! Jesteśmy podnieceni. Ubieramy się pospiesznie. Suchy nuci półgłosem Marsylianę.

WE FRANCJI

Camp de Carpiagne, 26 stycznia 1940 r.

Około południa wyładowaliśmy się ze statku, po czym przewieziono nas autobusami do obozu Camp de Carpiagne o 20 kilometrów od Marsylii, w stronę Tulu.

Droga do obozu prowadziła malowniczą górską autostradą. Biegnie ona od Marsylii w stronę granicy włoskiej przez całą Riwierę.

Obóz tutejszy jest stacją zborną wszystkich ochotników do Polskich Sił Zbrojnych. Przyszli żołnierze zjeżdżają się prawie z całego świata. Codziennie nadchodzi transporty liczące od 300 do 500 chłopa.

Nasz pobyt tutaj potrwa około pięciu dni. Na razie fotografują nas, mierzą, ważą, patrzą w zęby i gdzie indziej oraz przybijają na plecach pieczętki. Po tych czynnościach nastąpi odjazd kombatantów do właściwych obozów poszczególnych rodzajów broni. Nowo utworzony obóz dla lotników znajduje się gdzieś pod Tulużą.

Caussade, 31 stycznia 1940 r.

Z Camp de Carpiagne do małej stacyjki Cassis, odległej o 5 kilometrów, pomaszerowaliśmy piechotą przez góry. Po całonocnej podróży przez Marsylię, Sote i Montauban przybyliśmy wczesnym rankiem do ma-

łego, bardzo starego miasteczka Caussade, w departamencie Tarn-et-Garonne.

Przyjęcie, jakie nam tu zgotowano, było naprawdę wzruszające. Kompania honorowa, orkiestra, sztandary, przemowa mera, defilada — wszystko jakoś swobodnie, miło i głęboko wzruszająco. Chyba całe miasteczko wyległo na nasze spotkanie. Witali nas bardzo serdecznie, śmiali się do nas i machali chusteczkami, co chwila przykładając je do oczu... Widać było, że nas naprawdę z radością witają i że prawdziwe łzy mają w oczach. Z pewnością będzie nam dobrze w takiej prawie rodzinnej atmosferze. Już tak bardzo zmęczeni jesteście tułaczką i tak bardzo spragnieni serca i przyjaźni.

Szeregowych umieszczono w odległym o 7 kilometrów obozie; nas w miasteczku, na kwaterach prywatnych.

Trzymając w rękę karteczkę z merostwa, nieśmiało zadzwoniłem do bramy domu Madame veuve Prades, na Avenue de Molière.

Otworzyła mi mała, drobna, uśmiechnięta staruszka. Pierwsze jej słowa brzmiały:

— Bon jour, mon ami. Vive la Pologne!

Caussade, 5 lutego 1940 r.

Obóz, w którym przebywają nasi żołnierze, nazywa się Camp de Judes i znajduje się w odległości 2 kilometrów od miasteczka Septfonds. Zbudowano go dwa lata temu z przeznaczeniem dla internowanych żołnierzy hiszpańskiej armii republikańskiej. Do tej pory jest tu około 2000 Hiszpanów. Są to wyłącznie komuniści, na których w ojczyźnie wydano wyroki śmierci. Wracać już nie mogą — czeka ich w Hiszpanii strycek albo kula. Widok tych nędzarzy sprawia okropne wrażenie. Przeróżliwie chudzi, brudni, wynędzniali, ubrani w łachmany. Wielu z nich to kaleki bez rąk albo nóg. Od naszych żołnierzy odseparowani są zupełnie. Przebywają w innej części obozu, oddzielonej szerokimi zasiekami z drutu kolczastego.

Caussade, 6 lutego 1940 r.

Czekamy z niecierpliwością na weryfikację i formalne przyjęcie do Armii. Nastąpi to jednak nieprędko. Na razie wypełniamy różne formularze, spisujemy ewidencje, składamy zeznania, oświadczamy pod słowem i bez słowa, meldujemy ustnie i na piśmie.

Ponieważ w okolicznych miasteczkach zabrakło już papieru, artykuł ten „zapotrzebowano“ telegraficznie z Paryża.

Caussade, 7 lutego 1940 r.

Przyjechał, wyznaczony przez „Reginę“ („Regina“ jest to paryski hotel, siedziba naszego dowództwa), pułkownik Nazarkiewicz, nowy komendant obozu.

Zaraz po przyjeździe pan komendant miał do nas przemowę. Trwała ona krótko, ale była pełna treści:

— Tutaj, proszę panów, musicie pracować, proszę panów, nie tak jak w Polsce, proszę panów, gdzie nikt nic nie robił, gdy go się, proszę panów, nie popchło. (Dosłownie!)

Caussade, 8 lutego 1940 r.

„Popchłem“ wobec tego Suchego, Suchy mnie i zgłosiliśmy się do pracy. Ja zostałem płatnikiem; Suchy, jako że Seidlitz, został dyrektorem gospodarczym. Rano jeździmy do obozu. Ja sporządzam listy płacy i czekam na pieniądze. Suchy nie sporządza żadnych list i też czeka na pieniądze. Na obiad wracamy do Caussade, po południu zaś uczymy się francuskiego.

Caussade, 10 lutego 1940 r.

Może to tylko tutaj, w zapadłym kącie południowej Francji, panuje taki sielankowy spokój, cisza i bez troska; może to tylko tutaj nie widać wcale gorączki wojennej. Ogarnia nas jednak niepokój. Nastrój jest tak krańcowo inny niż w Polsce, atmosfera tak spokojna, że wierzyć się nie chce, iż kraj ten jest w woj-

nie. W wojnie, której nie chce i którą uważa za niepotrzebną. Obok strzępków starych, wrześnieowych jeszcze, afiszów o mobilizacji, zdartych (to się czuje!) z jakąś pasją, widnieją napisy: „A bas la guerre, vive la paix!“

Suchy mówi, że trzeba sobie kupić samouczek hiszpański: przy dobrej pogodzie widać Pireneje...

Madame veuve Prades opiekuje się mną jak synem. Skonfiskowała mi numer „La vie Parisienne“ i pocerowała skarpetki. Codziennie znajduję w nogach łóżka butelkę gorącej wody, owiniętą w stary sweter, a zamiast rumuńskiej jedwabnej piżamy w smoki i płomienie, mam przygotowany pachnący lawendą flanelowy kaftanik w bławatki i polne różyczki.

Madame veuve Prades jest matroną surowych obyczajów. Do domu każe mi wracać wcześniej i gderze, gdy zobaczy mnie na werandzie caussadzkiej kawiarni, rendez-vous miejscowej elity.

Rozmawiam ze staruszką dość często. Opowiada mi przeważnie o swoich dwóch synach. Starszy z nich, Mariusz, zginął pod Verdun, młodszy jest obecnie na froncie. Pierwsze nasze pogawędki były dla mnie bardzo męczące — rozumiałem tak mało. Obecnie z każdym dniem robię postępy i sam zaczynam opowiadać jej o swoim Jasiu i Hance.

Madame veuve Prades jest bardzo pobożna. Ofiarowała mi dużą, ciężką, w skórę oprawną „La Sainte Bible“.

Sąsiednia willa nazywa się „L'Amour“. Mieszkają w niej cztery panie i... Suchy.

Dyskrecja to jedna z moich nielicznych zalet. Poza tym dałem mojemu przyjacielowi słowo honoru; więc chociaż korci mnie jak diabli, nie powiem ani słowa...

Cztery panie i jeden Suchy! To wygląda groźnie i zarazem beznadziejnie, ale na szczęście rzeczywistość nie jest tak tragiczna. Cztery panie to: jedna staruszka,

dwie córki mężatki i, nie gniewaj się, Suchutki, przecież nic nie mówię, i... jedna wnuczka...

Choć to połowa lutego, wiosna jest już w całej pełni. W ogródku kwitną mimozy, różowym kwieciem obsypały się brzoskwinie, a wnuczka ma na główce wianuszek z fiołków... Oprócz wianuszka ma dyplom uniwersytetu paryskiego i agresywna jest jak cholera. Tak przynajmniej twierdzi Suchy. Mówi prawdę. Już pierwszego wieczoru, gdy we trójkę poszliśmy na spacer, Suchy stał się przedmiotem nie spowodowanej agresji.

Wnuczka, tuląc się do ramienia Suchego i filutecznie mrużąc czarne ślipki, spytała go niewinnie:

— Dites-moi, dlaczego koty tak się drą po nocy, że zasnąć nie można?

Ona się zresztą nie skarży. O, nie; dla niej kocie wrzaski to cudowna melodia.

— Et pour vous, mon petit?

„Petit“ zaczerwienił się i westchnął. Widocznie nie był w kondycji. Mała psotnica nie dała za wygraną i przytuliła się jeszcze mocniej.

— Polacy to strasznie mili, zdrowi, silni chłopcy. Bardzo mi się podobają. La culture française et la santé polonaise — voilà la mixture de luxe, oh!

Suchy znów się zaczerwienił i odpowiedział zakłopotany:

— Pas aujourd'hui, mademoiselle...

Tak, na pewno nie był w kondycji. Psiakrew! Żeby nie to słowo honoru — dałem je stanowczo zbyt pochopnie.

Caussade, 14 lutego 1940 r.

Przyjechali oficerowie angielscy „zorientować się w materiale ludzkim“. Tak w urzędowym piśmie określony był cel ich przybycia. Reflektują naturalnie tylko na żołnierzy młodych, zdrowych i dobrych fachowców. Jest tutaj takich wielu i spora paczka zdecydowała się pojechać do Anglii.

A oto treść deklaracji, jaką przed wyjazdem podpiszą zwerbowani:

DEKLARACJA

Ja stwierdzam własnoręcznym podpisem, że przed przybyciem do Anglii zostałem dokładnie pouczony o warunkach, na jakich Polskie Siły Powietrzne współpracować będą z Królewskimi Siłami Powietrznymi Wielkiej Brytanii.

Z tego pouczenia wiem, że:

W Anglii formowane są jednostki Polskich Sił Powietrznych przy Royal Air Force (RAF) i dowodzone przez polskich oficerów;

jednostki te utworzone będą wyłącznie z personelu polskiego, to znaczy, że wszyscy oficerowie, podoficerowie i szeregowcy będą Polacy;

jednostki te utworzone będą w ośrodkach szkolnych, których obsada (sztaby) jest mieszana — polsko-brytyjska;

żołnierze Polskich Sił Powietrznych składają przysięgę na wierność Rzeczypospolitej Polskiej oraz Królowi Wielkiej Brytanii na czas wojny, względnie na czas wyznaczony przez Naczelnego Wodza.

Również wiem, że poniższy tekst przysięgi został uzgodniony z Naczelnym Wodzem. Składam ją w tym przeświadczeniu, że jest ona jednym ze środków, prowadzących do uwolnienia Ojczyzny od Jej śmiertelnych wrogów:

Ja przysięgam wobec Boga Wszechmogącego, że będę wierny i lojalny wobec Jego Królewskiej Mości Jerzego VI, Jego Następców i Spadkobierców, i że, tak jak mi nakazuje obowiązek, będę bronił z honorem i wiernie Jego, Następców i Spadkobierców w osobie, koronie i wielkości przed każdym wrogiem, i że będę posłuszny wszystkim rozkazom Jego Królewskiej Mości, Jego Następców i Spadkobierców i wszystkich przełożonych i oficerów.

Tak mi dopomóż Bóg.

Paryż, dnia 1940 r.

.
(podpis)

Caussade, 18 lutego 1940 r.

Pojechałem wczoraj do banku w Montauban po pieniądze dla obozu.

Śliczne stare miasteczko cieszyło się specjalną opieką kardynała Richelieu, jako że jedna z montaubanek była jego przyjaciółką. Miasteczko bardzo się tym chlubi i dla uwiecznienia tej zaszczytnej koligacji ozdobiło kompozycją herbów kardynała i jego pięknej zapewne kochanki wszystkie swoje stare mosty i stare kościoły.

Nasz ksiądz kapelan mówi, że to grzech i w ogóle świństwo, bo naszym żołnierzom nasuwa sprośne myśli!

Caussade, 19 lutego 1940 r.

Byliśmy z Suchym w Montauban. Ksiądz kapelan miał rację: nasunęło nam. Ale co ksiądz kapelan robił tam o północy?...

Caussade, 21 lutego 1940 r.

Wczorajszą niedzielę spędziłem w Tuluzie. I tutaj również nie widać wojny. Robią ją tylko tysiące czarnych i żółtych żołnierzy z kolonii, którzy w ciepłym klimacie południowej Francji oczekują, aż się na północy ustali pogoda.

Ulice, ogrody, kawiarnie i kina zapchane są kolorowym wojskiem. W przeciwieństwie do Niemców, którzy podobno strasznie się ich boją — nie widać, aby się ich bały małe, drobne tuluzjanki. Który dzikus jest czarniejszy lub więcej żółty, który ma bardziej skośne oczy, bielsze zęby lub pokaźniejszy nos — ten ma u nich większe powodzenie.

Największym powodzeniem cieszą się jednak spahisi, dwumetrowe draby, ubrani w jaskrawe peleryny i małownicze kremowe turbany. Nie tylko po tym stroju można spahisów poznać. Można ich również po-

czuć. Suchy mówi, że to ambra. Ja mówię, że to gówno.

Caussade, 22 lutego 1940 r.

Od wczoraj obowiązuje czas letni, wcześniejszy o godzinę. W związku z tym ukazał się rozkaz dzienny komendy obozu takiej treści:

„Z dniem dzisiejszym zmieniam czas...”

To rozumiem! Po wojskowemu: krótko i głupio.

Caussade, 1 marca 1940 r.

Podobno nasz obóz przeznaczony został na pomieszczenie dla przysyłanych jeńców i dlatego ma ulec likwidacji. Codziennie odjeżdżają liczne transporty. Dwa odjechały już do Anglii, trzy do przemysłu francuskiego w kraju i jeden do jakichś lotniczych zakładów w Algierze.

O formowaniu polskich jednostek bojowych do-tychczas nic nie słyhać.

Caussade, 22 marca 1940 r.

Obóz nasz jest już rozwiązany. Oddział likwidacyjny wyjeżdża do Lyonu, ja — do Paryża, aby rozliczyć się z wydanych pieniędzy.

Opuszczam Caussade za godzinę. Przed chwilą pożegnałem się z Madame veuve Prades. Staruszka była bardzo wzruszona. Przyszła do mnie na górę z dwoma kieliszkami wina, ale sama napić się nie mogła, tak jej się ręce trzęsły. Kazała mi uklęknąć i założywszy na szyję medalik z Lourdes pobłogosławiła mnie na drogę. Ja również byłem tak wzruszony, że wykute uprzednio słowa serdecznego pożegnania wcale mi nie wyszły. Wręczyłem jej na pamiątkę porcelanową skrzyneczkę z przyborami do szycia, ucałowałem jej ręce i mokre od łez policzki. Teraz patrzę na babcię przez okno, jak w ogródku zrywa jakieś kwiatki. Pewnie dla mnie bukiet na drogę.

Suchy dopiero jutro wyjeżdża do Lyonu. Nie podejrzewałem go o taką subtelność: pięknej wnuczce ofiarował duży bukiet kwiatu pomarańczy...

Paryż, 24 marca 1940 r.

Zatrzymałem się w hotelu. Kilkundniowy pobyt przeznaczę wyłącznie na zwiedzanie Paryża.

I tutaj wojny właściwie nie widać. Robią ją tylko tłumy wojskowych, robią ją liczne tablice wskazujące kierunek najbliższego schronu, robią ją worki piasku okrywające szczelnie pomniki, wodotryski i różne inne dzieła sztuki, robi ją pokojówka, która przyleciała z wrzaskiem, że nie zasłoniłem okna.

Poza tym Paryż jest zupełnie przedwojenny. Ruch na ulicach ogromny; bary, restauracje, kina — przepełnione beztroskim, śmiejącym się tłumem; wystawy wielkich magazynów tak śliczne, wytworne i bogate, że można im się przypatrywać godzinami.

Paryż, 25 marca 1940 r.

Wracając dzisiaj z Montmartre, gdzie w jednej z knajpek byłem na obiedzie, zauważyłem ze zdziwieniem, że większość jadących w metro to jakby znajomi. Zorientowałem się, dokąd jadą, gdy przeczytałem ogłoszenie o Grand Prix du Printemps, Wielkiej Nagrodzie Wiosennej, która rozegrana ma być właśnie dzisiaj na słynnym torze paryskim d'Auteuil.

Zdecydowałem się naturalnie od razu i rezygnując ze zwiedzenia wieży Eiffla zacząłem przesiadać się za znajomymi typami, trzymającymi w rękach różnokolorowe programy.

Z przyjemnością stwierdziłem, że słynny d'Auteuil nie umywa się nawet do naszego Służewca, który o całe niebo jest ładniejszy i nowocześniejszy.

Dalszy ciąg odbył się według zwykłego programu. Postawiłem dychę na jedynekę — „Royal Beauty“, więc naturalnie przysłała dziewiątkę. W drugim biegu za-

grałem faworyta „Smarta“ — już za dwie dychy. Przyszedł drugi, ledwo żywy. Trzeciego biegu nie grałem, poszedłem do bufetu, a w czwartym — Wielkiej Wiosennej, postawiłem na „Bonawenturę“, bardzo ładnego ogierka. Oczywiście przegrałem również i nawet go nie zauważyłem w tabunie koni mijających celownik. Chyba zdechł gdzieś po drodze.

Lżejszy o 100 franków, wsiadłem do metro i pojechałem do „Casino de Paris“ kupić sobie bilet na dzisiejszy wieczór.

Paryż, 28 marca 1940 r.

Pamiętam, jak jeden z moich przyjaciół, Henio T. z Komorowa, radził mi, gdy wyjeżdżałem na „ćwiczenia“, abym wziął z sobą wędki i haczyki. „Na pewno będziesz miał okazję połapać sobie rybki“.

Miał chłopak rację. Łapałem na ćwiczeniach rybki. Pod mostem Aleksandra III między Place de la Concorde a Palais des Invalides!

Przechodząc wybrzeżem Sekwany, przystanąłem właśnie przy jakimś wędkarzu, starszym, sympatycznym panu, i zaczęliśmy rozmawiać. Po chwili rozmowy, z której starszy pan dowiedział się, że jestem Polakiem i że ryby w Polsce są takie, że nie zmieściłyby się pod tym mostem, sprawnie zarzuciłem ofiarowaną mi wędkę w szare fale Sekwany.

Rybki brały dobrze, pogoda była ładna i widoczek był niezgorszy, ale ileż milionów razy wołałbym łapać kielbie na gliniance pod Pruszkowem!

Lyon, 31 marca 1940 r.

Garnizon lyoński to najliczniejsze skupisko polskiego lotnictwa. Zjeżdżają się tutaj prawie wszyscy; tu właśnie ma powstać kilka polskich jednostek; stąd mamy wyjeżdżać na różne przydziały.

Mieszkam w skromnym pokoiku, odnajmowanym od madame Paquet, na rue de Capucins 6. Codziennie rano chodzę do koszar na Foire i wracam około 7 wieczorem. Praca, którą mi powierzono, jest bardzo odpowiedzialna. Jestem zastępcą Przewodniczącego Komisji Segregacyjno-Weryfikacyjnej. Komisja nasza ma za zadanie klasyfikować oficerów i szeregowców lotnictwa, napływających stale do lyońskiej Stacji Zbornej, badać ich dokumenty, stwierdzać prawdziwość zeznań i określać przydatność do służby w lotnictwie.

Lyon, 10 kwietnia 1940 r.

Niemcy zajęli Danię i rozpoczęli inwazję Norwegii. W tej chwili rozgrywa się wielka bitwa morska przy zachodnich wybrzeżach Skandynawii.

Fachowcy twierdzą, że zajmując Danię Hitler popełnił grubą omyłkę oraz że taką samą, jeżeli nie większą, omyłką jest inwazja Norwegii.

Rozpoczęcie działań w tej strefie ma być podobno punktem zwrotnym całej wojny.

Lyon, 11 kwietnia 1940 r.

Wczoraj, około godziny 4 po południu, gdy jak zwykle zresztą pracowałem na Foire, rozległo się nagle przeraźliwe wycie syren i huk strzałów artyleryjskich. **A l a r m!**

Ukazały się dwa niemieckie samoloty wywiadowcze, lecz po krótkiej chwili skryły się w niskich chmurach.

Charakterystyczne było zachowanie się naszych żołnierzy. Uradowali się szczerze i pyski im się śmiały od ucha do ucha. Myśleli biedacy, że i u nas nareszcie się zaczęło. Gdy jednak Niemcy odlecieli nie rzucając bomb, chłopcy wracali do koszar naprawdę smutni i zrezygnowani. Żołnierze francuscy przypatrywali się im z prawdziwym zdumieniem.

Lyon, 17 kwietnia 1940 r.

Bitwa morska przy wybrzeżach Skandynawii skończyła się zwycięstwem Anglików.

Desanty Sprzymierzonych, między innymi i polski, wylądowały w północnej Norwegii.

Zaminowano cieśniny Skagerraku, Kattegatu oraz wybrzeża Morza Bałtyckiego aż po Kłajpedę.

Krażownik niemiecki „Graf Spee“ został storpedowany przez angielski okręt podwodny.

Wszystkie te pomyślne wiadomości sprawiły, że nastrój stał się bardziej wojowniczy. Jakiś angielski poseł, ale chyba nie lord, lordowie podobno w ogóle nic nie mówią, powiedział na posiedzeniu Parlamentu: „Zniszczymy nie tylko Niemców, ale również niemieckie psy, niemieckie koty i niemieckie szczury“.

Na tę straszliwą zapowiedź, którą zainteresować się powinno Towarzystwo Ochrony Zwierząt, odpowiedział mu drugi poseł, że — „Porównując psy, koty i szczury do Niemców, kolega obraża te zwierzęta“.

Lyon, 25 kwietnia 1940 r.

Wojna na północy rozgorzała w całej pełni. Tak Niemcy, jak i nasi wszystkimi możliwymi sposobami posyłają na północ wojska i sprzęt. Anglicy bombardują bez przerwy lotniska norweskie i duńskie, a Niemcy polują na francuskie i angielskie transporty morskie. Jedni i drudzy chwają się ogromnymi sukcesami, ale ponieważ komunikaty obu stron są biegunowo różne — nie wiem, co o tym sądzić.

Lyon, 1 maja 1940 r.

Prezydent Roosevelt wysłał do Mussoliniego depeszę, aby Włochy razem ze Stanami pracowały nad ustaleniem pokoju. Na depeszę tę włoski gangster, tatuś Al Capona, odpowiedział, że pokój w Europie może być oparty wyłącznie na uznaniu faktu, iż Niemcy pokonały Polskę. Oj, doczekasz się, łobuzie, doczekasz!

Lyon, 6 maja 1940 r.

W Norwegii dzieje się coraz gorzej. Sprzymierzeni opuścili jakieś dwa ważne punkty, rezygnując już ze zdobycia Trondhjem. Myślę, że nie utrzymają się, a tym bardziej nie zdołają rozwinąć skutecznego natarcia z wąskiej „kiszki“ północnej Norwegii. Zdaje się, że jest to już początek końca norweskiej eskapady.

Z braku innych czytujemy jedyną gazetę codzienną „Głos Polski“ wychodzącą w Paryżu. Straszliwym wiadomościom z Kraju, jakimi przepełnione są szpalty tego dziennika, nie dajemy, na szczęście, wiary.

„Męczeństwo Polski“, „Sadystyczny szal Niemców“, „Cholera w Warszawie“, „Zaćmienie cywilizacji“, „Martyrologia polska“, „Szkoła tortur“, „Tragedia jeńców“, „Masakry, masakry, masakry“, „Terror i nędza w Polsce“, „Głód i śmierć“, „Samobójstwa“... oto codzienne wiadomości z Kraju, przeplatane, jak na urągawisko, francuskimi komunikatami z placu boju: „Rien à signaler“... „Rien à signaler“... „Rien à signaler“...

Zdarzają się, trzeba przyznać, również i wiadomości bardzo optymistyczne. Na przykład: „Nerwy Hitlera nie wytrzymają długiej wojny“, „Żołnierze wojsk sprzymierzonych palą się do walki z Niemcami“, „Niemcy przestają wierzyć w zwycięstwo“, „Milion dolarów za dostarczenie żywcem Hitlera“, „Niemieccy generałowie ratują się wpław“ itd.

Ale niestety, wiadomości te — przypominające spalenie Berlina przez „Łosie“, wypowiedzenie wojny przez Amerykę i zdruzgotanie Linii Zygfryda — również nie znajdują wiary. Nie trzeba nas było oszukiwać wtedy, wierzylibyśmy teraz.

Lyon, 7 maja 1940 r.

Wprowadzono różne ograniczenia w konsumpcji artykułów żywnościowych. Przez trzy dni w tygodniu

nie wolno sprzedawać mięsa i ciastek, w inne dni pić alkoholu itp.

Mnie specjalnie te „restrictions“ dokuczyły: codziennie chodziłem do pewnej małej cukierenki na gazety i babkę z rumem. Dzisiaj, gdy jak zwykle zasiadłem przy stoliku i zamówiłem swoją babkę, kelnerka, śmiejąc się ironicznie, powiedziała:

— Ah! non, monsieur, pas aujourd'hui. Pendant trois jours vous pourrez avoir „baba“ sans rhum, pendant trois autres jours du rhum sans „baba“, et pour votre „baba“ au rhum il faudra venir le dimanche!

Lyon, 8 maja 1940 r.

Ponieważ kilkakrotnie widziałem kaprala K. w towarzystwie jakiejś licznej rodziny francuskiej, zwróciłem się do niego z prośbą, aby znalazł mi nauczycielkę.

— Chodzi mi o to, panie kapralu, abym mógł codziennie choć ze dwie godziny porozmawiać po francusku. Proszę mnie źle nie rozumieć, gdyż chodzi tylko i wyłącznie o konwersację. Ale chciałbym również, aby ta pani czy panienka była podobna do ludzi, to jest, abym mógł się z nią pokazać w kawiarni czy w kinie. Zapłacę jej bardzo chętnie 300—400 franków miesięcznie.

Kapral K. bardzo się przejął swoją misją i już na drugi dzień przyszedł do mnie do biura.

— Owszem, jest, panie kapitanie, nawet niezgorza nauczycielka, ale ma... za duże piersi.

Uśmiełem się serdecznie, mimo że stosunki z Włochami są coraz bardziej naprężone. Propaganda niemiecka we Włoszech osiągnęła szczyt. Były ambasador włoski w Londynie, Grandi, wygłosił wczoraj wojowniczą mowę, w której jasno zapowiedział przystąpienie Włoch do wojny oraz zażądał Korsyki, Tunisu, Suezu i prawie całej Riwiery.

Podobno Włosi ewakuowali ludność z francuskiego pogranicza i znów kilka roczników powołali pod broń.

Wszystko zależy od tego, jak skończy się awantura norweska.

Lyon, 9 maja 1940 r.

W Norwegii kłapa generalna. To już nie ulega żadnej wątpliwości. Możemy wkrótce oczekiwać nalotów na Anglię z nowych niemieckich baz skandynawskich oraz koncentracji niemieckiej floty w fiordach skandynawskich.

Mimo to Anglicy nie tracą humoru. W związku z przegraniem kampanii północnej na ostatnim posiedzeniu Izby Gmin przywódca opozycji, sir Archibald Sinclair, oświadczył między innymi: „Sprawa ewentualnej pomocy dla Szwecji też nie jest wyjaśniona. Szwedzi chcą wiedzieć, czy w razie udzielenia im pomocy zadowolimy się jedynie, tak jak w Norwegii, bombardowaniem miast szwedzkich, zajętych chwilowo przez Niemców, czy też zbombardujemy również miasta niemieckie, skąd wyruszyły wojska?”

Na tymże posiedzeniu sir Arthur Greenwood powiedział: „Wojen nie wygrywa się na ogół przez prowadzenie wspaniałych ewakuacji”.

Powiedzenie to odnosi się do komunikatu angielskiej admiralicji, w którym określono ewakuację Trondhjem jako „wspaniałą”.

Anglików nie znam zupełnie, ale zaczynam ich lubić na kredyt.

Lyon, 10 maja 1940 r.

Dzisiaj około godziny 4,30 rano (tak jak w Małaszewiczach) obudził mnie warkot samolotu i (tak jak w Małaszewiczach) ze zgrozą pomyślałem — o której oni wstają?

Rozległy się strzały artylerii, początkowo nieliczne, po krótkiej jednak chwili zmieniły się w prawdziwą kanonadę. Między suchymi, krótkimi wybuchami po-

cisków artyleryjskich zacząłem odróżniać głucho, przeciągle detonacje bomb. Zaczęły wyć syreny.

Niemcy przylecieli w dziewiątkę: sześć Dornierów i trzy Messerschmitty. Latali zupełnie nisko i tak samo bezkarnie jak w Polsce. Francuzi spali, sieć posterunków obserwacyjno-meldunkowych nie działała zupełnie. Na niebie był jeszcze mrok, na ziemi lekka mgła. Nasi żołnierze poznali niemieckie maszyny po dźwięku silników i w czas opuścili koszary, chroniąc się do rowów.

Straty nie były duże. Poległo ośmiu polskich żołnierzy i ośmiu francuskich. Kilka bomb upadło na Bron, przedmieście Lyonu, gdzie mieści się nasze lotnisko, zabijając również kilka osób cywilnych, w tym dwoje małych dzieci.

Poranny dziennik radiowy przyniósł tak bardzo upragnione wiadomości. Niemcy napadli Belgię, Holandię i Luksemburg. Wszystkie te państwa bronią się i zwróciły się o pomoc do Sprzymierzonych.

Prasa popołudniowa przyniosła wiadomość, że wojska francuskie, angielskie i polskie przekroczyły granicę francusko-belgijską. Poza tym cała prasa zgodnie twierdzi, że Hitler napadając na te państwa popełnił fatalną omyłkę i że jest to w ogóle punkt zwrotny w całej wojnie.

Naczelnny Wódz, generał Władysław Sikorski, wydał następujący rozkaz do polskich wojsk lądowych:

Strzelcy!

Przypada Wam w udziale ten ogromny zaszczyt, że Wy pierwsi z wojsk lądowych, odrodzonej duchowo i materialnie narodowej siły zbrojnej, ruszacie na pole walki i macie ponieść w obce strony honor armii polskiej.

Zwracam się do Was w chwili Waszego wyru-

szenia słowami dawnego wodza polskiego: „Pamiętajcie, aby imię polskie dźwięczało donośnie!”

Bić się będziecie za Polskę z Jej odwiecznym i nieprzejednanym wrogiem. Walczyć również będziecie za sprawę świętą, sprawę wolności narodów, w myśl hasła Ojców Waszych „Za wolność naszą i waszą“.

Bić się będziecie na ziemi szlachetnego narodu, który jak Polacy wolał nierówną walkę, aniżeli poddanie się bez oporu wrażej przemocy. Bić się będziecie razem z wojskami naszych Sprzymierzeńców. Ciośy, które wspólnie zadacie, zaważą poważnie na losach wojny i przyspieszą dzień wyzwolenia Narodu ze straszliwej niewoli.

Strzelcy! Na Was zwrócone są dziś oczy wszystkich towarzyszy broni, wszystkich towarzyszy tułactwa. Jutro zwróci się do Was umęczony Kraj, by w Waszych czynach zaczerpnąć wiary oraz mocy do dalszego wytrwania. Wiem, że okażecie się godni wielkiego zadania, jakie Wam poruczyłem. Wiem, że zachowując ściśle braterstwo broni z Waszymi kolegami francuskimi i angielskimi rywalizować z nimi będziecie na polu wypełnienia żołnierskiego obowiązku.

Raz jeszcze przemawiam do Was słowami Wodza, któremu ongiś Bóg powierzył honor Polaków: „Nie podbijać idziecie, ale oswobadzać. Dosyć tego dla Polaka!”

Paryż dnia 10 maja 1940 r.

Wódz Naczelny
SIKORSKI
Generał Dyw.

Również naczelny wódz francuski, generał Game-
lin, wydał rozkaz do żołnierzy, w którym mówi:

„... Les mots d'ordre sont pour la France et tous
ses Alliés: courage, énergie, confiance“.

Rozkaz ten został rozplakatowany na mieście. Na

jednym z nich, w bramie komisariatu policji, jakiś dowcipniś po ostatnim słowie „confiance“, dopisał: „Et volonté, mon general, et volonté...“

Lyon, 12 maja 1940 r.

Niemiecki plan rozegrania kampanii wydaje się jasny. Markując uderzenie na Linie Maginota jedną dywizją, gros swych sił rzucili na Belgię i Holandię. Omijając od północy linię obronną Belgów, uderzyli bronią pancerną i lotnictwem na holenderski Maastricht, zdobyli go, forsując zarazem umocniony Kanał Alberta. Równiny Flandrii stanęły przed nimi otworem i tysiączne kolumny pancerne posuwają się szybko na południowy zachód.

Z drugiej strony, naprzeciw tej stalowej armii, przekroczywszy granicę belgijską, idą wojska sojusznicze.

Za kilka dni musi tam nastąpić decydująca rozprawa. Gdyby ją Niemcy wygrali to... to znaleźć się mogą na tyłach Linii Maginota! Za Linie Maginota, mając przed sobą pobite, cofające się i zdemoralizowane Armie Sprzymierzonych!

No, ale to się tak łatwo nie stanie. Może w ogóle się nie stanie. Cyrkowe wyczyny spadochroniarzy, pozabawionych artylerii, ciężkiej broni maszynowej i zapasów amunicji, nie na wiele się chyba przydadzą.

Eskadry angielskie i francuskie znajdują się o kilkanaście minut lotu. Do Norwegii leciały godzinami, aby walczyć dziesięć minut; teraz lecą dziesięć minut, aby walczyć godzinami. I walczą! Bezustannie bombardują niemieckie lotniska, niemieckie kolumny pancerne, zgrupowania, przeprawy, mosty...

Pamiętamy przecież, że w Polsce niemieckie dywizje pancerne, mimo że posuwały się prawie bez przeszkód, były po kilkunastu dniach bardzo wyczerpane. Tutaj walczą inaczej, walczą naprawdę, gnębieni są stale i bez przerwy. Jeżeli mimo to dojdą na przedpole

bitwy ostatecznej i staną tam oko w oko ze świeżą, bądź co bądź, armią Sprzymierzonych, to czy dadzą radę? Czy potrafią zdobyć się na nadludzki wysiłek? Chyba nie...

Lyon, 15 maja 1940 r.

Znowu się Hitler omylił. Zapowiedział, że w pięć dni zajmie Holandię, a zajął ją w cztery. Jeszcze ze dwa razy tak się omyli i ładnie będzie wyglądał. My też.

Niemcy w kilku miejscach przekroczyli Mozę. Na ziemi francuskiej rozpoczęły się już pierwsze walki. Największe z nich rozgorzały w rejonie Genbloux i wzdłuż Mozy od Namur do Sedanu. Walczy przeważnie broń pancerna i lotnictwo. Ilość czołgów w pewnej lokalnej walce na niedługim stosunkowo odcinku dochodzi do 4 000! Jedna z wypraw lotnictwa angielskiego, licząca aż 150 (sto pięćdziesiąt!!!) samolotów, zniszczyła Niemcom cztery mosty pontonowe na Mozie, rozproszyła czołgi skoncentrowane w odwodzie i artylerię oraz zniszczyła wszystkie drogi prowadzące do frontu.

W Holandii już się wszystko skończyło. Naczelny Wódz armii holenderskiej rozkazał zaprzestać walki i podobno posłał Hitlerowi bukiet tulipanów. Pancerne oddziały niemieckie wkroczyły do Hagi i do Amsterdamu.

Spotkałem dzisiaj Suchego. Szedł z dużym bukietem tulipanów. Niepoprawny.

Lyon, 18 maja 1940 r.

Sytuacja staje się coraz poważniejsza. Walki toczą się na południe od Sedanu i na północ od Rethel, a zatem w przeciągu dwóch dni Niemcy posunęli się prawie o 50 kilometrów. I w Belgii również nieprzyjaciel osiągnął poważne sukcesy: Malines, Louvain i Bruksela są już w jego rękach.

Generał Gamelin wydał dzisiaj rozkaz do armii, który zakończył słowami:

„...Comme toujours aux heures graves de notre Histoire, le mot d'ordre d'aujourd'hui est: Vaincre ou Mourir. Il faut Vaincre“.

Lyon, 21 maja 1940 r.

„Amiens et Arras occupés par les Allemands.“

To jest naprawdę straszna niespodzianka! Przecież Amiens odległe jest prawie o 80 kilometrów od wczorajszego placu boju! Więc to tak jest naprawdę? Więc tylko 40 kilometrów dzieli Niemców od morza i od odcięcia Anglików i Belgów? Jak to się stało? Przecież walczyło tam kilka tysięcy czołgów, dziesiątki tysięcy dział i miliony żołnierzy! Gdzie to wszystko jest? W rozsypance? W odwrocie? Czy możliwe, aby te armie były w porządku na niemieckich tyłach? Co znaczą zapewnienia, że „le morale des armées françaises n'est pas brisée“, że „les divisions Alliées sont intactes et de bon morale“, skoro nie są one zdolne do zlikwidowania, podobno drobnych, niemieckich oddziałków, które wysforowały się naprzód i prą ku wybrzeżu? Jakież to jest ten „duch“, skoro „les petits détachements motorisés“ buszują, gdzie chcą, w najbogatszym okręgu przemysłowym Francji?

Bujda, proszę panów — kupuję sobie rower!

Lyon, 22 maja 1940 r.

Nowy Wódz Naczelny, generał Weygand, wydał rozkaz dzienny, w którym mówi: „Je suis plein de confiance... si chacun fait son devoir... si nous tenons un mois...“

Nie, to nie jest przekonywujące: za dużo „si“.

Sytuacja nasza w Lyonie staje się bardzo nieprzyjemna. Francuzi patrzą na nas spode łba; drażnią ich setki polskich oficerów i żołnierzy przesiadujących

w kawiarniach i spacerujących po ulicach. Nie wiedzą chyba, że nie z naszej chęci próznujemy tutaj. Przecież dowodzą nami Francuzi i każdy ich rozkaz spełniany jest z chęcią i natychmiast. Czekamy z niecierpliwością, aby użyto nas jak najprędzej i wszystko jedno gdzie, byle na froncie, byle w walce.

Lyon, 24 maja 1940 r.

Niemieckie zagony pancerne dotarły już do wybrzeża Kanału La Manche. Padło Abbeville i Boulogne sur Mer...

Lyon, 28 maja 1940 r.

Leopold III poddał się Niemcom z całą swoją armią! Poddał się podczas bitwy, która zadecydować może o losach wojny! Poddał się bez zastrzeżeń i bez warunków! Poddał się nie pobity, z milionową armią!

Następstwa tego będą okropne. Armie francuskie i angielskie w Belgii można uważać za stracone. Niemcy zdobędą znowu wiele materiału wojennego i rzucają się jak szaleni na nowy front nad Sommą i Aisną. Zajmą Calais, Dunkierkę, wielką bazę francuskiej floty, i znajdują się o 40 kilometrów od... Dovru!*

* Francuski organ socjalistyczny „Le Peuple” zamieścił po wojnie cykl artykułów i dokumentów kompromitujących „wygnańca szwajcarskiego” jako monarchę i człowieka. Szereg opublikowanych dokumentów przedrukowały wielkie dzienniki stołeczne, jak „Le Soir” i „La Dernière Heure”.

W listopadzie 1940 roku Leopold III udał się w towarzystwie swego sekretarza, księcia Capelle, do Berchtesgaden, gdzie odbył kilkugodzinną rozmowę z Hitlerem. Jak wynika ze sprawozdania obecnego na tej konferencji niemieckiego ministra — doktora Schmidta — król belgijski prosił Führera o zagwarantowanie mu praw do tronu belgijskiego, w zamian za co gotów był złożyć oświadczenie zwywające naród belgijski do uznania Niemców za wład-

Lyon, 30 maja 1940 r.

Na północy jeszcze się trzymają. Angielski Korpus Ekspedycyjny dokazuje cudów waleczności. Każdy jego żołnierz, od zwykłego Tommy do najwyższych rangą oficerów, to prawdziwy bohater. Jak nasi walczyli w Polsce, tak oni walczą tam. Pozbawieni łączności, pozbawieni zaopatrzenia i pomocy, walczą zajadłe, walczą do ostatniego, walczą nie mając już, jak i my, nadziei.

ców Europy. Hitler był jednak w owym czasie tak pewny swej potęgi, że odrzucił pomoc Leopolda III.

„Le Peuple” publikuje następnie fotokopie niemieckich dokumentów, znajdujących się obecnie w posiadaniu Departamentu Stanu USA, z których wynika, że wskutek interwencji Leopolda III w grudniu 1940 roku — złoto belgijskiego Banku Narodowego zdeponowane we Francji wydane zostało przez marszałka Pétaina bankowi niemieckiemu.

W okresie 1940 — 1942 roku król Leopold III opuszczał kilkakrotnie Belgię, składając wizyty wybitnym hitlerowcom w Wiedniu, Heidelbergu i Monachium.

„Le Peuple” podaje również szczegóły dotyczące małżeństwa Leopolda III z Liliane Baels, córką proniemieckiego gubernatora Flandrii i siostrą działacza faszystowskiej organizacji, skazanego zaocznie po wojnie na 3 lata więzienia.

Z opublikowanych raportów profesora uniwersytetu gandawskiego, Van Straelena, szefa kancelarii Hitlera, doktora Meisnera, oraz gubernatora Belgii podczas okupacji — generała von Falkenhausena, wynika, że:

1) Hitler uważał Leopolda III za sprzymierzeńca, 2) Leopold III wysłał depeze gratulacyjne Hitlerowi w dniu jego urodzin, 3) Leopold III pragnął być nieobecny w Brukseli w chwili wyzwolenia Belgii przez wojska sojusznicze i w tym celu zaproponował generałowi von Falkenhausenowi, by Niemcy wywieźli go w głąb Rzeszy i 5) w porozumieniu z tymże generałem zredagował protest przeciwko swemu wywiezieniu z Belgii. (Z. W.)

Żaden rząd i żadne państwo nie krępuje się w określaniu postępku belgijskiego renegata. Ameryka, Szwajcaria, Turcja, Portugalia, Hiszpania nawet — nazywają zgodnie czyn tego kretyna zdradą, ohydą, łotrstwem, podłością itp. Tę jedną z największych zbrodni w historii świata, podłość, jakiej nie było dotychczas, Polacy nazwali w urzędowym oświadczeniu Rządu RP — odejściem króla Leopolda! Czyż nie elegancko?

Premier francuski, Paul Reynaud, wygłosił następujące przemówienie, transmitowane przez radio:

Muszę podać do wiadomości narodu francuskiego poważne wydarzenie. Wydarzenie to nastąpiło w nocy. Francja nie może dłużej liczyć na pomoc armii belgijskiej.

Od godziny 4 rano armia francuska i armia brytyjska walczą same na północy przeciw wrogowi.

Wiecie, jak przedstawia się sytuacja.

Wskutek przerwania naszego frontu w dniu 14 maja, armia niemiecka wtoczyła się między nasze armie, które podzielone były w ten sposób na dwie grupy: jedna na północy, druga na południu. Na południu dywizje francuskie trzymają wzdłuż Sommy i Aisny nowy front, który łączy się następnie z nie naruszoną Linją Maginota.

Na północy grupa trzech armii alianckich: armia belgijska, Brytyjski Korpus Ekspedycyjny i kilka dywizji francuskich, w których wielu z nas posiada drogą sobie istotę. Ta grupa trzech armii stała pod dowództwem generała Blanchard. Była ona zaopatrywana przez Dunkierkę. Armia francuska i angielska broniły tego portu na południu i na zachodzie. Armia belgijska na północy.

Właśnie ta armia belgijska skapitulowała nagle, bez warunków, na polu walki, na rozkaz swego króla, bez uprzedzenia francuskich i angielskich towarzyszy boju, otwierając dywizjom niemieckim drogę do Dunkierki.

Przed osiemnastu dniami ten sam król skierował do nas wezwanie o pomoc. Na wezwanie to odpowiedzieliśmy, wykonując plan ustalony od grudnia przez sztaby główne Sprzymierzonych.

I oto, w chwili toczącej się bitwy, król belgijski Leopold III, który do 10 maja starał się zawsze przywiązywać tę samą wagę do słowa, danego przez Niemcy, jak do słowa Aliantów — król Leopold III bez uprzedzenia generała Blanchard, bez oglądania się na nich, bez słowa dla żołnierzy francuskich i angielskich, którzy na jego rozpaczliwe wezwanie pospieszyli z pomocą jego krajowi — król belgijski Leopold III złożył broń.

Jest to fakt bez precedensu w historii.

Rząd belgijski zawiadomił mnie, że decyzję powziął król przeciw jednomyślnej opinii odpowiedzialnych ministrów. Rząd belgijski dodał, że zdecydowany jest oddać na usługi wspólnej sprawy wszystkie siły tego kraju, którymi może jeszcze dysponować, a między innymi zamierza wystawić nową armię i współdziałać w dziele uzbrojenia Francji.

Zwracam się myślą do naszych żołnierzy. Mogą oni powiedzieć, że honor ich jest nie naruszony. Dokonują oni na całym froncie wspaniałego wysiłku. W ciągu osiemnastu dni bitwy dali oni codziennie tysiące przykładów bohaterstwa. Młodzi generałowie francuscy, którzy ledwie zajęli miejsca swych poprzedników, już okryli się chwałą. Nasi dowódcy i nasi żołnierze tworzą blok, do którego kraj ma nieograniczone zaufanie, a który jutro wywoła podziw świata.

Wiedzieliśmy, że nadejdą ciężkie dni. Dni te nadeszły.

Setki razy dokonano najazdu na Francję, ale nigdy jej nie zgnębiono — jak to sobie przypomina nasz dzielny lud z Północy.

Poprzez próby, które nas czekają, tworzyć się

będzie nowa dusza Francji, która uczyni ją większą niż kiedykolwiek.

Wiara nasza w zwycięstwo jest nienaruszona. Siły każdego żołnierza, każdego Francuza, każdej Francuzki, wzrosły dziesięciokrotnie. Niestety zawsze wynosiło Francję wyżej. Nigdy Francja nie była bardziej jednomyślna niż dzisiaj. Na nowej linii, którą ustalił wielki wódz — Weygand, w pełnym porozumieniu z marszałkiem Pétain, wzdłuż Sommy i Aisny, będziemy się trzymać i ponieważ utrzymamy się — więc zwyciężymy.

Lyon, 1 czerwca 1940 r.

Jeżeli to prawda, że sygnałem do wystąpienia Włoch miało być osiągnięcie przez Niemców wybrzeża, to już lada chwila oczekiwać możemy uderzenia nożem w plecy.

Osiem milionów włoskich bagnatów, którymi tak się chwali Mussolini, nie zdoła co prawda sforsować francuskiej granicy, bo natkną się tam na dwa bataliony polskiej piechoty, ale kilka tysięcy włoskich samolotów będzie mogło, bezkarnie na razie, mordować cywilną ludność napływającą setkami tysięcy do departamentów Południa.

Słoneczna Italia, kolebka kultury i chrześcijaństwa, ojczyzna sztuki i piękna, kraj, gdzie świętością jest dziecko, a modlitwą piosenka — wyostrzyła siekiere i majcher w pysku trzyma.

Lyon, 9 czerwca 1940 r.

Że Niemcy chcą Paryża — to nic dziwnego, kto by nie chciał? Ale zdobycie Paryża będzie tylko fragmentem, bo Francuzi będą walczyli i w Paryżu, i za Paryżem, i w koloniach, podczas gdy pochód Niemców wzdłuż wybrzeża, a z drugiej strony — w kierunku na Metz i Nancy — spowodowałyby i upadek stolicy,

i zwycięskie zakończenie kampanii francuskiej. To jest proste — dość spojrzeć na mapę. Więc dlaczego Niemcy pchają się tylko na Paryż? Ano właśnie — hier liegt der Hund begraben — bo nie starczyłoby im tchu, bo są za słabi, bo liczą na Włochów, bo myślą, że upadek Paryża załamie moralnie Francuzów!

I tu się Niemcy natną. Amen!

Lyon, 10 czerwca 1940 r.

Włochy wypowiedziały wojnę Francji i Anglii. Padło Rouen. Niemcy przekroczyli Sekwanę.

Lyon, 12 czerwca 1940 r.

Spółceństwo francuskie dziwnie niefrasobliwie, a nawet z widoczną ulgą przyjęło wiadomość o nowej wojnie. Lyońska młodzież manifestowała na wesoło. Maszerując grupkami po ulicach i demolując po kolei wszystkie włoskie sklepy, pokrzykiwała dowcipnie:

„Zbombardować Benitę, bo Benito jest świnia“.

Wojnę Włochom wypowiedziała Kanada, Australia, Afryka Południowa i Nowa Zelandia. Lada chwila oczekujemy wojny polsko-włoskiej. Już najwyższy czas, bo zaczynamy się czuć głupio. Nie jesteśmy przecież gorszymi aliantami i należy nam się trochę śmiechu.

Lyon, 14 czerwca 1940 r.

Sytuacja jest krytyczna. Niemcy maszerują po 50 kilometrów dziennie. Odnosimy wrażenie, że wojsko francuskie już nie walczy, tylko w panice ucieka. Paryż ogłoszony został „miastem otwartym“ i broniony nie będzie. Wojsko, rząd i prasa opuściły już stolicę. Wkroczenia Niemców należy oczekiwać lada chwila.

Premier francuski wygłosił wczoraj przez radio rozpaczliwe przemówienie, a do Ameryki wystosował patetyczny apel.

Lyon, 15 czerwca 1940 r.

Wojska niemieckie wkroczyły wczoraj do Paryża.

Ameryka obiecuje nadal wydatną pomoc, ale bez upoważnienia Kongresu nie może przystąpić do wojny. Prezydent Roosevelt o zwołaniu Kongresu nie wspomina...

Tak, to już koniec. Dowództwo francuskie straciło zupełnie głowę i nie panuje nad sytuacją. Niemcy posuwają się wzdłuż Linii Maginota; przednie ich oddziały osiągnęły Chaumont. W Bordeaux od dwóch dni obraduje rząd francuski. Oczekujemy każdej chwili rozkazu ewakuacji do Afryki i do Anglii, aby tam znowu zacząć od początku. Pogłoskom, że marszałek Pétain i generał Weygand chcą zawrzeć pokój z Niemcami, nie dajemy wiary. Byłaby to przecież zwykła zdrada i złamanie słowa. Pétain — bohater spod Verdun, Francja! Nie, to jest na pewno robota V Kolumny. Przecież Francja ma przebogate kolonie, liczne armie gotowe do walki, przemysł lotniczy w Afryce Północnej, nie naruszoną drugą flotę świata! Kampania w Europie jest przegrana, ale to nie znaczy, że przegrana jest wojna.

To nie jest wojna europejska: to jest wojna światowa. Wojna przemysłów. Niech ruszy się tylko przemysł angielski, amerykański, wtedy — zobaczymy.

Lyon, 16 czerwca 1940 r.

Okropne wieści, jakie zaczęły nadchodzić z frontu, zdopingowały do wyczerpanej pracy nasze dowództwo lotnictwa. „Zdążymy czy nie zdążymy? Zdążymy czy nie zdążymy?” — mówili sobie nasi przełożeni, pracując bez wytchnienia. To była praca tytanów! Dzień i noc, bez odpoczynku, bez snu i bez pożywienia opracowywali jakieś tajemnicze plany. Plany, których urzeczywistnienie miało zaważyć na szalach wojny.

Zdenerwowani byliśmy bardzo i, tak jak oni w Pa-

ryżu, pytaliśmy się jeden drugiego: „Zdążą czy nie zdążą? Zdążą czy nie zdążą?”

No i zdążyli. Na tydzień przed upadkiem Paryża ukazały się... awanse.

Oprócz awansów zdołano jeszcze opracować projekt mundurów kolonialnych. Mają być bardzo ładne, „twarzowe“. Jasne, prawie białe, w delikatny, ledwo widoczny, niebieskawy rzucik. Spodenki mają być krótkie, do kolan. Dla podporuczników z rozporkiem na zamek błyskawiczny, dla wyższych stopni — na guziki. Ilość guziczków ma być wprost proporcjonalna do ilości gwiazdek. Porucznik ma mieć dwa guziczki, generał — chyba ze dwanaście. Zupełnie słusznie. Generał nie potrzebuje się spieszyć...

Lyon, 17 czerwca 1940 r.

Wczoraj około północy obudził mnie oficer-łącznik, wręczając rozkaz natychmiastowego zameldowania się na jakimś tam placu na zbiorce, ponieważ wyjeżdżamy, a może nawet opuszczamy Lyon pieszo. Od zdyszanego i zdenerwowanego porucznika dowiedziałem się, że nadeszły wiadomości, jakoby Niemcy przekroczyli Rodan pod Dijon i że ich pierwsze wozy pancerne znajdują się już w okolicy Lyonu.

Spojrzałem na mapę: od wczorajszego ranka posuwały się prawie o 100 kilometrów.

Spakowałem się błyskawicznie. Połowę rzeczy, między innymi i mapę frontu wraz z kompletem choraągiewek, którą kupiłem tydzień temu, zostawiłem u madame Paquet, a sam z walizką na plecach i dwoma butelkami szampana w kieszeniach płaszcza wyszedłem na ulicę.

W pewnej chwili, odpoczywając w jakimś ciemnym zaułku, uprzytomniłem sobie, że oto znowu ruszam na tułaczkę, która nie wiadomo gdzie, nie wiadomo jak i nie wiadomo kiedy się skończy. Siły opuściły mnie zupełnie i byłem bliski kompletnej depresji... Wypiłem

butelkę szampana. Siły wróciły mi natychmiast, a po depresji nie zostało śladu...

W wagonie, 18 czerwca 1940 r.

Nadszedł rozkaz radiowy Naczelnego Wodza, aby wszystkie polskie oddziały starały się przedostać do francuskich portów na Morzu Śródziemnym lub do portów alianckich nie zajętych jeszcze przez Niemców, skąd zostaną przetransportowane do Afryki lub do Anglii, która postanowiła walczyć bez względu na to, co uczyni Francja. Wobec tego niech żyje Anglia! Na jej cześć wypilem drugą butelkę szampana.

Jedziemy wzdłuż Rodanu, prosto na południe. Zbliżamy się do Avignon. Śliczne białe stacyjki i ich niskie ażurowe ogrodzenia całe pokryte są kwitnącymi różami. Pokazują się cyprysy, oliwki i palmy.

Mijamy lub nas mijają liczne transporty wojskowe. Jadą eskadry lotnicze, jedzie artyleria, jadą uszczęśliwieni Murzyni. Na szosie, biegnącej tuż przy torze, jadą tysiące samochodów wojskowych i cywilnych, miejscami w kilku rzędach. Tak jak w Polsce wszystko ucieka na południe.

Na większych stacjach węzłowych stoją dziesiątki transportów. Żołnierze francuscy, obwieszani manierkami wina, śpiewają i śmieją się głośno. Żaden z nich nie ma karabinu.

Na jednym z dłuższych postojów wysiadłem z załoczonego wagonu i chcąc rozprostować nogi przeszedłem się wzdłuż pociągu. We wszystkich wagonach tłoczno. Naraz stanąłem. Zobaczyłem naszych żołnierzy czyszczących właśnie karabiny i tak mnie coś za gardło złapało, jak wówczas, gdy przechodziłem polsko-rumuńską granicę. Tłumy pijanych i zaśmiewających się Francuzów i nasi: smutni, w milczeniu czyszczący karabiny, to był widok do głębi przejmujący... To było ciężkie przeżycie.

Jadąc przez słynne Nîmes z pomnikiem byka, przez Montpellier, przez wonny Roquefort, po sforsowaniu łańcucha wysokich gór z pomocą piętnastu tuneli, przyjechaliśmy na stację L'Hospitalité, skąd udaliśmy się pieszo do odległego o 5 kilometrów obozu Cavalieri.

Na razie palimy wszystkie akta i papiery, niepotrzebny płód dziewięciomiesięcznej pracy, i przygotowujemy się do dalszej podróży.

Wiadomości o kapitulacji sprawdzają się. Starą, leniwą, obżartą Francję głodni Niemcy pobili w dzień dni.

Argelès sur Mer, 21 czerwca 1940 r.

Po całonocnej podróży, kierując się na Perpignan, Carcassone i coś tam jeszcze, przyjechaliśmy o godzinie 6 rano do Argelès sur Mer, letniskowej miejscowości położonej tuż przy granicy hiszpańskiej.

Piszę te słowa siedząc na tarasie jakiejś pustej plażowej restauracji. Przedemną cudowne niebieskie Morze Śródziemne, a po prawej — strome zbocza dzikich, ośnieżonych Pirenejów, których szczytami biegnie granica hiszpańska.

Projekt kilku kolegów, aby zrobić wycieczkę do Hiszpanii, upadł, albowiem obawiamy się, że Hiszpanie mogą się na nas „odegrać“ za Somosierrę. Nie ma głupich.*

* Żart ten miał niestety swoje uzasadnienie. Dowiedzieliśmy się później, będąc już w Anglii, że Hiszpanie bardzo gorliwie wyłapywali Polaków, którzy — spóźniwszy się na okręty w porcie Vendres — starali się dostać do Portugalii, idąc przez Hiszpanię. Koncentracyjne obozy hiszpańskie niczym nie różniły się od takichż niemieckich. Najgorszą sławę miał obóz w Miranda Del Ebro, w którym zginęło wielu polskich żołnierzy. (Z. W.)

Jak swego czasu w Horodence, w Zaleszczykach i w Kutach zebrało się całe nasze lotnictwo, tak i teraz tutaj, nad brzegiem Morza Śródziemnego, w cudownym zakątku południowej Francji, zebraliśmy się wszyscy. Oczywiście prócz tych kilkuset, którzy zginęli na froncie lub w ogólnej zawierusze...

Niemcy podchodzą z jednej strony do Bordeaux, z drugiej zaś prą gwałtownie na Marsylię i całe wybrzeże. Czekamy więc tylko, kto pierwszy się zjawi: angielskie okręty czy niemieckie czołgi?

That is the question!

Zbliża się wieczór. Wpatrujemy się w pusty horyzont. Nie widać żadnego dymku ani żadnego „żagielka“. Niemców co prawda również nie widać, ale jakiś kozi fetor zalatuje od wschodu. Rozdano nam granaty i automatyczne karabinki, wyznaczono pozycje i wzmożniono placówki.

Rozeszły się pogłoski, że Francuzi stawiają jeszcze Niemcom opór na Loarze i w Alpach, skąd miały nawet wyruszyć jakieś silne oddziały pancerne i odciąć niemieckie jednostki wysforowane na południe. Pogłoskom tym nie dajemy wiary. Uciekinierzy napływający ciągle opowiadają wprost niesamowite rzeczy. Francuzi uciekają na widok jednego czołgu, rzucają broń i cały sprzęt. Zakłady Devoitin i Potez z kilkudziesięcioma samolotami dostały się nie uszkodzone w ręce Niemców. Setki i tysiące zakładów i fabryk przemysłu wojennego, składy paliwa i amunicji, magazyny surowców i żywności — wszystko to całe, bogate i w pełnym ruchu dostało się wrogom.

Lyon zdobyły podobno dwa czołgi! Dijon — jeden motocyklista!

Nasza niepełna dywizja pułkownika Maczka broniła się przez pięć dni atakując kilka pancernych dywizji niemieckich. Została w końcu rozbita, ale wstrzymywała długo pochód nieprzyjaciela. I to wstrzymywała sama jedna, ponieważ sąsiednie oddziały francuskie uciekły. Nasi żołnierze, jak za dawnych „dobrych“ czasów, walczyli z czołgami rozbijając o nie butelki z benzyną...

Jeden nasz czołg rzucał się na dziesięć niemieckich, jedna kompania szła na pułk, pułk — na dywizję...

Bohaterstwo tych straceńców nie pozostało bez uznania. Francuskie radio, opisując walki Polaków, zakończyło audycję słowami: „Żołnierze polscy dowiedli, że odwagą swą i bohaterstwem dorównują żołnierzom francuskim“.

Czy mogła paść większa obelga?...

Port Vendres, 23 czerwca 1940 r.

Dzisiaj około 10 rano ukazało się na horyzoncie sześć okrętów płynących pełną parą do portu. Zarządzono zbiórkę, bagaże załadowaliśmy na samochody, sami zaś ruszyliśmy pieszo do odległego o 12 kilometrów portu Vendres.

Mały porcik malowniczo położony w naturalnej zatoczce, otoczonej górami, zatłoczony jest wojskiem. Oprócz najliczniej reprezentowanego lotnictwa znalazły się tutaj resztki dywizji generała Maczka, trochę piechoty, artylerii oraz pułk piechoty czeskiej.

W DRODZE DO ANGLII

Na morzu, 25 czerwca 1940 r.

Płyniemy wielkim francuskim transatlantykiem „President del Piaz“ trzymając się hiszpańskich wód terytorialnych. Dwa kontrtorpedowce, które nas miały eskortować, pozostały w porcie, opuszczając flagi do połowy masztu...

Dzisiaj o godzinie 1 w nocy ustały działania wojenne. Nie znaczy to, że Francuzi przestali walczyć, oznacza to, że przestali uciekać. Dzień 25 czerwca nie jest, jak chcą kontrtorpedowce, dniem żałoby narodowej, lecz dniem narodowej hańby. Zamiast cudownego trójkolorowego sztandaru do pół masztu, powinni na sam jego szczyt wciągnąć stare gacie!

Wczorajszą noc spędziłem na deszczu, leżąc z walizką pod głową na kamiennych stopniach jakiegoś pomnika; dzisiaj — wróciłem właśnie z łazienki i za chwilę zasnę na puchowych materacach jednoosobowej kabiny luksusowego transatlantyku!

Minęliśmy Barcelonę. Z lewej burty widać Majorkę, jedną z wysp Balearskich; z prawej już wkrótce zabłyśną światła Valencji.

Na morzu, 26 czerwca 1940 r.

Godzina 9. Jesteśmy na wysokości Cartageny. Brzegi Hiszpanii, ostatnie brzegi Europy, znikają już

na horyzoncie. Za kilka godzin ukaże się ląd afrykański.

Upał coraz większy. Leżymy w kabinach półnaczy i półżywi. Wirują dziesiątki wentylatorów, pracują bez przerwy sprytnie skonstruowane przyrządy tłoczące chłodne powietrze.

Godzina 1 po południu

Cienka, równa linia horyzontu zaczyna zmieniać się w oczach. Miejscami ciemnieje i wznosi się, miejscami błysnie piaskiem i ginie w morzu. Przyleciały mewy. Przed nami Czarny Ląd.

Godzina 22

Stoimy w orańskim porcie. Ponieważ jest już późno i całe nadbrzeże tonie w ciemnościach, nie schodzimy na ląd i noc spędzimy na statku.

Zachód słońca jak w bajce. Niebo, na wschodzie granatowe, seledynowe w zenicie, zmieniało się na zachodzie w amarant i złoto. Błyszczące fale zatoki miały się cudownie wszystkimi kolorami nieba. Niestety, piękny widok trwał krótko. Pastelowe barwy zszarzały nagle, zgasły kolorowe ognie morza, zrobiło się ciemno, po chwili — czarno. Nastała sucha, gorąca noc.

Oran, 27 czerwca 1940 r.

Koło południa zesłaliśmy na ląd i udaliśmy się na kwatery mieszczące się w jakimś wielkim gmachu szkolnym. Zrezygnowaliśmy z niepotrzebnego zresztą odpoczynku i zwiedzamy piękne miasto. Salade Algerien, kura w pomidorach, sola w koperku, renklody, winogrona, migdały, sery, wino i Martel. Total — 25 franków! Piękne miasto! Suchy! gdzie jesteś?

Opuszczamy Oran dzisiaj o północy. Jedziemy koleją przez Sidi-bel-Abbes i Fez do Casablanki na wybrzeżu Atlantyku.

Do Oranu przybyła francuska flota atlantycka. Widzimy z daleka szereg potężnych okrętów stojących, niestety, bezczynnie. Tysiące marynarzy włączają się po mieście — są w najlepszym humorze: śmieją się, śpiewają i piją. To chyba potworna plotka, że przyплыnęli tutaj, aby dać się rozbroić! Nie, to niemożliwe, aby cała ta potęga bez jednego strzału oddała się Niemcom i Włochom! I łajdactwo musi mieć jakieś granice!

W wagonie przez Algier, 28 czerwca 1940 r.

Pociąg powoli pokonuje łagodne wzniesienia Środkowego Atlasu. Krajobraz zupełnie nie jest „afrykański“. Gospodarka rolna o najwyższej kulturze. Nie widać zupełnie nieużytków. Dziesiątkami kilometrów ciągną się plantacje winogron, oliwek i migdałów. Jest już po żniwach — co pewien czas widać białe plamy pszenicznych ściernisk.

W wagonie przez Maroko, 29 czerwca 1940 r.

Krajobraz zmienił się zupełnie. Równina pokryta spaloną trawą i jakimiś suchymi badyłami. Jesteśmy nieprzytomni z upału. Nawet czarni pochowali się po różnych norach. Nie umiemy sobie radzić. Temperatura dochodzi do 50 stopni w cieniu. Jemy tylko pomarańcze i brzoskwinie. Blok czekolady wylał mi się z walizki. Wysusiałem się parą.

Jutro będziemy w Casablance.

Casablanca, 30 czerwca 1940 r.

Przyjechaliśmy nad Atlantyk o godzinie 6,30 rano. Francuzi ze strachu przed Niemcami i Włochami (o rany, przed Włochami!) chcą się nas pozbyć jak najprędzej. Wyjeżdżamy za trzy dni. Dokąd — nie wiem. Przypuszczalnie do Anglii.

Na pokładzie „Wilił”, 3 lipca 1940 r.

Stosownie do zapowiedzi byliśmy w Casablance tylko trzy dni. To jest rzeczywiście najpiękniejsze miasto świata! Zwiedziłem je dokładnie, ale niestety szczegółów opisać nie mogę. Ze względu na powagę tej książki. (Suchy, gdzie jesteś?)

Z oddziałkiem, liczącym kilkunastu oficerów i dwustu szeregowców, przeważnie z 10 Brygady Pancerniej, udałem się do położonego o 250 kilometrów od Casablanki portu Lyautey, gdzie załadowaliśmy się na starą polską „Wilię”. Oprócz wojska znajduje się tutaj również grupka osób cywilnych, przeważnie inżynierów i techników lotniczych z żonami i dziećmi. Są również dwaj lekarze, ksiądz kapelan, sanitariuszka i cieśla. Jednym słowem — wszystkie wygody.

Wojna zastała „Wilię” na wodach afrykańskich. Okręt schronił się do portu i tkwił w nim beczynnie przez dziesięć miesięcy. Stan okrętu jest fatalny. Załoga była co prawda zdekompletowana, ale pozostała część nie miała nic do roboty. W kajutach, składach, magazynach i różnych zakamarkach aż się roi od robactwa. Wszędzie brud, rdza, pajęczyna i porozlewane smary. Co prawda okręt jest staruszkciem — ma 35 lat — ale przecież i staruszek może być schludny.

Załogę uzupełniono naszymi żołnierzami. Chętnych znalazło się sporo. Skusiła ich bądź możliwość pracy, bądź obietnica lepszego wikt. Wyznaczono palaczy, kucharzy, stewardów. Z pancerniaków zorganizowano obsługę czterech działek i oddział karabinów maszynowych. Działa wyczyszczono i przygotowano amunicję. Przy karabinach, z których zwieszają się taśmy naboju, dyżurują już strzelcy. Na mostku obserwatorzy artyleryjscy uzbrojeni w lornety patrolują bez przerwy horyzont.

Na Oceanie, 4 lipca 1940 r.

O godzinie 10 rano odcumowaliśmy i płynąc rzeką do jej ujścia „weszliśmy“ w Ocean Atlantycki. Ciekawy jestem, jak będziemy z niego „wychodzić“...

Dokąd płyniemy, okaże się niebawem. Jeżeli skręcimy w lewo, to znaczy, że celem naszej podróży jest Ameryka lub jakieś kolonie angielskie. Skręcenie w lewo, byłoby, sądzę, słuszne: w spokoju zorganizowalibyśmy eskadrę i jako bojowy oddział ruszylibyśmy na front. Jeżeli natomiast skręcimy w prawo, oznaczać to będzie, że płyniemy do Gibraltaru i Anglii. Z kobietami, dziećmi, cieślą? Nie, jestem pewny, że skręcimy w lewo.

Godzina 1 po południu

Kompletna zguba! Skręciliśmy w prawo! Na dobitkę ukazał się „Rozkaz Dzienny Nr 1“, w którym przeczytałem: „W razie ataku samolotów — wszyscy schodzą pod pokład. W razie ataku okrętu podwodnego — wszyscy wychodzą na pokład“. Obawiam się, że już niedługo będziemy latali tam i z powrotem. Muszę sobie zapamiętać: w razie z góry — pod, w razie spod — na górę. Żeby się tylko nie omylić i nie wypaść z tempa! O rany! Jaka niesamowita będzie ta podróż! Myślę, że w chwili gdy zegnaliśmy trzykrotną syreną biały piasek Czarnego Łądu, nieboszczyk Poe oblizał się w trumnie... Ha!

Na Oceanie, 5 lipca 1940 r.

Przed chwilą otrzymaliśmy wiadomości radiowe. Wzbudziły w nas prawdziwy entuzjizm i wiwaty na cześć naszych ostatnich aliantów. Anglicy nareszcie zdjęli rękawiczki. Oto treść komunikatu:

W dniu 3 bm. marynarka francuska na wezwanie admiralicji angielskiej oddała Anglii: 2 pancernie

niki, 2 krążowniki, 8 kontrtorpedowców, wiele łodzi podwodnych i 200 poławiaczy min.

Część floty francuskiej, skoncentrowana w Oranie, otrzymała z admiralicji wezwanie, aby bądź podjęła walkę z Niemcami, bądź odpłynęła do portów angielskich.

Ponieważ admirał dowodzący flotą odmówił wykonania powyższych żądań, flota angielska przypłynęła do Oranu i otworzyła silny ogień na stojące okręty. Jednocześnie angielskie lotnictwo rozpoczęło atak z powietrza. Flota francuska stanęła w płomieniach i 2 pancerniki, 4 krążowniki oraz wiele torpedowców poszło na dno, jeden za drugim.

Dobrze im tak!

Godzina 13,30

Wpłynęliśmy w cieśninę Gibraltarską. Z lewej burty widoczne są brzegi południowej Hiszpanii, z prawej — hiszpańskie Maroko Północne.

Godzina 16

Opuściliśmy kotwicę przy molo węglowym w Gibraltarze.

Gibraltar, 6 lipca 1940 r.

Tuż przed nami wznosi się skała Gibraltaru. Robi ona niezwykle wrażenie. Na urwistych, nagich stokach widać liczne reduty, blokhauzy i forteczki. Przez lornety widzimy setki kopulastych betonowych przykryć stanowisk artyleryjskich i liczne schrony wykute w skałach.

W porcie, położonym u stóp góry od strony hiszpańskiej, stacjonuje potężna eskadra angielskiej marynarki wojennej.

W niespełną godzinę po naszym przybyciu byliśmy świadkami niezwykłego widowiska. Nieoczekiwanie

rozległy się syreny portowe i w tej samej chwili zaroilo się na okrętach od białych sylwetek marynarzy biegnących na swoje stanowiska: do dział, do karabinów maszynowych, na punkty obserwacyjne. Nie upłynęły dwie minuty, gdy jeden okręt za drugim, jak gdyby defilując przed naszą „Wilią“, wypływał z wewnętrznego portu.

Cóż za wspaniały był to widok! Sprawnie i szybko przepływały przed nami dziesiątki szarych stalowych fortów. Małe, zwinne, ledwo z wody wystające torpedowce; poważne, najeżone działami krążowniki; dwa okręty liniowe — HMS „Malaya“ i HMS „Renown“. Za nimi przepłynął lotniskowiec „Ark Royal“, a na samym końcu, pod admirałską flagą sir Jamesa Somerville'a, majestatyczny, budzący grozę, największy okręt świata i duma brytyjskiej marynarki, pancernik „Hood“.

Nie znam się na marynarce i pierwszy raz widzę z bliska eskadrę okrętów wojennych, ale taka jakaś potęga, taka niesamowita siła promieniowała z tych płynących gór stali, że instynktownie wyjąłem ręce z kieszeni i chciałem powiedzieć — „przepraszam“...

Dzisiejszą pobudkę, zamiast trąbki, odegrały działa. Mały kawałek gibraltarskiej skały ryknął ogniem i przepędził jakiś pojedynczy samolot wywiadowczy. Huk był straszliwy. Jak to będzie wyglądało, gdy nie mały kawałek, ale cała góra ryknie?

Na Oceanie, 8 lipca 1940 r.

Wczoraj wieczorem wyszliśmy w morze. Płyniemy w konwoju złożonym z dwudziestu czterech statków handlowych, przeważnie angielskich i greckich. Polską Marynarkę Wojenną reprezentuje ORP „Wilia“, brytyjską — trzy kontrtorpedowce eskortujące konwój.

Okręt Rzeczypospolitej „Wilia“ eskortuje sam siebie, ponieważ nie może nadażyć za konwojem. To do-

piero wstyd... Wiele razy w życiu bałem się i wiele razy się wstydziłem (powinienem co prawda znacznie częściej), ale nigdy nie zaszła taka okoliczność, żebym się bał i wstydził jednocześnie. Ta mieszanka jest okropnym uczuciem.

Kto by się zresztą nie bał? Łódek podwodnych kręci się tutaj do nagłej krwi, a tymczasem torpedowce płyną gdzieś daleko przy konwoju, który znika już prawie na horyzoncie. Znika, mimo że płynie zygzakami, a my, chcąc go dogonić, daliśmy palaczom podwójne porcje kielbasy i walimy prosto, zygzaki mając gdzieś.

Nie pomaga — stale zostajemy w tyle.

Na Oceanie, 9 lipca 1940 r.

W nocy podpłynął do nas jeden z torpedowców i zaczął przez tubę na nas krzyczeć. Nie wiemy dokładnie, co krzyczał, ale musiało to być coś bardzo nieprzyzwoitego, bo krew nas zalała.

Nie pozostaliśmy naturalnie dłużni i nie bacząc na obecność dam i dzieci porozstawialiśmy mu rodzinę po kątach.

Jest mały sztormik. Co chwilę fale zalewają pokład. ORP „Wilia“ trzęsie się, syczy parą, trzeszczy, dymi jak pancernik i pruje fale oceanu z szybkością 4 mil na godzinę i kwadrans.

W razie ataku okrętu podwodnego, który w tych okolicznościach nie będzie się przecież pchał jak głupi do środka konwoju, tylko nas nieszczęsnych obierze za cel — sytuacja będzie groźna.

Po dłuższym namyśle postanowiłem zastosować następującą taktykę, że tak powiem, walki: Przebywać w samym środku okrętu, albowiem ten, co go chce trafić, celuje w sam środek, a więc w środek nie trafi. To jest proste. Skakać prędko z prawej burty, jako że stąd jest bliżej do Hiszpanii. Pływając, trzymać się blisko księdza kapelana i robić to samo, co on. Wziąć

z sobą chusteczkę do wiewania i wszystkie pieniądze, to jest 5 dolarów. Chusteczkę trzymać w zębach, a dolary znacznie niżej. Miejsce to, w tym wypadku, jest najlepszym safe-sem na walory: i zgubić trudno, i ryba nie znajdzie. Chyba węgorz, flądra — nie.

Na Oceanie, 11 lipca 1940 r.

Płyniemy na razie bez przygód. Konwoju prawie już nie widać. Jesteśmy na wysokości północnej Portugalii, 500 mil od brzegów.

Dowództwo okrętu wydało całą masę przeróżnych rozkazów i instrukcji. W przepisach o zachowaniu się na wypadek pożaru — znalazłem i swoje nazwisko. Kazano mi opiekować się kobietami i dziećmi i zapobiec powstaniu paniki. Pojęcia nie mam, jak to zrobić, tym bardziej że znam siebie dokładnie i wiem, że w razie pożaru sam pierwszy ulegnę panice. Taki już jestem, że ulegam. A poza tym okręt będzie się palił jak cholera; i co jak co, ale panika jest w ogóle pewna. Tu lipy nie ma! Spróbuję jednak przemówić do nich w ten mniej więcej sposób:

„Proszę kobiet i proszę dzieci. Tylko bez paniki! Tylko bez paniki! Okręcik jest ubezpieczony i jak się spali, to wybudujemy sobie nowy, ładniejszy. Zresztą nie wiadomo, czy lepiej się spalić, czy utopić. No! Kto się chce spalić — ręka do góry!“

Myślę, że kobiety i dzieci będą uspokojone moją przemową i nawet nie zauważymy, jak się spalimy wszyscy razem.

W dzisiejszej audycji radio londyńskie zapowiedziało, że w sierpniu nastąpi pierwsze wielkie uderzenie, a latem 1941 roku Niemcy będą zniszczone i nastąpi koniec wojny.

Trzymam wobec tego BBC za słowo, a właściwie

za mikrofon, i spokojnie czekam do sierpnia i do przyszłego roku. Obawiam się tylko, czy Niemcy będą chcieli, tak jak ja, czekać do przyszłego roku.

Na Oceanie, 12 lipca 1940 r.

Zaczęło się! Prześarte rdzą kotły nawaliły zupełnie i nie trzymają ciśnienia. Nie pomógł nawet torpedowiec, który znowu podpłynął do nas z awanturą.

Zmieniliśmy kurs o 180 stopni. Płyniemy do portu Vigo w Hiszpanii północnej. Ponieważ „Wilia“ jest okrętem wojennym, będziemy mogli przebywać w porcie zaledwie 24 godziny. Jeżeli po upływie tego czasu nie wyjdziemy w morze, zostaniemy internowani.

Zarządzone wczoraj lekcje angielskiego — odwołano. Poszukiwany jest lektor języka hiszpańskiego.

Tegoż dnia, godzina 17

Lekcje języka hiszpańskiego — odwołano. Poszukiwany jest nowy lektor języka angielskiego, bo poprzedni się obraził, twierdząc, że robią z niego wariata. Ma zupełną rację, z tą jednak różnicą, że wariatów robią z nas wszystkich.

A zawinił tu inżynier, który uwziął się, że musi kotły doprowadzić do porządku i umożliwić kapitanowi wykonanie rozkazu Naczelnego Wodza, to jest dopłynięcie do Anglii. Tłumaczyłem mu jak komu mądrymu, że przecież do celu jest przeszło 2.000 kilometrów, a kotły każdej chwili mogą nawalić jeszcze bardziej, że ładunek nie przedstawia żadnej wartości z punktu widzenia odparcia inwazji, że jest jednocześnie bezcenny ze względu na obecność dzieci, że jak nie przestanie majstrować przy kotłach, to wyrzucimy go w ogóle za burtę itd.

Na upór nie ma lekarstwa — inżynier się uwziął. Zamiast słodkiej wody nalał do kotłów słonej i dosypał parę kilogramów mąki kartoflanej, oraz jeszcze

coś tam do kotłów skutecznił. Ciśnienie zaczęło trzymać, ale atmosfera jest nie do wytrzymania...

Dzisiaj jest piątek — o północy zacznie się trzynasty! Ciekawe...

Na Oceanie, 13 lipca 1940 r.

O godzinie 2 minut 20 w nocy rozległy się dzwonki alarmowe. Dzwoniły bez przerwy, a więc „Atak spod wody!“ Nie mogę powiedzieć, abym się długo namyślał. Wskoczyłem z hamaka jak z procy i w kilka sekund byłem na pokładzie. W przeciągu bardzo krótkiego czasu zebrali się wszyscy. Niektórzy w bardzo fantastycznych strojach, a właściwie w ogóle bez strojów, tylko z walizczkami w rękach (?).

Po kilku minutach oczekiwania na torpedę wyjaśniło się, że było to nieporozumienie: alarm był fałszywy, spowodowany został krótkim spięciem przewodów elektrycznych.

Tłum ludzi, przed chwilą śmiertelnie przerażonych, zaczął się śmiać. To był widok zupełnie niesamowity.

Dzień minął spokojnie. Ocean jest wzburzony, dmie silny wiatr, pada deszcz. Co pewien czas spotykamy łodzie rybackie. Ponieważ jesteśmy na wysokości Bordeaux i w odległości co najmniej 700 kilometrów od brzegu, obecność tych żaglówek wydaje nam się podejrzana. W ogóle wszystko wydaje nam się podejrzane. Po co na przykład porucznik M. prosił mnie, abym zabawił rozmową jego żonę, a sam poszedł z tą ładną sanitariuszką do pustej kajuty dyżurnych mechaników? To jest bardzo podejrzane...

Na Oceanie, 14 lipca 1940 r.

O godzinie 20 ukazały się na horyzoncie sylwetki trzech okrętów. Alarmu nie było, bo dzwonki nie

chciały tym razem dzwonić. Przez lornety rozpoznano angielskie kontrtorpedowce, z których jeden odłączył się z szyku i wziął kurs prosto na nas.

Wciągnięto na rufie polską flagę wojenną, a na linie z głównego masztu wywieszono kilka małych chorągiewek jako znak rozpoznawczy. Po kilku minutach przyplłynął i okrążył nas dwukrotnie śliczny i groźny zarazem „A. 06“.

Na pewno ze zdziwieniem i niewiarą przyglądał się naszej „Willi“, płynącej samotnie na niebezpiecznych wodach, setki kilometrów od najbliższego lądu, i dopiero biało-czerwona flaga wyjaśniła mu, że miał honor spotkać okręt polskiej, zaprzyjaźnionej armady. Torpedowiec widocznie wzruszył się, bo też wywiesił jakieś kolorowe chorągiewki i zapytał nas, czy czasem czego nie potrzebujemy. Nie potrzebowaliśmy naturalnie niczego. Tylko inżynier poprosił o cztery worki mąki kartoflanej, bezwstydney!

Bardzo bojowo zachowali się nasi kanonierzy. Gdy tylko zauważono okręty, pobiegli na stanowiska. Zdjęli pokrowce z armat, przygotowali amunicję i nałożyli hełmy... Jestem przekonany, że gdyby nie trzy torpedowce, ale nawet trzy pancerniki przyplłynęły, zaczęliby strzelać jak cholera.

Jeden z kanonierów, stojąc oparty niedbale o pukawkę i przyglądając się spod oka pochylonemu w wirażu destroyerowi, syknął przez zęby:

— Niechby tylko zaczął, psiakrew...

Ktoś inny, któremu torpedowiec wydał się jednakże podejrzany, radził zatopić go bez dania strzału ostrzegawczego. W ogóle winszowano Anglikom, że są z nami w dobrych stosunkach.

Pierwszy raz od dłuższego czasu idziemy spać w dobrym nastroju.

Niech żyje Anglia! Wiwat „A. 06“! Szkoda tylko, że zostawił nas samych. Świnia, nie torpedowiec.

Na Oceanie, 15 lipca 1940 r.

Płyniemy wschodnim kursem w kierunku Kanału Świętego Jerzego. Zbliża się najniebezpieczniejszy odcinek naszej podróży. Tędy prowadzi szlak Ameryka — Anglia, szlak gęsto patrolowany przez niemieckie okręty podwodne. Naturalnie, jak na złość pogoda piękna, niebo błękitne, ocean gładki jak oliwa. Zamiast deszczu, mgły i fal — jasny horyzont odsłonięty na 100 kilometrów.

Od kilku godzin widzimy na falach jakieś tragiczne resztki: deski, opalone bale, strzępy korkowych arkuszy, kawałki mahoniowej boazerii... Z daleka, przez lornety, dostrzeżliśmy okrętową tratwę na beczkach i szalupę ratunkową, na wpół zalaną wodą.

Wielkie plamy oliwy czy nafty wskazują niewątpliwie, że gdzieś niedaleko rozegrał się dramat.

O godzinie 21, gdy po kolacji leżeliśmy w hamakach, rozległy się przerywane dzwonki alarmowe. Alarm lotniczy! Naturalnie nabrać się już nie daliśmy i nikt z nas nogą nie ruszył. Dopiero gdy cała „Wilia“ zatrzęsała się od ryku silników lotniczych, wybiegliśmy, oczywiście wbrew instrukcji, na pokład. Nad nami krążył wielki Sunderland. Na jego skrzydłach widniały niebiesko-biało-czerwone znaki Royal Air Force — Królewskich Sił Powietrznych!

Na Oceanie, 16 lipca 1940 r.

Zbliżamy się do ujścia Kanału Świętego Jerzego. Brzegów jeszcze nie widać, gdyż po przebyciu przez nas niebezpiecznej strefy pogoda zepsuła się zupełnie.

Jest mgła, popaduje deszczyk, widoczność żadna. Ksiądz kapelan jest zażenowany, albowiem spóźnił się z „interwencją“.

Morze jest prawie czarne. Czyżby plotka, że okręt-

-cysterna (10 000 ton) ewakuujący z „Reginy“ atrament został storpedowany — okazała się prawdą?

Liverpool, 18 lipca 1940 r.

Wczoraj po południu zarzuciliśmy kotwicę w porcie liverpoolskim. Dzisiaj od samego rana wyładowywaliśmy samochody. Wreszcie o godzinie 18 zeszliśmy na ląd i sformowawszy kolumnę czwórkową, poprzedzani przez policjanta, udaliśmy się przez miasto na dworzec kolejowy. Po drodze śpiewaliśmy różne piękne i smętne polskie pieśni. Między innymi „Husia-siusia“ i „Gęsi za wodą“.

Obecnie siedzimy w pociągu, który lada chwila ruszy do Szkocji.

W ANGLII

Glasgow, 24 lipca 1940 r.

Gdy wczesnym rankiem cztery dni temu transport nasz zajechał na Central Station w Glasgow, pierwszą osobą, która nas przywitała, był... Suchy, polski oficer dyżurny na dworcu kolejowym!

Nie potrzebuję chyba opisywać, jak ucieszyliśmy się tym nieoczekiwanym spotkaniem.

Suchy był bardziej ostrożny i krytyczniej niż ja oceniał sytuacje ostatnich dni we Francji. Nie chcąc uciekać na południe, kupił sobie rower i ile sił kręcił na nim do najbliższego wolnego portu na Kanale La Manche.

— Głupiś, Zygmunt, jak but! Gdyby ewakuacja do Anglii nie była nakazana, to ja na pewno, czy tak, czy tak, znalazłbym się na Wyspie. Ukradłbym łódkę czy kajak i te kilkanaście kilometrów zapychałbym jak wariat. A ciebie cholera by gdzieś wzięła! Miałbym nareszcie spokój. No, ha! du ju duu u — zakończył już po „angielsku“ — kam buar łysky. Zalatuje pluskwami, ale pić można.

Zakwaterowano nas w jakimś pustym gmachu na Roose Street w centrum miasta. Po kilkudniowym odpoczynku mamy się udać do głównego obozu polskiego lotnictwa, znajdującego się gdzieś w środkowej Anglii.

Szkoci są dla nas bardzo serdeczni. Częstują żoł-

nierzy, czym mogą, zapraszają na piwo, darmo wożą tramwajami, a zdarza się często, że za drobny sprawunek nie chcą brać w sklepach zapłaty.

Glasgow, 25 lipca 1940 r.

Odczytano nam, nowo przybyłym, „Rozkaz do Wojsk Polskich w Anglii“, wydany przez generała Sikorskiego dnia 1 lipca. Oto jego treść:

Żołnierze!

Zaczynacie nowy okres waszej twardej służby. Po raz drugi od chwili opuszczenia Kraju zbieracie się na obcej ziemi w szeregach narodowych jako wojsko polskie niezmożone, nieugięte, nie poddające się przeciwnościom, wierne do ostatniego tchu świętej sprawie naszej.

Armia polska, odrodzona na ziemiach Francji w niezwykle szybkim tempie, jak najchlubniej wypełniła swój obowiązek żołnierski. Wsławiła oręż polski, walcząc po bohatersku na polach Norwegii, a we Francji samej wśród katastrofalnego załamania się wojennego armii, w której składzie były nasze wojska, dowiodła ona wspaniałego hartu, męstwa bojowego i woli zwycięstwa.

Składamy hołd towarzyszom broni, którzy krwią przelaną stwierdzili swoje serdeczne przywiązanie do Ojczyzny i do tych ideałów, których symbolem stała się Polska. Z bólem wspominamy tych licznych towarzyszy broni, którzy nie mogli się do nas przedostać, którzy w niewoli u wroga czy w przyjacielskiej Szwajcarii, czy w rozproszaniu — pozostali za morzem.

Walka trwa. Miejsce nasze jest dzisiaj przy tych sprzymierzeńcach, którzy walczą dalej.

Dzięki naszej energii własnej i znakomitej pomocy Królewskiej Marynarki Brytyjskiej ocalała ogromna część naszych sił powietrznych i lądowych.

Nowe zastępy towarzyszy broni staną niebawem przy nas. Mamy jeszcze zastępy tęgich żołnierzy. Walczyć będziemy dalej z uporem i żelazną wolą aż do zwycięstwa.

Stojąc na ziemi Wielkiej Brytanii, pozdrawiamy siły zbrojne tego wielkiego narodu związanego z nami nie tylko sojuszem, ale, co ważniejsza, węzłami braterstwa broni niewzruszalnymi, bo zadzierzgniętymi w bojach i trudach, na morzu i na polach bitew w walce o wspólną świętą sprawę.

Liczę, Żołnierze, nadal na wasze poświęcenie, ofiarność i męstwo.

Żądam od was wzorowej karności, nienagannego porządku i takiego sprawowania się, by budziło szacunek u naszych przyjaciół. Pamiętajcie, że od waszego zachowania się zależy, co wszystkie narody Imperium Brytyjskiego sądzić będą o Polakach. Wiem, że nie sprawicie mi zawodu.

Narodowi Polskiemu ślubuję, a żołnierzom internowanym w licznych obozach oświadczam, że obowiązek nasz, który wypełniliśmy w ostatnim przełomie, wypełnimy nadal, aż do chwili zupełnego wyzwolenia męczeńskiej Ojczyzny.

1. VII. 1940.

SIKORSKI (GEN.)

Ciekawych szczegółów o sytuacji naszej armii we Francji w ostatnich dniach przed ewakuacją do Anglii dowiedzieliśmy się z przemówienia generała Sikorskiego na Radzie Narodowej w Londynie. A oto one:

Około 10 czerwca Francja miała armie nie naruszone, na wschodzie — nie tknięte. Armia ściągnięta z północy w reorganizacji. Po upadku Paryża oczekiwano powszechnie obrony w rejonie Loary z użyciem wojsk z Linii Maginota do flankowego przeciwdziałania. Nikt nawet nie przypuszczał, ażeby Imperium Francuskie zrezygnowało z walki. Rząd francuski, przeniesiony do Algieru i rozporządzający potężną flotą

i lotnictwem oraz nie tkniętą armią afrykańską i Bliższego Wschodu — mógł śmiało wytrwać w wojnie z Niemcami i Italią.

Dlaczego armia polska walczyła i musiała walczyć do ostatniej chwili? W momencie gdy wojska francuskie cofały się w panice, nie stawiając już nigdzie oporu, rzucając broń i sprzęt, żołnierz nasz nadal trwał na straconym posterunku i potwornymi ofiarami osłaniał „odwrót“ sprzymierzeńców...

Generał Sikorski wyjaśnia tę sprawę w ten sposób:

„...W takim położeniu nie mogło być mowy o wycofaniu naszych jednostek. Krok taki byłby niewątpliwie wyzyskany przez Francję dla wytłumaczenia poniesionej przez nią klęski. Nie komu innemu, a nam przypisano by katastrofę Sprzymierzonych. My bylibyśmy rzekomo sprawcami niebywałego triumfu Niemiec hitlerowskich na zachodzie. Byłaby to dla Polski śmierć gorsza od fizycznej, bo śmierć moralna“.

Ewakuacja naszej armii z Francji przeprowadzana była w niezwykle ciężkich warunkach. Błyskawiczny rozwój zupełnie nieprzewidzianych wypadków, a co za tym idzie, zupełna improwizacja poczynań, zalamanie się i demoralizacja armii francuskiej oraz trudności w dziedzinie transportu, zaopatrzenia i łączności, jakie na obcym terenie, i to przeważnie bez znajomości języka, należało przezwyciężyć — złożyły się na tak straszliwy chaos, że wszystkie dobre chęci przeważnie szły na marne. Jeżeli mimo to ewakuację zdołano przeprowadzić, to jest to dowód niezwykłych zalet ducha, jakie wykazała większość naszych żołnierzy.

Sprawa ewakuacji do Anglii nie była wyjaśniona do ostatniej chwili. Jeszcze 17 czerwca Anglicy nie zgodzili się na przyjazd większej ilości Polaków, jak tylko 52 członków rządu i 250 osób bez wiz. W tych

warunkach generał Sikorski odmówił wyjazdu do Anglii, postanawiając podzielić los nas wszystkich. Francuzi zachowywali się biernie, a na depeszę do premiera Churchilla, domagającą się przyjęcia wojsk polskich do Anglii, nie było odpowiedzi. Sytuacja stawała się wręcz krytyczna.

Nieoczekiwanie dnia 18 czerwca Anglicy przysłali po generała Sikorskiego samolot. Generał poleciał do Anglii, gdzie na szeregu narad i konferencji ustalono plan ewakuacji, której podjęła się angielska marynarka.

Ponieważ armia polska skoncentrowała się już w tym czasie w portach Atlantyku lub w portach Morza Śródziemnego, ewakuacja przeprowadzona została sprawnie i szybko. Dotychczas wylądowało w Anglii około 30 000 żołnierzy.

Glasgow, 27 lipca 1940 r.

Z dłuższej wycieczki autem za miasto wróciłem trochę zaniepokojony. Fakt, że w samym mieście prócz setek balonów na uwięzi nie widać było innych wojennych przygotowań, utwierdził mnie tylko w przekonaniu, że prawdziwe cuda zobaczę dopiero w terenie: za każdym krzaczkiem zamaskowany samolot, w każdym ogródku — klucz, a w każdym lasku — eskadra.

Niestety! Za każdym krzaczkiem leżała rasowa krowa, w każdym ogródku bawiły się rasowe psy, a pod każdym laskiem i na każdej łączce — pasły się stada rasowych baranów...

Oj, niedobrze!

Glasgow, 28 lipca 1940 r.

Święty Mungo, patron Glasgow, zmarł w roku 603. Przez wieki całe jego grób był celem pobożnych pielgrzymek, jako że słynął cudami. W roku 1238 nad miejscem wiecznego spoczynku świętego Munga rozpoczęto budowę katedry.

To w niej w roku 1301 król Edward I modlił się przed wyprawą na ujarzmienie Szkocji.

W niej w roku 1314 Robert Bruce, oswobodziciel tego kraju, odprawiał dziękczynne modły.

To tutaj pamiętnego dnia październikowego 1650 roku Zachary Boyd — Minister of the Barony Church — rzucał straszliwe przekleństwa na głowę Olivera Cromwella modlącego się u stóp wielkiego ołtarza.

To tutaj przed bocznym wejściem ustawił wczoraj Suchy oddział polskich lotników i darł się na całe gardło: — W kościele zachowywać mi się cicho, nie gadać, nie rozglądać się, bo przepustki, cholera, cofnę. W prawo zwrot, kierunek wejście do katedry, dowolny krok, maaaaaarsz!

Siedemdziesięciu ośmiu polskich żołnierzy-tułaczy, wymizerowanych biedaków, ubranych każdy prawie inaczej — to we francuskich mundurach, to, jakimś cudem, już w angielskich, trzymając w rękach czapki, furazerki, hełmy — weszło pokornie do starej katedry, aby zbożnie świąteczny dzień rozpocząć.

W oczach patrzących na nas Szkotów widzieliśmy zainteresowanie i współczucie. Tą stałą obserwacją jesteśmy bardzo skrępowani. Wiedząc jednakże, że pierwsze wrażenie jest najsilniejsze i w pamięci mieszkańców Glasgow pozostanie na długo, zachowywaliśmy się skromnie i godnie.

Szkoci są bardzo pobożni, ale w modlitwach ich nie ma ostentacji, u nas — jest, aczkolwiek bezwiedna. Wielu żołnierzy płakało, wielu modliło się kryjąc twarz w dłoniach, wielu klęczało przez całą mszę świętą, wielu całowało stopnie ołtarza.

Po mszy poszliśmy wszyscy zwiedzać ciekawe miasto. Byliśmy w galerii obrazów, w muzeum Huntera, w Ogrodzie Zimowym, na wystawie samochodów i radioaparatów. Zwiedziliśmy Kelvin Hall, Queen's Park i King's Park, no i oczywiście port.

Żeby nie ten ksiądz — dzień zakończylibyśmy tak, jak go zaczęliśmy: godnie i skromnie, a tak...

Ksiądz W., najmilszy księżulek, jakiego znam, miał po obiedzie pogawędkę z żołnierzami. Prosił ich, pocziwina, błagał i zaklinał na wszystko, żeby zachowanie ich było nadal takie jak dotąd, żeby nie dawali powodu do zgorszenia, przeciwnie — żeby byli przykładem, żeby pamiętali, że są Polakami, żeby ugruntowali dobrą opinię, jaką mają o nas Anglicy i żeby, nade wszystko, zachowywali się skromnie.

— Pamiętajcie, kochani chłopcy, bądźcie skromni. Idźcie sobie na przechadzkę na bulwary, do ogrodów i parków, idźcie do iluzjonów, przejedźcie się tramwajem. Nie chodźcie tylko w okolicę mostu Alberta na rzece Clyde, bo tam spacerują te, tego... hm, no wiecie... te kobiety, co to lekko się prowadzą. Nie chodźcie tam, bądźcie skromni. Pamiętajcie! Przrzekacie, że tam nie pójdziecie? No, przrzeknijcie!

— Przrzekamy! — wrzasnęło jak jeden siedemdziesięciu ośmiu polskich żołnierzyków.

No i stało się!

Wieczorem w okolicach mostu Alberta na rzece Clyde spacerowało siedemdziesięciu ośmiu żołnierzy i dwóch oficerów: Suchy jako inspekcyjny i ja jako kronikarz.

Blackpool, 29 lipca 1940 r.

Wczoraj wieczorem pożegnałem Glasgow. Wraz z kilkoma kolegami, w dziewiątkę samochodów, które na „Wilibi“ przyjechały z nami z Francji, odbyliśmy czterystakilometrową podróż do Blackpool, nadatlantycznego kąpieliska położonego w centrum zachodniego wybrzeża Anglii.

Mijaliśmy liczne miasta, miasteczka i wsie. Nigdzie nie było widać ani śladu wojny, o ile nie brać pod uwagę operetkowych przeciwczołgowych przeszkód, zbudowanych bądź w formie niskich, betonowych lub ceglanych murków, bądź w formie kratki z żelaznych rur. Nie domyśliłbym się nigdy, jakie jest tych płot-

ków przeznaczenie, gdyby nie groźne napisy: „Military Baricade“.

W pewnym miejscu, gdy minęliśmy jedną z nich, oczekiwała nas miła niespodzianka. Tuż przy szosie, za niedużym krzaczkiem, stała ogromna armata. Nawet niezgorsza jakaś: na drewnianych, co prawda, ale za to szerokich kołach i ze sprytnym celownikiem z drutu kolczastego. Tuż przy armacie, na czerwonym, w stylu Ludwika XV, pluszowym fotelu, siedział sympatyczny starszy pan w tużurku i uśmiechając się przyjaźnie kiwał do nas ręką.

Nie zatrzymaliśmy się jednakże przy tej straszliwej zasadzce na czołgi, ograniczając się do podniesienia kciuków na znak, że wszystko jest O. K.

Na nocleg zatrzymaliśmy się w miasteczku Shrop w Westmoreland. Gdy po kolacji w małym podmiejskim hoteliku siedziałem na tarasie, ukazał się oddział obrony spadochroniarskiej. Dwóch cywilnych panów, tak pod pięćdziesiątkę, na rowerach, z fajkami w zębach i z karabinami z czasów królowej Wiktorii na plecach. Jeden z nich patrzył na niebo, drugi co chwilę oglądał się za siebie.

Dochodziły skądś dźwięki jakiejś smutnej pieśni. Zdaje się, że „W cieniu krzyża“. O rany...

Czy dojedziemy do Blackpool przed inwazją? Czy nie lepiej skrócić w krzaki i poczekać?

Ponieważ jednak nie było w pobliżu odpowiednich krzaków, pojechaliśmy w dalszą drogę i na drugi dzień pod wieczór ujrzeliśmy blackpoolską imitację wieży Eiffla.

Gdy nasza kolumna zatrzymała się na pięknej nadmorskiej promenadzie, była to nie lada sensacja. Zrazu wzięto nas za Francuzów, a to z racji beretów, granatowych wymiętoszonych mundurów i trójkolorowych tabliczek rejestracyjnych, jakie miały nasze samochody. Przyglądano nam się ciekawie, ale chłodno; dopiero gdy rozpoznano w nas Polaków, staliśmy się

przedmiotem, nie powiem — owacji, ale bardzo serdecznego zainteresowania. Nie obeszło się naturalnie bez klepania po plecach i częstowania papierosami. Niestety, dogadać się z nimi nie sposób.

Po zameldowaniu się w Komendzie Polskiego Lotnictwa rozjechaliśmy się do wyznaczonych kwater, to jest do różnych pensjonatów i hoteli.

Blackpool, 1 sierpnia 1940 r.

Nie tracąc czasu przygotowujemy się gorączkowo do krwawej obrony wyspy. Sądząc ze wstępnych przygotowań, będzie to walka straszliwa, walka wręcz i bez pardonu.

Pierwszą konieczną czynnością, bez której odparcie ataku z morza i z powietrza stałoby się zgoła niemożliwe, było spisanie osobistej ewidencji, założenie kartoteki i złożenie dziesiątków różnych meldunków. Dziesięć stroniczek formatu biurowego zapisałem drobnym maczkiem i zakończyłem je oświadczeniem, że zeznania moje odpowiadają prawdzie, aczkolwiek nie byłem tego pewny. Oprócz mojego podpisu na tym ważnym akcie figurowały podpisy specjalnej Komisji, która stwierdziła, że zeznania moje zostały sprawdzone. Zeznań moich oczywiście nikt nie sprawdzał. Jako ostatni figurował podpis komendanta obozu i dopisek „widziałem“. Naturalnie komendant nic nie widział i nawet nie patrzył.

Na tym przygotowania do odparcia inwazji zostały na razie zakończone.

Blackpool, 2 sierpnia 1940 r.

Minister Anthony Eden do żołnierzy polskich:

Jako Minister Wojny Wielkiej Brytanii oraz w imieniu całej armii brytyjskiej pragnę skierować do Was słowa serdecznego powitania w chwili, gdy oddziały polskie przybiły do brzegów angielskich.

Pragnę raz jeszcze ponowić zapewnienie, że będziemy prowadzić tę walkę z Waszą cenną pomocą z tych właśnie brzegów Anglii, z otwartych mórz, w powietrzu, będziemy prowadzić walkę nie tylko obronną, ale i zaczepną, aż do chwili złamania przemocy nieprzyjacielskiej. Nie opuścimy świętej Waszej sprawy i będziemy prowadzić tę wojnę, dopóki ukończona Ojczyzna Wasza, za którą krwawiliście się i cierpieliście tak długo, nie będzie przywrócona raz na zawsze wiernym Jej synom.

ANTHONY EDEN
Minister Wojny

Blackpool, 3 sierpnia 1940 r.

Lotnicy polscy dzielą się na razie na dwie duże grupy: na tych, co dawniej przyjechali do Anglii z zamiarem stworzenia polskich jednostek RAF-u — Królewskich Sił Powietrznych — i na tych, co zjawili się po upadku Francji. Pierwsza grupa, już wyszkolona, paraduje w eleganckich mundurach angielskich lotników, odróżniając się od tych ostatnich tylko napisem „Poland“ na ramionach. Patrzą oni na nas, oberwanych French-Polish, francuskich Polaków, z ironią. My na nich również nie milej. French-Polacy latali i krwawili się we Francji, a oni dopiero zaczną, jeżeli zdążą. Więc niby czego?

„Antagonizm“ ten nie jest, naturalnie, poważny, ale w każdym razie cholera nas bierze.

Nasza armia lądowa ma pozostać „suwerenna“, a lotnictwo, tworząc polskie jednostki bojowe, techniczne i szkolne, ma być całkowicie wcielone do RAF-u, korzystając z zupełnie równych praw.

Blackpool, 24 sierpnia 1940 r.

Od dwóch przeszło tygodni trwają naloty niemieckie na wielką skalę. Bombardowane są przeważnie konwoje statków zbliżające się do Anglii oraz większe

miasta i porty. Były już bombardowane: Dover, Portland, Weymouth, Portsmouth, Harwich, Rochester, Kenley, Biggin Hill, West Malling, Manston, Gosport, Manchester i wiele, wiele innych miejscowości.

Wczoraj dopiero wielkie zgrupowania bombowe ustąpiły miejsca pojedynczym, lecz bardzo licznym samolotom myśliwskim.

Czyżby to był koniec pierwszej fazy inwazji? Ciekaw jestem, jaki będzie początek drugiej, aczkolwiek zdaję sobie sprawę, że jest to ciekawość niezdrowa.

Blackpool, 25 sierpnia 1940 r.

W toczącej się bez przerwy, i to coraz zajadlej, bitwie powietrznej o Anglię biorą udział wszystkie nasze dywizjony myśliwskie.

Rozkaz Naczelnego Wodza do żołnierzy Sił Powietrznych i innych broni z dnia 24 sierpnia br. brzmi:

Naczelnny Wódz i Minister Spraw Wojskowych

Szt a b

Ldz. 822/40/Stab.

ROZKAZ

DO ŻOŁNIERZY SIŁ POWIETRZNYCH I INNYCH BRONI

Żołnierze Lotnictwa!

W stoczonych przed kilku dniami zaciętych walkach powietrznych wzięliście udział przy boku sławą okrytego lotnictwa Brytyjskiego. Dzielnie dotrzyмалиście mu pola, czego dowodem okazała liczba odniesionych przez Was zwycięstw. Radość tych zwycięstw maćci nam fakt, że nie wszyscy wróciliście do swych baz. Fakt ten, aczkolwiek budzi w nas smutek, staje się źródłem naszej słusznej dumy, gdyż wobec całego świata udowadnia naszą głęboką miłość Ojczyzny — miłość, która nie zna wahania nawet tam, gdzie chodzi o największą ofiarę — własnego życia.

Nieście w świat tę dumę na swych stalowych skrzydłach, tak jak niegdyś niosły ją skrzydła hu-sarskie.

Niech dotrze ona do Ojczyzny i będzie zwiastu-nem zbliżającego się zwycięstwa.

Lotnicy! Raz jeszcze dochowaliście tradycji wieńca wawrzynu noszonego przez Was w polowej odznace lotniczej. Spełniliście swój obowiązek bez reszty!

Wyrażam Wam moje uznanie, a Inspektorowi Sił Powietrznych polecam przedstawić mi wniosek na odznaczenia. Na przyszłość polecam przedstawić je bezpośrednio po dokonaniu czynu zasługującego na wyróżnienie.

Naczelnny Wódz
i Minister Spraw Wojskowych
SIKORSKI
Generał Dywizji

Londyn, dnia 24 sierpnia 1940 r.

Blackpool, 1 września 1940 r.

Wszedł do akcji bojowej polski dywizjon myśliw-ski Nr 303.

Wczoraj minął rok od chwili, gdy rozpocząłem dziesięciotygodniowe ćwiczenia. Znów mnie wykiwali.

Blackpool, 8 września 1940 r.

Aż do 6 września cały swój wysiłek kierowali Niemcy przeciwko myśliwcom. Celem ich było znisz-czenie takiej ilości Spitfire'ów i Hurricane'ów, aby po-zostałych już nie brać pod uwagę. Bombardowali po-czątkowo lotniska myśliwców położone na wybrzeżu lub w jego pobliżu, a następnie lotniska położone w głębi wyspy.

Dnia 6 września Niemcy, sądząc, że osiągnęli po-wodzenie, zaczęli bombardować Londyn, który — jak się zdaje — jest następnym punktem programu.

Ciężkie bombardowanie stolicy trwa już od trzech dni bez przerwy.

W dniu 7 września trzysta pięćdziesiąt bombowców i myśliwców niemieckich nadleciało w dwóch falach na Londyn, kierując się między wschodnią częścią Croydon a ujściem Tamizy.

Brytyjskie myśliwce spotkały ich ponad hrabstwem Kent i East Surrey i nawiązały z nimi walkę.

Niemcy mieli jednakże przewagę i część ich przedarła się, ale zaatakowana została już nad stolicą.

„Po raz pierwszy od owego pamiętnego dnia w roku 1666, kiedy to Samuel Pepys zawiadomił Króla w Whitehallu, że City się pali, londyńczycy zobaczyli płomienie, ogarniające różne punkty gęsto zaludnionych dzielnic Dockland i Woolwich.“

„W tym samym czasie wszystkie radiostacje niemieckie nadawały reportaż z toczącej się akcji, w którym fantazja pomieszana była z pobożnymi życzeniami spikerów“ (z prasy).

Londyn ucierpiał poważnie. Szkody poniosły budynki w dokach, szereg fabryk, koleje żelazne, gazownie i elektrownie.

Zginęło ogółem około tysiąca ludzi. Stracono sto trzy samoloty.

Blackpool, 9 września 1940 r.

Nie upłynęło kilka tygodni, a już czujemy się jak u siebie w domu. Wiem coś niecoś, gdyż zastępuję adiutanta polskiego komendanta garnizonu, pułkownika P.

Nie ma dnia, aby nie nadszedł jakiś meldunek od władz angielskich, jakiś list ze skargą, jakieś wezwanie do sądu. A to lustro zbił po pijanemu (5 funtów), a to kota zrzucił z mostu na tory kolejowe (3 miesiące aresztu), a to służącą zgwałcił (bezpłatnie — okazało

się, że służąca chciała), a to wymyślił „sposób“ na automaty w „Wesołym miasteczku“: wygrywał tylko te fanty, które chciał. Zapalek i gipsowych figurek nie chciał, lubił tylko zegarki.

Przyjechał również z nami słynny polski ogrodnik, właściciel doświadczalnego ogrodu owocowego w Rykach pod Dęblinem, w którym hodował agrest, porzeczki i ułęgałki. Ponieważ — jak twierdzi — chciał się przerwycić na hodowlę bananów, kokosów i daktyli, wyrwał z oranżerii „Winter Garden“ młode palemki i przechowywał je w kubie na swojej kwaterze (6 miesięcy).

Trafiają się jednak i sprawy poważniejsze. Niedawno pewien angielski mąż złapał swoją żonę z polskim sierżantem in flagranti w... windzie. Wszystko zależy od tego, jak wysoki sąd zakwalifikuje windę: czy jako teren neutralny, czy jako składową część ogniska rodzinnego. W pierwszym wypadku — sprawa błaha: rozwód i odszkodowanie pieniężne, z reguły w takiego rodzaju sprawach stosowane, w drugim natomiast wynik może być groźny, bowiem prawodawstwo angielskie za zbezczeszczenie ogniska rodzinnego przewiduje karę kilku lat ciężkiego więzienia. Ciężkiego — to znaczy bez kakao na śniadanie.

Okolicznością zgubną dla żony i sierżanta może okazać się fakt, że w windzie była kozetka i lustro.

Sierżant, co prawda, jest dobrej myśli.

— Jakie ognisko, panie kapitanie, jakie ognisko? Kozetka była ceratą kryta i zimna jak cholera! To ma być ognisko?

— A lustro?

— Co lustro?

— Widzi pan, takie rekwizyty jak kozetka i lustro stwarzają wrażenie oddzielnego, przytulnego pokoiku i to pokoiku stanowiącego jakby część mieszkania tych państwa. Wszystko zależy od sądu.

— Nie, panie kapitanie, lustro się nie liczy, bo płaszcz na nim wisiał.

We wczorajszej poczcie znajdował się list, którego treść zapowiadała bardzo nieprzyjemną sprawę. Jeszcze słabo znam język angielski, ale — jak mi się zdawało — wystarczająco, by ów list zrozumieć: dear sir — drogi panie, two Polish officers — dwóch polskich oficerów, fish and chips — ryba z przysmażonymi kartoflami, no money — bez pieniędzy. W zakończeniu listu kilka niezrozumiałych zdań i duży, zamaszty, z kleksem, zły podpis jakiejś lady.

Sprawa była prosta i taki sam był mój referat:

— Straszna rzecz się stała, panie pułkowniku.

— Co takiego?

— Coś okropnego. Jedna pani, widocznie właścicielka pensjonatu, pisze, że dwóch naszych oficerów nazarło się u niej ryby z kartoflami, nie zapłacili i uciekli. Co robić?

— Co robić?! Do żandarmerii, psiakrew! Natychmiast dochodzenie i pod sąd! Dosyć mam tego wszystkiego! To skandal!

— Rozkaz! panie pułkowniku.

Zanim jednakże sprawę skierowałem do żandarmerii — list oddałem do tłumaczy. W rezultacie mój następny referat różnił się nieco od pierwszego:

— Przepraszam, panie pułkowniku, ale z tymi rybami to się omyliłem. Chodzi o to, że...

— O co chodzi? O co chodzi? Mów pan prędzej, bo mnie krew zaleje!

— Chodzi o to, że ta pani nie skarży się, a...

— Może się nie skarżyć, to mnie nic nie obchodzi, ja ich i tak zamknę, jak Boga kocham, zamknę. Nazwiska! Prędzej — nazwiska!

— Nie skarży się, a przeciwnie — zaprasza dwóch polskich oficerów na bezpłatną rybkę.

— Hę?

— Z kartoflami.

Wieczorem tegoż dnia, dwóch polskich oficerów wyznaczonych przez pana pułkownika P., to jest pan pułkownik P. i ja, szło nadmorską promenadą w kierunku „Rose Cottage“, willi mrs. Hardy. Ja niosłem bukiet czerwonych tulipanów.

Nie przypuszczałem, że człowiek może zrobić taką małą minę, jaką na widok tulipanów zrobił Suchy, któregośmy po drodze spotkali.

Suchy wygląda jak własny cień i ledwo nogami powłóczy. Ciekawy jestem, kiedy go z owego paragrafu o bezczeszczeniu zamkną na dłużej. Wolałbym siedzieć z nim niż z kim innym.

Blackpool, 10 września 1940 r.

Zarządzeniem Air Ministry, wszyscy oficerowie PAF-u — Polish Air Force — zostali mianowani podporucznikami. Ma to być tak zwany stały stopień wojenny (permanent war rank). Będą również stopnie funkcyjne (acting rank) odpowiadające stopniom przewidzianym etatem na dane stanowiska.

Ponieważ ani ja, ani Suchy nie mamy jeszcze żadnych funkcji — naszyliśmy sobie oznaki podporuczników.

W Polsce byłem kapitanem. We Francji — chcąc się dla pewności odmłodzić — powiedziałem, że jestem porucznikiem. Nie upłynął rok i już awansowałem na podporucznika. Jak tak dalej będę awansował, to wrócę do Polski jako starszy szeregowiec albo zgoła przedpoborowy.

Podporucznik Suchy sprawił sobie tak obcisłe spodnie, że chyba usiąść nie może. Chodzić mu też trudno — stale trzyma go pod ręką jakaś sześćdziesięcioletnia lady...

Blackpool, 11 września 1940 r.

Suchy, z którym oczywiście mieszkam, jest bardzo zabobonny: stawia pasjansę, wszędzie widzi jakieś zna-

ki, w piątki się nie śmieje, a łóżko tak sobie ustawił, żeby spać głową na zachód.

Ostatnio zrobił dziwne odkrycie: — Zygmunt! Chcesz, żeby dzisiaj w nocy Niemcy przylecieli?

— Idź do cholery! Owszem — chcę!

— Zobaczysz, jak tylko spodnie położę pod siennik — zaraz będą bombardować!

— A daj mi spokój, śpiący jestem.

Zasypiając, widziałem go, jak starannie układał spodnie i mokrą chusteczką wygładzał kanty...

W nocy przyleciały Dornieri i zbombardowały zakłady Armstronga. Kilka bomb upadło niedaleko naszej kwatery.

Blackpool, 12 września 1940 r.

Inwazja lotnicza trwa, ale rozszerzyła się na całą Anglię. Niemcy bombardują, przeważnie w nocy, prawie wszystkie większe miasta i porty.

Każdego wieczoru obserwujemy okropne, lecz piękne zarazem w swej grozie widowisko.

Rozpoczyna się ono z chwilą, gdy zapadnie zmrok, i trwa aż do rana.

W godzinę po zapadnięciu zmroku Niemcy są już wszędzie. Słyszymy ich stale.

Na różnych wysokościach nieba widać setki zapalających się na moment jak gdyby gwiazd — to rozrywające się artyleryjskie pociski.

Nisko, tuż nad ziemią i coraz to w innym miejscu, na północy, wschodzie i południu — co chwila rozjaśnia się horyzont — to wybuchy bomb lub odbłask strzałów OPL.

Ponieważ odgłosy walki nie dochodzą do nas — głuży je szum prawie zawsze wzburzonego morza — piękny widok nie wydaje się groźny.

Groźny staje się dopiero wtedy, gdy po pewnym, krótkim zresztą, czasie czerwone błyski na ziemi stają

się jakby dłuższe, jaśniejsze i wreszcie cały horyzont, jak długi i szeroki, pali się jaskrawą czerwienią pożarów.

Liverpool, Sheffield, Manchester, Leeds, Preston — co noc prawie stają się ofiarą okropnego „blitzu“!

Tysiące ludzi zabitych i rannych, dziesiątki tysięcy bezdomnych, ruiny, zgliszcza, piekło i... i nie ma paniki, nie ma rozpacz, nie ma wrzasków. Przeciwnie — Anglicy są uśmiechnięci, pełni dobrej myśli...

Egzotyka, o jakiej pojęcia nie miałem. Ci ludzie są zupełnie bez nerwów.

Właściwie to muszą mieć żelazne nerwy: gdy u nas facet był nerwowy, to wysyłano go na miesiąc nad morze, skąd wracał spokojny i wyleczony, a przecież Brytyjczycy siedzą nad morzem bez przerwy chyba 1000 lat. Mieli czas się podleczyć.

Blackpool, 15 września 1940 r.

Inwazja lotnicza na Londyn jest w całej pełni.

Codziennie setki samolotów, nie zwracając uwagi na ogromne straty, starają się przedrzeć nad stolicę.

Mimo to Londyn nie załamał się i trwa w bohaterstwie obronie. Dopiero na tle londyńskiego piekła ocenić można nadludzkie bohaterstwo Warszawy.

Mieszkańcy Londynu walczą i mają nadzieję, ba! mają pewność zwycięstwa — mieszkańcy Warszawy walczyli bez żadnej nadziei, walczyli mając pewność przegranej...

Warszawa broniła się tylko — Londyn broni się, lecz i atakuje...

Czerwone londyńskie niebo przebiegają setki białych promieni potężnych reflektorów — niebo nad Warszawą było tylko czerwone...

Dziesiątki, a może i setki baterii w obronie angielskiej stolicy oddaje dziesiątki tysięcy strzałów — nieliczne baterie Warszawy już w pierwszych dniach zamilkły...

Setki myśliwców, dziennych i nocnych, setki balonów zaporowych, tysiące kaemów broni Londynu — Warszawa była bezbronna...

Warszawski pożar trawił całe dzielnice — nie miał go kto i czym gasić. — Kilkadziesiąt londyńskich straży ogniowych czerpie wodę ze specjalnych przewodów ułożonych na powierzchni ulic...

Największe miasto świata starają się zniszczyć tylko samoloty. Małą Warszawę niszczyły nie tylko samoloty, lecz może straszniejsza od nich ciężka artyleria...

Miliony mieszkańców stolicy Imperium chronią się do bezpiecznych tuneli kolei podziemnych, do potężnych żelbetowych schronów, do piwnic tysięcy drapaczy chmur. — Warszawiacy — nie mieli gdzie się schronić...

Jeżeli 500 bombowców jest nad Londynem — to 5000 było ich nad Warszawą! Jeżeli 700 ton bomb rzucono na Londyn, to 7000 rzucono na Warszawę — boć przecież Warszawa jest dziesięć razy mniejsza...

Ludność Londynu nie jest opuszczona: wraz z nią jest Królewska Para, jest Rząd, są Najwyższe Władze. — Ludność Warszawy była zupełnie samotna...

Blackpool, 16 września 1940 r.

Dnia 14 września weszły do akcji dwa polskie dywizjony bombowe Nr 300 i Nr 301.

Wczoraj odbył się jeden z największych nalotów dziennych na okręg Londynu i skończył się klęską dla szwabów, a zwycięstwem myśliwców RAF-u.

Dzień niedzielny 15 września nad południowo-wschodnią Anglią wstał nieco zamglony, lecz około godziny 8 przejaśniło się i widać było lekką powłokę chmur na wysokości 2000—3000 stóp.

Pierwsze nieprzyjacielskie patrole przyleciały zaraz po godzinie 9. Meldowane były nad Kanałem, ujściem Tamizy, koło Harwich i pomiędzy Lympne

i Dungeness. Około godziny 11,30 nadleciała pierwsza fala, składająca się z przeszło stu maszyn, a po niej zaraz druga ze stu pięćdziesięciu.

Samoloty te przekroczyły wybrzeże Anglii w trzech głównych punktach: koło Ramsgate, pomiędzy Dorez i Folkestone i na północ od Dungeness.

Celem ich był Londyn.

Bombowce typu Dornier 17 i 215 eskortowane przez ME 109 szły na różnych wysokościach pomiędzy 15 a 26 tysiącami stóp.

Bitwa rozgorzała nad East Kent i nad Londynem i trwała około trzy kwadranse.

Blisko sto bombowców przedarło się przez obronę i doszło nad wschodnie i południowe dzielnice stolicy.

W istocie walka toczyła się wewnątrz sześcianu, mającego 80 mil długości, 38 szerokości i 5—6 mil wysokości.

W tej właśnie przestrzeni odbyło się około dwieście powietrznych pojedynków, z których wiele przeszło w pościg, przerywany zwykle dopiero o kilka mil od brzegów Francji.

Dwadzieścia jeden dywizjonów myśliwskich wysłano na spotkanie nieprzyjaciela. Pięć dywizjonów Spitfire'ów rozpoczęło atakować nadlatujących Niemców w okręgu Maidstone, Canterbury, Dover i Dungeness.

Weszły one do walki nieco wcześniej niż dyony Hurricane'ów, które złapały nieprzyjaciela bardziej w tyle, pomiędzy Maidstone, Tunbridge Wells i południowym Londynem.

Walka skończyła się około godziny 12,30, lecz przerwa nie trwała długo.

Wkrótce po godzinie 14 świeże formacje nieprzyjaciela ponowiły atak w takiej samej mniej więcej sile jak rano. I znowu rozgorzały walki, nad Londynem, nad Kentem...

W rezultacie dnia tego dwieście trzydzieści dwa

samoloty niemieckie uległy w walkach z Anglikami, którzy sami stracili dwadzieścia pięć samolotów, przy czym czternastu pilotów zdołało się uratować.

Rezultaty te nie wymagają komentarzy.

Blackpool, 5 października 1940 r.

Stanowczo muszę kupić Suchemu żelazko elektryczne. Znowu prasował portki pod siennikiem i znowu szkopy przyleciały.

Akurat kładłem się spać, gdy usłyszałem lecące samoloty, a po chwili wybuchy bomb i jakieś wrzaski na ulicy. Mieszkamy na Promenadzie tuż nad morzem i gdy podbiegłem do okna i uchyliłem czarną zasłonę, zobaczyłem kilkanaście oślepiająco białych świateł na plaży i setki małych, migocących światełek na morzu.

W pierwszej chwili myślałem, że to... inwazja od strony Irlandii i oczekiwałem, że lada chwila rozpocznie się kanonada ze zbliżającej się nieprzyjacielskiej armady.

Nie wiedziałem zupełnie, co robić, tym bardziej że byłem w gaciach, toteż gapiłem się jak głupi na wymaginowane krążowniki, gdy tymczasem, zupełnie nieoczekiwanie, światła na morzu zgasły jak na komendę i zapanowała zupełna ciemność i cisza...

Okazało się później, że palił się na wodzie fosfor i potas — ładunek bomb zapalających, zrzuconych niecelnie przez Niemców.

Muszę nareszcie z tym skończyć.

Żelazko nie powinno drożej kosztować niż funta.

Blackpool, 7 października 1940 r.

Byłem dzisiaj z Suchym w kawiarni „Savoy“. W pewnej chwili zauważyłem, że Suchy uważnie obserwuje siedzącą przy sąsiednim stoliku angielską parę i coraz to spogląda na zegarek.

— Śpieszy ci się, Suchy?

— Nie, tylko ten Anglik od dwudziestu minut nie powiedział do niej ani jednego słowa, a nie gniewają się przecież, bo trzyma ją za rękę.

Puściłem w ruch mój stoper i zacząłem również obserwować.

Po czterdziestu minutach Suchy mnie kopnął.

— Anglik coś powiedział.

Spojrzałem. Nie, Suchy się omylił: Anglikowi się tylko odbiło.

Jacy ci Anglicy są jednakże sympatyczni. Naprawdę lubię ich coraz bardziej.

Blackpool, 10 października 1940 r.

Kilka dni temu zginęli w walce: major Eberhardt, kapitan Arciszewski i porucznik Sokołowski.

Blackpool, 19 października 1940 r.

Na pełnym oceanie, kilkaset mil od brzegów Anglii, zatonął brytyjski parowiec „City of Benares“. Trafiła go torpeda niemieckiego okrętu podwodnego.

Strata tego statku jest tak duża, że nie można zrozumieć jej ani z nią się zgodzić. Ładunek tego statku był droższy od złota, droższy od brylantów, był droższy od życia: na pokładzie parowca „City of Benares“ znajdowało się sto dwadzieścia małych angielskich dzieci; niektóre były tak maleńkie, że chodzić nie umiały...

Anglicy nie kryli tej podróży. Od kilku dni brytyjskie radiostacje na wszystkich długościach fal nadawały co kilka godzin komunikaty o ewakuacji dzieci z palącej się wyspy. Podawano miejsce odjazdu, trasę rejsu i port docelowy. Podawano dzień i godzinę wyjścia statku w morze. Statek był jaskrawo oświetlony. Po obu jego stronach i na rufie jarzyły się wielkie znaki Czerwonego Krzyża...

Można sobie wyobrazić, jak w Kwaterze Głównej

Niemieckiej Marynarki Wojennej zaśmiewały się komandory i admirały...

Godzina 6 po południu. Dzieciaki skończyły przed chwilą wieczorny posiłek. Te najmniejsze, umazane czekoladą, zabrano do łazienki, a te trochę starsze szykowały się do pysznej zabawy.

W tym mniej więcej czasie w aparatach podsłuchowych podwodnej łodzi usłyszano słaby jeszcze, lecz wyraźny warkot śrub wesołego parowca.

Rozległy się dzwonki, zamigotały sygnałowe światła. Za godzinę zobaczą wrogi okręt, za dwie — przetną mu drogę.

Łódź zanurzyła się pod wodę.

Dzieciaki się zaśmiewały! Fala była dosyć duża i nikt nie mógł ustać na jednej nodze! To było tak śmieszne, że się śmiać nie było można, tylko pisać!

Tyle było radości, tyle było śmiechu! Rozbawiona dzieciarnia nie chciała iść spać i już! Jeszcze trochę koziołków pofikać, jeszcze wytarzać się po miękkich dywanach, jeszcze parę piosenek zaśpiewać! Po co iść spać, kiedy wszyscy tak się pysznie bawią?

I wyprosiły biedactwa jeszcze pół godzinki tych ostatnich w swym króciutkim życiu figlów...

Wreszcie o godzinie 8 wieczorem znalazły się wszystkie w sypialniach. Naturalnie uzyskały przedtem zapewnienie opiekunek, że jutro zabawa będzie powtórzona. N a p e w n o!

A więc spać! Jak najprędzej spać, aby jak najprędzej było jutro! Ach, prawda, jeszcze paciorek!

Uklękły maleństwa przy białych łódeczkach i każde jak umiało dziękowało dobrej Bozi za pyszną zabawę, prosiło Ją o zdrowie dla Mamusi, dla Tatusia, dla Króla i Królowej, dla małych księżniczek i dla wszystkich, wszystkich dzieci na całutkim świecie...

Ach, jak dobrze jest w łódeczkach! Jak cieplutko!

Tylko szkoda, że Mamusi nie ma... dobranoc, Mamusi... dobranoc, Tatusiu... dobranoc... jak te maszyny dudnią... ale było śmiesznie... jutro... też...

Jedne po drugich zamykały się ślipki, jeden po drugim gasł ostatni uśmiech... Usnęły.

Była godzina 22. W wysuniętym peryskopie podwodnej łodzi ukazała się na tle czerwonego nieba sylwetka „City of Benares“ — białego parowca, pełnego śpiących małych dzieci...

Na chwilę tę czekała z niecierpliwością cała załoga bohaterskiego „U-Bootu“.

Torpeda trafiła akurat w tę część statku, w której znajdowały się kabiny dziecinne. Wiele dzieci zostało zabitych na miejscu, wiele utopiło się w zalanych wodą i ciemnych kabinach, wiele zginęło w dwóch łodziach ratunkowych, które wyrzuciły się w chwilę po opuszczeniu ich ze statku na wzburzone fale.

Nie wiem, ile małych trupków ubranych w różowe i niebieskie piżamki widziała załoga wynurzonej łodzi. Nie wiem, czy „Horst Wessel Lied“ śpiewała czy „Deutschland, Deutschland über Alles“ — wiem tylko, że nie odmówić wykonania takiego rozkazu, mogła tylko załoga niemiecka. Żaden naród na świecie, nawet najmniej cywilizowany, nawet na wpół dziki albo zgoła dziki — nie mógłby dokonać tak potwornej, tak, zdawałoby się, niemożliwej do spełnienia zbrodni.*

Bramcote, 25 października 1940 r.

Zostałem przeniesiony do 18 OTU (Operation Training Unit) w Bramcote w centralnej Anglii. Nie bar-

* Zbrodniarz wojenny admirał Doenitz, odpowiedzialny za to straszliwe łotrństwo, nie został skazany na śmierć i uszedł z życiem. Obecnie jest już na wolności. Przeciwno takiemu wyrokowi zaprotestował jedynie sędzia radziecki.

(Z. W.)

dzo mi ten przydział odpowiadał, ale ponieważ rozkaz wyjazdu rozpoczynał się od słów: „Jego Majestat Król Jerzy VI, Cesarz Indii itd. itd. byłby bardzo zadowolony (It would be His Majesty's pleasure...), gdyby pan zechciał w dniu 21. X. 40 r. udać się do 18 OTU w Bramcote pociągiem nr 299...“, nie mogłem przecież zrobić królowi przykrości. Mogłem?

Gdy pociąg nr 299 zajechał na stację Nuneaton, gdzie miałem wysiąść, była godzina 2 w nocy. Miałem zamiar iść do poczekalni i posiedzieć do rana, ale nie zdążyłem się nawet rozejrzeć, gdy podszedł do mnie jakiś sierżant i salutując zamaszycie, zapytał: *

— Are you pilot-officer... Ło... łos... łosaj... — Tu pokazał mi karteczkę z wydrukowanym moim nazwiskiem, którego wymówić nie potrafił.

Gdy potwierdziłem, wziął mają walizkę i zaprowadził mnie do oczekującego przed dworcem samochodu. W kasynie oficerskim przygotowany był dla mnie pokój i kąpiel.

Nie lubię przesady. Nawet w organizacji. Człowiek się czuje jak jakiś manekin.

Bramcote, 26 października 1940 r.

Dzisiaj rano, ja, polski kapitan, angielski podporucznik, meldowałem się u szkockiego pułkownika po francusku.

Dał mi tylko miesiąc czasu na zaznajomienie się ze sprzętem uzbrojenia w ogóle, a z instalacją bombową na Wellingtonach w szczególności, bowiem mam objąć funkcję instruktora bombardowania. Poza tym będę adiutantem polskiego komendanta stacji, generała Kalkusa.

Wychodząc od pułkownika kłamię po rosyjsku.

Bramcote, 27 października 1940 r.

Zadanie naszego OTU to zgrywanie się załóg bojowych. Zjeżdżają się tutaj absolwenci różnych szkół

lotniczych — pilotów, nawigatorów, strzelców i radio-telegrafistów. Z nich formuje się załogi, które po zapoznaniu się ze sprzętem bojowym i po zupełnym opanowaniu obsługi tego sprzętu w powietrzu — odchodzą do akcji w jednostkach bojowych.

Dubluję oficera uzbrojenia stacji, Szkota, z którym bardzo mi się trudno porozumieć. Sytuację ratuje tłumacz — oficer angielski, kapitan Wrona. Tak, tak — Wrona! Nie Wroona ani Vrouna, tylko tak zwyczajnie Wrona. Oczywiście Polak. Przed wojną był urzędnikiem Banku Cukrownictwa w Poznaniu. Gdy znalazł się w Anglii, zdjął alpakowe zarękawki i nałożył mundur kapitana RAF-u! Możliwe, że ten mundur miał już w walizce w Poznaniu... Miał tam przypuszczalnie i sztuczne wąsy, i atramenty sympatyczne, i ćwierć kilograma cjanku potasu, mikrofotoaparaty i tym podobne rzeczy, konieczne dla skromnego i pilnego urzędnika polskiej instytucji... Jestem przekonany również, że młodszy referent Wrona miał wielu przyjaciół między oficerami 3 Pułku Lotniczego w Poznaniu i składał im częste wizyty na lotnisku w Ławicy...

Bramcote, 28 października 1940 r.

Włochy popełniły omyłkę i napadły na Grecję. Ruchawka na Bałkanach ma być punktem zwrotnym całej wojny. Również fakt, że Turcja nie pomaga Grecji, z którą jest w sojuszu, jest tak samo punktem zwrotnym.

Niemcy też popełniły dwie omyłki: wkroczyły do Finlandii — to jedna, i do Rumunii — to druga, poza tym są to również niezgorsze punkty zwrotne.

Bramcote, 29 października 1940 r.

Według prasy angielskiej Ojciec Święty Pius XII przyjął w tych dniach na specjalnej audiencji dwustu włoskich oficerów udających się na front i udzielił im błogosławieństwa.

Ha, co robić! Trzeba postawić punkt i oczekiwać następnego. Na przykład — mobilizacji watykańskiego kleru dla przeszkolenia go w pilotażu.

Bramcote, 11 listopada 1940 r.

Obchodziliśmy dzisiaj skromnie, niemniej jednak uroczysto święto 11 Listopada. Personel polskich dyonów zorganizował małą akademię. Śpiewano wzniosłe pieśni, deklamowano wiersze, między innymi Słonimskiego „Przeklinam“ (zyskał największy apluz) i Witwickiego „Do Boga“, z prośbą o zwycięstwo.

Poza tym angielski kapitan odegrał na fortepianie własne utwory, a jeden z naszych pułkowników, wznosząc okrzyk: „Niech żyje Polska“ i „Niech żyje Anglia“, przyrzekł uroczysto, że okrzyk ten usłyszą dyktatorzy. Trzymamy go za słowo.

Podniosłą uroczystość zakończyliśmy chóralnym „Jeszcze Polska nie zginęła“ oraz „God save the King“.

Dnia 8 listopada wszedł do akcji bojowej 306 Dywizjon Myśliwski.

Bramcote, 5 grudnia 1940 r.

Wczoraj około 7 wieczorem grałem z Suchym w sześćdziesiąt sześć. Pogoda była okropna, toteż zaniechaliśmy wycieczki do Nuneaton do kina. Ponieważ niskie chmury, deszcz i wicher dawały zupełną gwarancję, że wieczór dzisiejszy upłynie bez alarmu, chciałem również przypuszczalny spokój wykorzystać na kąpiel.

Nie będę się już więcej kąpać podczas ładnej pogody! Raz spróbowałem i dwie godziny, jak ten głupi, zmarznięty i mokry przesiedziałem w schronie.

Graliśmy grubo, bo na kredyt: po sixpencie punkt. W pokoju było ciepło, karta mi szła, niezgorzej nam przygrywał Paul Linke z Hamburga.

Naraz usłyszałem słaby jeszcze, ale wyraźny warkot silników. Czyżby?

— Chyba lecą, Suchy?

— Zwariowałeś, czy co! To samochód.

Do króla dokupiłem atutową damę, wyszedłem w „czterdzieści“ i miałem już zagarnąć nowego six-pensa, gdy tuż za oknami rozległ się okropny ryk silnika i w tym samym prawie momencie nastąpił straszliwy huk. Wszystko się zakołysało — małośmy z krzesła nie pospadali.

Okazało się, że to „samochód“ rzucił kilka bomb z nurkowego lotu. Jedna bomba, sądząc po leju pięćsetkilówka chyba, upadła o kilkanaście metrów od najbliższego hangaru, a ze dwadzieścia bomb zapalających rozerwało się wokół Watch Office.

Jakim sposobem w taką noc znaleźli lotnisko? Chyba to przypadek.

Ale Suchy — spryciarz — nie uznał mi „czterdzieści“ mówiąc, że nie miałem króla, tylko waleta! Niech mu będzie, jeżeli jednak był to walet, to rzeczywiście przyleciał samochód. Nie lubię się sprzeczać, mimo że zawsze mam rację: powiedziałem, że dzisiaj nie będzie alarmu i... alarmu nie było!

Bramcote, 13 grudnia 1940 r.

Straszliwa podwodna wojna, masowe mordercze naloty i dalsze dyplomatyczne niepowodzenia to powody apatii i przygnębienia, w jakich żyliśmy dotychczas. Obecnie jednak nastrój wybitnie się poprawił. Z afrykańskiego teatru wojny nadeszły niezwykle i nieoczekiwane wieści: angielska armia w Egipcie, tak zwana Armia Nilu, rozpoczęła przeciwko Włochom działania zaczepne, i to na wielką skalę. Rezultaty pierwszych trzech dni ofensywy przechodzą najśmielsze marzenia. Anglicy zdobyli już osławione Sidi-Barani, Bir-Garrab, Sollum na granicy Cyrenaiki i podchodzą do Bardii, w której znajduje się dwudziesto-

tysięczna armia włoska pod dowództwem tak zwanego „generała“.

Dreszcze przechodzą mnie na myśl, co by to się stało, gdyby padły Włochy! Wtedy stałaby się rzecz straszliwa! Wtedy, według słów jednego z włoskich profesorów przemawiającego wczoraj przez rzymskie radio:

„Perduta vita civilisata“

Bramcote, 23 grudnia 1940 r.

Sytuacja na „naszym“ froncie bez większych zmian. Niemcy latają co noc. Co noc słyszymy artylerię i wybuchy bomb, co noc na horyzoncie czerwieni się niebo.

Poza Coventry i Birminghamem, które najwięcej ucierpiały, a pierwsze z nich leży w gruzach — przyszła kolej na Liverpool, w którym montują amerykańskie samoloty, na Bristol, centrum przemysłu wojennego, na Sheffield, największe na świecie stalownie. Stolica, porty przy ujściu Tamizy, Dover i wszystkie miasta południowo-wschodniej Anglii, bombardowane są również prawie każdej nocy.

Doraźne efekty bombardowań są nam znane — widzimy je i słyszymy o nich, ale jaki one mają wpływ na sprawność maszyny wojennej, czy duży, czy mały, czy żaden, czy decydujący — nie wiemy.

W ciągu dnia wczorajszego zrzucili Niemcy na Anglię milion kilogramów bomb! Zdawałoby się — dużo, ale po przeliczeniu wypadło na mnie dwa i pół deka!

Mam ich gdzieś — kilograma się boję.

Bramcote, 25 grudnia 1940 r.

Wczesną Wigilię spożyłem wczoraj w gronie żołnierzy, a resztę dnia spędziłem wraz z Suchym przy radio.

Słuchając poważnej muzyki i pięknych pieśni, przeniosłem się myślą do Kraju. Tragiczna, okropna rzeczywistość, pogodne, kochane wspomnienia dawniejszych świąt, nieznana zupełnie przyszłość, marzenia o szczęśliwym końcu koszmarnego snu — oto wigilijne tematy mojej zmęczonej wyobraźni.

Jak bardzo zazdrościłem kolegom z 301 Dywizjonu Bombowego, którzy — była to oczywiście tajemnica — mieli w wieczór wigilijny polecieć nad Polskę i zrzucić dziesiątki tysięcy maleńkich paczuszek świątecznych opłatków.

Ale nie poleciali, bo nieoczekiwanie popłynęły z radia słowa księdza biskupa Gawliny: „Wierzcie mi, moi mili, oto leci teraz święty Stanisław Kostka do Polski z bielutkimi opłatkami...”

— To 301 nie poleciał? — przerwał Suchy przemowę księdza biskupa.

— Słyszysz przecież, Suchutki; rozkazy, jak to u nas, zmieniono w ostatniej chwili.

Bramcote, 27 grudnia 1940 r.

Objąłem funkcję instruktora obsługi instalacji bombowej na samolotach Wellington. Sprawdzanie, czy uczniowie dobrze opanowali obsługę tego dosyć skomplikowanego urządzenia, odbywać się będzie w powietrzu nad kryjówkami niemieckich łodzi podwodnych, a więc nad Brestem i Cherburgiem.

Bramcote, 1 stycznia 1941 r.

Skończyły się przykre, obojętne święta, minął Sylwester bądź nudnie spędzony w kasynie, bądź smutnie przy radio, bądź też wesoło na głupim baliku w miasteczku. Ja oczywiście byłem na baliku.

Tak jak każe zwyczaj składaliśmy sobie wszyscy życzenia sylwestrowe. Były zupełnie jednakowe i zupełnie bez przekonania: „Aby ostatni na obczyźnie“, „aby następny między swymi“.

Inaczej życzyli sobie możni tego świata: Niemcy życzyli Churchillowi wytwornie, aby ten „modern judische Machabeusz“ z cygarem w pysku nie doczekał następnego Sylwestra. Roosevelt w poświętej mowie nazwał dyktatorów „bandą opryszków, wyjętych spod prawa“. Anglicy, robiąc przegląd wydarzeń ubiegłego roku, wyrazili oryginalne przekonanie, że następny będzie „dojrzałą śliwką, która wpadnie w kompot dyktatorów“.

W dzień wigilijny i oba świąteczne ustały działania wojenne i ani jedna bomba nie spadła na wrogich terytoriach. Widocznie odpoczynek ten wszystkim przypadł do smaku, bo piękna sylwestrowa noc minęła również spokojnie.

Jak tak dalej pójdzie, to może odpoczywać będziemy każdego pierwszego lub — jeszcze lepiej — w każdą sobotę?

A może przeciwnie — będziemy się napażać tylko w środy...

Dnia 3 grudnia wszedł do akcji bojowy 307 Nocny Dywizjon Myśliwski, dnia 12 grudnia — 308 Dywizjon Myśliwski, a dnia 20 grudnia — Polska Eskadra Balonów Zaporowych.

Bramcote, 6 stycznia 1941 r.

Nie, obawy moje, że tylko raz na tydzień będziemy się bić, okazały się przedwczesne. Co noc Niemcy przylatują nad Anglię i co noc Anglicy atakują Rzeszę. Pierwsi uwzięli się z kolei na Cardiff, Bristol i Dover i spalili ćwierć Londynu, drudzy — rujnują we Francji, Belgii i Holandii inwazyjne porty i spalili pół Bremy.

Ataki powietrzne nie słabną, przeciwnie, przybierają na sile. Moment kulminacyjny się zbliża.

W Północnej Afryce wojska australijskie zdobyły Bardię. Wzięto do niewoli 25 000 Włochów, zdobyto wielką ilość wojennego sprzętu oraz obficie zaopatrzo-

ne magazyny żywności i wody. Poza tym w ręce zdobywców dostały się tysiączne stada wielbłądów, mułów i osłów oraz stadko generałów. W tym dwóch kompletnych generałów niemieckich (kompletnych, to znaczy z monoklami).

Dwa polskie bombowce wracając znad Bremy wpadły, już nad Anglią, w śnieżycę i na skutek oblodzenia uległy katastrofie. Jedenastu polskich lotników zginęło. Między innymi dwóch moich starych kolegów pułkowych: major Florianowicz i porucznik Bolesław Sadowski.

Bramcote, 12 stycznia 1941 r.

Zginęli w powietrzu kapitan Nikonoff i kapitan Kryński, były adiutant prezydenta Rzeczypospolitej.

Bramcote, 13 stycznia 1941 r.

BBC podało wiadomość o poważnych rozruchach w północnych Włoszech. Przypuszczaliśmy zatem sprytnie, że rozruchów w ogóle nie było. Tymczasem, ku wielkiemu naszemu zdumieniu, radio niemieckie zaprzeczyło gwałtownie wiadomościom o rozruchach, co wskazywałoby jednak, że rozruchy przecież były! Nie wiemy, co o tym sądzić. Znow nas radio wykiwało.

W ogóle przestajemy się już orientować. Jedni mówią, że o ile Anglia wytrzyma trzy miesiące, to już w czwartym będzie lepiej, a drudzy twierdzą, że o ile Anglia wytrzyma trzy miesiące to czwartego nie wytrzyma.

Bramcote, 8 lutego 1941 r.

Znow zaszedł u nas wypadek. Kilku lotników, którzy kończąc wyszkolenie mieli już w tych dniach odejść jako uzupełnienie dyonów bojowych — poległo w śmiertelnej katastrofie. Polecieli na Wellingtonie na jedno z ostatnich zadań i gdzieś koło Liverpoolu zaczęli w chmurach o stalową linę balonu na uwięzi.

Spod szczątków samolotu wydobyto dziesięć zmasakrowanych trupów: czterech Anglików i sześciu Polaków.

Dzisiaj odbył się pogrzeb. Jasne dębowe trumny, okryte białoczerwonym całunem i Union Jackiem, przewieziono na trzech przyczepionych do samochodów platformach na cmentarz w Nuneaton.

Nad trzema wspólnymi grobami ustawiły się kompanie honorowe: angielska i polska. Po modlitwach odmówionych przez księdza i pastora trumny spuszczone do grobów. W tym czasie kompania polska prezentowała broń, angielska oddała trzy pożegnalne salwy, a trębacz odegrał ostatni hejnał. Przemówień nie było żadnych.

Bramcote, 9 lutego 1941 r.

Niechby nareszcie była ta inwazja! Oczekiwanie na nią staje się coraz bardziej denerwujące.

Cała prasa fachowa i niefachowa rozpisuje się na temat inwazji: jak będzie wyglądać, kiedy i gdzie nastąpi i co z tego wyniknie.

Rozważania te można by streścić następująco: jednym z planów niemieckich jest, być może, pomysł oskrzydlenia i ataku na możliwie rozległej przestrzeni. Takie uderzenie polegałoby w pierwszym rzędzie na wielkiej ilości słabych desantów na wybrzeżach Irlandii i Anglii i skoordynowanie ich z silnymi desantami, lądującymi jednocześnie na wyspach: Wight, Shetland, Hebrides, a może także w Kornwalii. Celem uderzenia byłoby opanowanie przyczółków i nadbrzeży, dających się spżytkować jako bazy morskie i lotnicze. Równocześnie trwałoby gwałtowne bombardowanie Londynu i południowej Anglii. Nad atakowanymi terenami rozgrywałyby się mordercze bitwy powietrzne. Atak na Kornwalię, powierzono by zapewne oddziałom szturmowym, gotowym na pewną śmierć po to, aby wywołać u przeciwnika wrażenie, że właśnie tam ma

miejsce prawdziwa inwazja. Uzyskanie przewagi w powietrzu i na morzu pozwoliłoby Niemcom na swobodne wysadzenie dalszych oddziałów desantowych, a uchwycenie wybrzeży w różnych miejscach kraju związałoby znacznie siły brytyjskie, które w innym wypadku mogłyby być przerzucone do Irlandii.

Jednakże realizacja tego planu natrafiłaby na ogromne trudności, albowiem uzyskanie przez Niemców przewagi w powietrzu i na morzu jest bardzo problematyczne. Flota niemiecka nie jest dość liczna, a zaopatrzenie wysadzonych na ląd oddziałów nasuwa w tym wypadku niepokonane wprost trudności.

Dlatego można przypuszczać, że nieprzyjaciel odrzucił plan szerokiego uderzenia na wybrzeża i raczej podejmie gwałtowny, skoncentrowany atak na Dover. Wstępną fazą takiego planu byłoby zaminowanie Kanału La Manche, by uniemożliwić naszej flocie swobodny manewr. Pola minowe szłyby zapewne od Dieppe do Eastbourne i od Ostendy do North Foreland, pozostawiając dla nieprzyjaciela pas od Calais, Dunkierki i Boulogne ku wybrzeżom Sussex i Kentu. W tym wypadku pierwszym celem po sforsowaniu Kanału byłoby zdobycie Londynu.

Jednakże powodzenie takiego uderzenia zależy niewątpliwie od posiadania druzgocącej przewagi ogniowej — co najmniej w stosunku 3 : 1. Ponieważ Wielka Brytania może w bardzo krótkim czasie rzucić do przeciwuderzenia zmotoryzowane oddziały liczące 250.000 ludzi, nieprzyjaciel musiałby do akcji wprowadzić jednocześnie około 800.000 żołnierzy. Taki korpus ekspedycyjny, całkowicie zmotoryzowany (bo tylko zmotoryzowane wojsko może liczyć na sukces) liczyłoby nie mniej niż 10.000 motocykli, 80.000 innych pojazdów i 15.000 czołgów! Ta ogromna masa silników spaliłaby w przeciągu tygodnia około 4.500.000 galonów paliwa! Skąd wziąć taką masę paliwa i smarów, bo przywie-

zienie nie będzie możliwe. Zresztą paliwo nie wyczerpuje całości potrzeb desantu. Ogromne ilości amunicji i pożywienia muszą być również dostarczone, a przecież kwestia zaopatrzenia stałaby się aktualna dopiero po wylądowaniu desantu. Zwykle statki transportowe byłyby zbyt narażone na bomby.

Bardziej więc jest możliwa metoda rozproszonego zbliżenia się małymi motorowymi łodziami. Przypuśćmy nawet, że cały desant będzie załadowany na tego rodzaju łodzie, mieszczące około 20 pojazdów mechanicznych lekkich lub 3 wozy ciężarowe albo czołgi. Wyniesie to około 18.000 motorowych barek, a po tygodniu... potrzebny będzie drugi transport w takiej samej ilości! Ponieważ przy takiej ilości niemożliwe jest zaskoczenie, dlatego nie wydaje się prawdopodobne, aby niemieckie naczelne dowództwo zaryzykowało taką próbę.

Sparaliżowanie centrum Imperium — Londynu intensywnym bombardowaniem z powietrza z jednoczesnym wyrzuceniem znacznej ilości spadochroniarzy — miałoby o tyle widoki powodzenia, że jednoczesne uderzenie w różnych punktach stolicy nie pozwoliłoby dowództwu na skoncentrowanie oddziałów, a groźne czołgi działałyby na przedmieściach i ulicach, co znacznie zmniejszyłoby ich wartość bojową.

Możliwe jest również, że zamiast skoncentrowanego uderzenia w serce kraju, nieprzyjaciel może próbować lądowania na całym wybrzeżu, celem rozproszenia oddziałów broniących, na jak największej przestrzeni. Taka próba jednoczesnego lądowania niezliczonych oddziałów desantowych na barkach i transportowcach utrudniłaby znacznie przeciwuderzenie angielskie przez uniemożliwienie koncentracji.

Jednakże ten rodzaj inwazji nie ma szans powodzenia, a to dzięki Home Guard, ochotniczej armii, strzegącej granic i strategicznych punktów na całym

obszarze Zjednoczonego Królestwa. Poza tym podobna próba inwazji musiałaby się siłą faktu opierać na drobnych, a więc pomimo najlepszego nawet wyposażenia w broń i sprzęt słabych oddziałach.

Możliwe jest także usiłowanie opanowania Brytanii przez desanty powietrzne, zarówno spadochronowe jak i samolotowe, rzucone w różnych punktach w głębi kraju. Takie desanty z reguły dążyłyby do opanowania najbliższych lotnisk lub terenów do lądowania. W ten sposób umożliwiłyby lądowanie następnych, na cięższych samolotach, bez walki.

Możliwe także, że wodnopłatowce próbowałyby lądowania na rzekach w pobliżu wielkich miast. Rozprzestrzenianie się takich z nieba spadłych oddziałów wyglądałoby zapewne jak rozszerzanie się plamy atramentu na bibule i poparte byłoby maksymalnym nasileniem działalności V Kolumny. Skutkiem takiego ataku, oczywiście przy teoretycznym założeniu jego udania się, byłaby dezorganizacja naszej produkcji, transportów i łączności.

Ale trzeba uprzytomnić sobie, że nieprzyjaciel nie ma i nie jest w stanie mieć tak silnych i licznych oddziałów desantowych, aby atak tego rodzaju mógł się powieść.

Gdyby nieprzyjaciel chciał próbować jeszcze innego sposobu zadania Wielkiej Brytanii klęski na jej własnej ziemi, może zastosuje metodę „przecięcia” kraju? Oto potężne desanty powietrzne w rejonie Birmingham, Bristol i Cardiff, poparte jeszcze silniejszymi desantami morskimi w rejonie Bristolu od zachodu i Norfolk od wschodu, a wszystko to pod osłoną myśliwców działających z pobliskich baz na północy Francji, mogłyby uchwycić teren w tej wąskiej części kraju i nawet się tam utrzymać.

Ale tak zdobyty teren wydłużyłyby niepomiarne linie styku desantowych oddziałów z naszymi wojskami, a tym samym zapewniły nam możliwość skoncen-

trowania oddziałów zmechanizowanych i zdruzgotania nie umocnionego jeszcze, bo dopiero co lądującego, przeciwnika.

Rozważania te nie wyczerpały jeszcze wszystkich możliwości próby inwazji. Hitler może zrezygnować z prób opanowania Anglii jednym uderzeniem, a ryzykować desant morski i powietrzny na Irlandię. Powodzenie takiej akcji zapewniłoby mu doskonałe bazy do blokowania wysp brytyjskich. Aby jednakże blokada była naprawdę skuteczna, wspomniane bazy musiałyby powstać na całym wschodnim wybrzeżu Irlandii, od Cork aż po Londonderry. Wykonanie takiego desantu jest technicznie ogromnie trudne z uwagi na znaczną odległość dzielącą Irlandię od kontynentu Europy i na stałą służbę patrolową floty i lotnictwa brytyjskiego.

Względna beczynność Niemiec podczas obecnej zimy zdaje się wskazywać na szeroko prowadzone przygotowania materiału dla desantu: samolotów transportowych, tratwę, barek...

Ale ta względna beczynność Niemiec pozwoliła Wielkiej Brytanii na uzupełnienie brakującego sprzętu, na wzmocnienie produkcji czołgów i samolotów, na przeszkolenie nie tylko armii regularnej, ale i 2.500.000 żołnierzy Home Guard — Armii Obrony Krajowej, która to armia, związana z okolicą obowiązkami codziennego życia, posiada jeszcze prócz walorów zwykłego żołnierza, niezastąpioną niczym znajomość terenu.

Dlatego trzeba stwierdzić, że odłożenie przez Niemców inwazji do wiosny wyraźnie umocniło położenie Wielkiej Brytanii, niezależnie nawet od sukcesów uzyskanych na innych polach i frontach.

Niemcy mogą próbować inwazji według któregośkolwiek z podanych planów albo, co jest jeszcze bardziej prawdopodobne, według innego sposobu, będącego kombinacją tych kilku schematów. Najbliższe miesiące, a może nawet najbliższe tygodnie powiedzą nam o tym.

Wczoraj odbyłem pierwszy lot operacyjny. Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Nie był to co prawda lot na Berlin czy Hamburg, niemniej jednak był lotem bojowym. Cel — Brest. Zadanie — obrzucenie bombami doków, przypuszczalnych kryjówek niemieckich okrętów podwodnych.

Załoga naszego Wellingtona składała się z dwóch pilotów, nawigatora, radiotelegrafisty i mnie jako instruktora obsługi instalacji bombowej. Funkcję tylnego strzelca objął mój przyjaciel Janusz Meissner, który w jednym z dywizjonów bombowych stacjonowanych na sąsiednim lotnisku lata w charakterze korespondenta wojennego, pełniąc jednocześnie obowiązki strzelca ogonowego. Resztę załogi stanowiło ośmiu uczniów naszego OTU, którzy na zmianę obejmowali stanowiska bombardiera i przedniego strzelca.

Nie tyle nie lubię, (bo lubię) ile nie umiem kłamać, toteż żałuję bardzo, ale niestety lot nasz odbył się wbrew wszelkim przepisom literatury pięknej. Już na ziemi spotkał mnie zawód. Byłem pewny przecież, że przed startem mechanik pogłaszcze pieścotliwie samolot i powie wzruszonym głosem: „Moja ty kochana krowo“. Diabła tam! — nic nie powiedział. Nawet nie czekał na start, tylko po próbie silników wsiadł na rower i pojechał do kasyna na kolację.

„Ha, trudno — pomyślałem sobie — za to start odbędzie się «przepisowo»“. Samolot, stękając okropnie, za nic nie będzie chciał oderwać się od ziemi! Z przerażeniem patrzeć będziemy na zbliżające się szybko, ach! jak szybko, czerwone światła ustawione na końcu runwayu, a gdy koła podwozia po raz ostatni musną betonowe płyty — cała załoga westchnie z wielką ulgą: uff!

Nie, nikt z nas nie westchnął: uff, bowiem samolot wcale nie stękał, a od ziemi oderwał się lekko w połowie drogi startowej.

Nabierając wysokości, lecieliśmy w zupełnym milczeniu. W milczeniu, to nie znaczy — w ciszy. Silniki, zamiast „grać cudowną melodię“, ryczały okropnie. Najciszej było w oszklonej kabince ogona. Z Janusza jest jednakże marny strzelec: powinien przecież grać na ustnej harmonijce, nie kręcić sprzężonymi karabinami maszynowymi, celując z nich do wszystkich gwiazd po kolei.

Wyszliśmy dokładnie na cel. Tutaj rzeczywiście przy pewnej dozie fantazji można było dwadzieścia kilka dział przeciwlotniczych, które zaczęły do nas strzelać, pomnożyć przez dziesięć. Ale i te dwadzieścia wystarczyły, żebyśmy w sposób dostatecznie nerwowo poczeli się rozglądać, czy przydzieleni do nas anioły-stróże znajdują się na swoich stanowiskach. Owszem, byli. Każdy z nich siedział na ramieniu swego podopiecznego. Mój był nawet dosyć ciężki.

Po czterech nalotach, podczas których rzuciliśmy 18 bomb pięćdziesięciokilowych, 9 stukilówek i 200 zapalających, wzięliśmy kurs powrotny.

Jaki był rezultat naszych ćwiczeń w obsłudze instalacji bombowej — nie wiem. Jedno było pewne, że zostawiliśmy za sobą ogromny pożar, który wybuchnął w zabudowaniach portowych.

Poszedłem do Janusza. Z obliczem skupionym i wniebowziętym przyglądał się czerwonej plamie ognia na ziemi.

— Ale się pali! — powiadam do niego. — Ciekaw jestem, w cośmy trafili. Jak myślisz, Januszkuz?

— W co? Jasne, że nie w łódki, tylko w mydlarnię. Łódki tak by się nie paliły — wyjaśnił mi mój przyjaciel i wyjął z kieszeni kombinezonu... uszną harmonijkę.

Ładowaliśmy przy dźwiękach „Walencji“.

Bramcote, 12 lutego 1941 r.

Wczoraj około godziny 7 wieczorem byłem najzupełniej przekonany, że Niemcy rozpoczęli inwazję, sto-

sując metodę „przecięcia“ kraju. Gdy tylko rozległy się przeciągłe serie karabinów maszynowych, gdy elektrownia wyłączyła prąd, gdy usłyszałem jakieś wrzaski i bieganinę — byłem pewny, że ląduje właśnie spadochronowy desant.

Nałożywszy hełm, pobiegłem w stronę hangarów, myśląc po drodze z prawdziwym smutkiem, że takie już moje szczęście — akurat musiałem się znaleźć w miejscu przecięcia kraju...

Gdy przybiegłem do hangaru i złapałem żelazny drażek z przyszwesowanym do niego bagnetem z tamtej wojny, strzelanina nagle urwała się i nastąpiła cisza.

Nie, to nie była inwazja — to była krowa, która wlaźła na lotnisko.

Zginął śmiercią lotnika Kazimierz Bocheński, jeden z najlepszych pilotów Polskich Linii Lotniczych „Lot“, a ostatnio sierżant jednego z dywizjonów myśliwskich.

Bramcote, 1 marca 1941 r.

Bułgaria „zapisła się“ do Osi i wpuściła na swoje terytorium niemieckie wojska. Z tego tytułu ma być jej wypowiedziana wojna.

Bramcote, 14 marca 1941 r.

Zawsze byłem pewny, że te nocne loty skończą się kiedyś nieszczęściem.

Wczoraj, około północy, odbywały się one jak zwykle. Noc była jasna, bezchmurna, księżyc w pełni. Dwie oświetlone maszyny krążyły w powietrzu, a jedna akurat wylądowała i kończyła wybieg za wytyczoną lampkami dróżką.

Czerwone światła na lewych, zielone na prawych skrzydłach, białe na nosie, żółte, naftowe na ziemi, a purpurowe na hangarach — wyglądały bardzo malowniczo. Niemiec na pewno zgłupiał, gdy zobaczył z daleka tę lunaparkową iluminację i w pierwszej

chwili przypuszczał, że w ten sposób chcą go Anglicy wykiwać... Wyobrażam sobie jego zdumienie, gdy się wreszcie przekonał, że to, co widzi, nie jest żadną zasadzką, lecz prawdziwymi nocnymi lotami na prawdziwym lotnisku.

Niemca nie było słyhać, bo warkot jego silników zlewał się z warkotem naszych Rolls-Royce'ów. Zobaczono go dopiero w ostatniej chwili, gdy na wysokości 700 metrów, kursem bojowym leciał na hangary. Rzucił serię ośmiu bomb, z których dwie były w celu: jedna w hangarze, druga — między samolotami na ziemi. W jednej chwili powstały dwa wielkie pożary. Palił się hangar, a na lotnisku stanęły w ogniu dwa samoloty, pełne benzyny, smarów i tlenu.

Artyleria lotniskowa otworzyła ogień, w rozpalonych samolotach zaczęła detonować amunicja karabinowa, zaczęły się, niczym bomby, rozrywać z okropnym hukiem dziesiątki stalowych butli z tlenem o 120 atmosferach ciśnienia.

Brzęk szkła, gwizd pocisków, wrzaski, klaksony samochodów straży ogniowej i... świadomość, że Niemiec lata, że widzi wszystko i że lada chwila wypuści nową, celniejszą seryjkę — wszystko to złożyło się na sytuację, którą nazwałbym, z angielska, raczej nieprzyjemną.

Mieliśmy jednak szczęście. Niemiec nie miał więcej bomb i uciekł, a pożary, mimo że gaszenie ich trwało dobrą godzinę, nie zwabiły jakoś innych. Strat w ludziach nie było.

Bramcote, 24 marca 1941 r.

„Nieprawdą jest, jakoby we wrześniu 1939 roku trzydzieści polskich «Łosi» bombardowało Berlin — natomiast prawdą jest, że w nocy z 23 na 24 marca 1941 roku, czternaście polskich Wellingtonów bombardowało stolicę Niemiec.“

Takie oto sprostowanie powinno być ogłoszone uroczyście!!!

Tak, to jest naprawdę punkt zwrotny!!! Punkt, na który wszyscy Polacy, i my na emigracji, i oni w kraju, oczekiwaliśmy z taką niecierpliwością.

Dnia 13 marca wszedł do akcji bojowej 315 Dywizjon Myśliwski.

Dnia 15 marca — 309 Dywizjon Współpracy.

Wczoraj, dnia 24 marca — 317 Dywizjon Myśliwski, a jutro, dnia 25 marca wejdzie do akcji 316 Dywizjon Myśliwski.

Bramcote, 2 kwietnia 1941 r.

Kilka dni temu odbyła się na Morzu Śródziemnym wielka bitwa morska. Oto jej szczegóły:

27 marca angielskie samoloty wywiadowcze zauważyły włoską eskadrę na wschód od Cape Passero na wschodniej Sycylii. Niezwłocznie wysłano przeciwko tej eskadrze najpierw lekkie, a potem i większe jednostki.

Eskadra włoska miała wschodni kurs i na drugi dzień rankiem lekkie jednostki brytyjskie zauważyły na południowy zachód od Krety jeden wielki pancernik klasy Littorio z eskortą kilku krążowników. Samoloty wywiadowcze donosiły ponadto, że na północ od tego zgrupowania znajdują się dwa pancerniki oraz krążowniki i destroyery.

Skoro tylko Włosi zorientowali się, że ich wytropiono, zawrócili pełną parą na zachód. Tymczasem, na wieść, że nastąpi prawdopodobnie zbrojne spotkanie z nieprzyjacielem, eskadra grecka znajdująca się w pobliżu dołączyła do Anglików.

W ciągu całego dnia pancernik włoski był skutecznie bombardowany przez lotnictwo morskie, został uszkodzony i coraz bardziej tracił szybkość, co pozwoliło większym jednostkom angielskim zbliżyć się do nieprzyjaciela. Akcję bezpośrednią rozpoczęto dopiero o zmierzchu.

Eskadra brytyjska przystąpiła do ataku, w wyniku

którego zatopiono trzy krążowniki — „Pola“ „Zara“ i „Fiume“ oraz dwa destroyery. Admiralicja podaje, że zapewne zatopiono jeszcze jeden kontrtorpedowiec oraz czwarty krążownik „Giovanni della Bande Nere“, należący do klasy Condottieri.

Bitwa trwała krótko. Po rozbiciu eskadry włoskiej reszta jej okrętów, korzystając z ciemności, uciekła.

Na drugi dzień rano wyratowano z morza około tysiąca rozbitków. Można by było uratować jeszcze kilkuset, gdyby nie bombowce niemieckie, które zaczęły bombardować ratujące okręty. Zrezygnowano wobec tego z dalszej akcji ratowniczej i wysłano tylko do admiralicji włoskiej depeszę, podając dokładnie miejsce, gdzie pływają tratwy z rozbitkami. Sztab włoski potwierdził odbiór depeszy, podziękował za wiadomość i awizował wysłanie na „pobojowisko“ okrętu-szpitala.

Do niewoli dostało się 849 Włochów i 35 Niemców. Dowódca eskadry, admirał Contani — utonął.

Bramcote, 13 kwietnia 1941 r.

W wyniku ofensywy rozpoczętej w styczniu w Afryce Północnej, Anglicy doszli do Angheila, zdobywając po drodze Sidi-Barani, Tobruk, Bardię, Dernę, Bengazi i El Bregę. Zabrali do niewoli tysiące niemieckich i włoskich żołnierzy oraz zdobyli wielką, nie przeliczoną dotychczas, ilość sprzętu wojennego: karabiny maszynowe, artylerię, czołgi, składy żywności, amunicji i... pojechali sobie do Grecji.

Wobec tego przyjechali sobie Niemcy i rozpoczęli ofensywę. Zdobyli Angheila, El Bregę, Bengazi, Dernę, Bardię i podchodzą do Sidi-Barani. Zabrali do niewoli tysiące żołnierzy oraz zdobyli wielką, nie przeliczoną dotychczas, ilość sprzętu wojennego: karabiny maszynowe, artylerię, czołgi, składy amunicji i żywności i... odpoczywają sobie, bo się zmęczyli.

Wobec tego tylko patrzeć, jak przyjdą z Grecji Anglicy i rozpoczną sobie ofensywę. Zdobędą Sidi-Ba-

rani, Bardię, Dernę, Bengazi, El Bregę i Angheila. Zabiorą do niewoli tysiące niemieckich i włoskich żołnierzy oraz zdobędą wielką, nie do przeliczenia, ilość sprzętu wojennego: karabiny maszynowe, artylerię, czołgi, składy amunicji i żywności... i pójdą sobie bronić jakiegoś nowego alianta.

Wobec tego przyjdzie sobie więcej Niemców i rozpoczną ofensywę. Zdobędą Angheila, El Bregę, Bengazi, Dernę, Bardię, Tobruk i podejdą do Sidi-Barani. Zabiorą do niewoli tysiące żołnierzy oraz zdobędą wielką, nie do przeliczenia ilość sprzętu wojennego: karabiny maszynowe, artylerię, czołgi, składy żywności i... odpoczną sobie, bo się zmęczą.

Wobec tego przyjadą Anglicy i rozpoczną sobie ofensywę. Zdobędą Sidi-Barani...

Do trzech razy sztuka.

Bramcote, 14 kwietnia 1941 r.

Hitler znowu zrobił dwie omyłki: napadł na Grecję i na Jugosławię.

Elegancko popisały się Węgry. Mimo że cztery miesiące temu zawarły z Jugosławią pakt serdecznej przyjaźni — napadły na nią wraz z Niemcami. Tak nie mógł postąpić ani regent, ani admirał. Tak mogła postąpić tylko zwykła świnia.

Udał nam się rumuński sprzymierzeniec i udał się nam węgierski bratanek!

Bramcote, 22 kwietnia 1941 r.

Wychodziła w Warszawie przed wojną gazeta codzienna pod tytułem „Dzień Dobry“. Pamiętam, że jeden z jej numerów, uczynił na mnie niesamowite wrażenie: tytuł i pierwszy nagłówek brzmiały:

„Dzień Dobry“. Dżuma panuje w Chinach.

Gdyby obecnie jakiś angielski dziennik nazywał się „Good Morning“, to nie tylko jeden jego numer, ale

prawie wszystkie z ostatnich dni, sprawiłyby wrażenie podobne:

„Dzień Dobry“. 1000 trupów w Birmingham.

„Dzień Dobry“. 2000 trupów w Londynie.

„Dzień Dobry“. 12000 trupów w Belgradzie.

Rzeczywiście ostatnie wiadomości, i to ze wszystkich frontów, są zdecydowanie złe.

Kampania jugosłowiańska jest już właściwie zakończona. Drobne walki mają charakter partyzantki i nie mogą być brane pod uwagę. Grecy wycofali się z Albanii i wraz z ekspedycyjnym korpusem angielskim bronią się na nowym froncie, którego linia przechodzi od Olimpu na zachód w stronę Koricy. Prawe skrzydło tego frontu obsadziły różne wojska imperialne, lewe — Grecy. Niemcy ponoszą duże straty i nie zdołali dotychczas przełamać tej nowej linii umocnień. Pchają się jednak wszystkimi siłami i mając, jak zawsze zresztą, druzgocącą przewagę techniczną i ludzką — prędzej czy później zmęczonych już Greków pobiją.

W nocy z 9 na 10 kwietnia RAF zbombardował Berlin. Najwięcej ucierpiało śródmieście, a liczba ofiar sięgała dwóch tysięcy. Niemcy byli wściekli i zapowiedzieli zemstę. Od zmierzchu aż do świtu, całą noc z 16 na 17 kwietnia bombardowali śródmieście Londynu. Był to jeden z najcięższych raidów od początku wojny. Zburzono i spalono kilkaset domów mieszkalnych, osiem szpitali, pięć szkół, pięć kościołów i dwa wielkie kina. Zginęło również około dwóch tysięcy ludzi.

Nazajutrz, to jest dnia 17 kwietnia, w porannych komunikatach radia niemieckiego ostrzeżono Anglików, że jeśli jeszcze raz przylecą nad Berlin, to oni, Niemcy, wykończą Londyn bez reszty.

Anglicy długo się nie namyślali — w niecałe 24 godziny, bo już w następną noc, z 17 na 18 kwietnia

wysłali nad Berlin najcięższe swoje bombowce — Sterlingi...

Na tym się jednak nie skończyło, bo Niemcy też długo nie czekali z odwetem za Sterlingi, również niecałe 24 godziny, i całą następną noc bombardowali Londyn. Trafili w katedrę Świętego Pawła, w Buckingham Palace, siedzibę króla, zburzyli zupełnie kilka dzielnic w śródmieściu.

Cała prasa, w imieniu wszystkich obywateli, woła o rewanz:

„Bomb Berlin — Bomb Rome — Bomb Munich
That is the frenzied shriek that is sweeping Britain after the Nazi murder raids of last week.
It is the cry of ten milion deluded fools“.

„Bombardować Berlin, bombardować Rzym, bombardować Monachium — oto jest wściekły krzyk rozlegający się w Anglii po morderczych niemieckich raidach w ostatnim tygodniu. To jest krzyk dziesięciu milionów oszukanych durni“.

„Durni“? Nie rozumiem, ale i nie przeczę.

Ostatni komunikat o walkach na Bałkanach podaje wiadomość, że ewakuowano Olimp, Larisę i przesunięto linię frontu o 100 kilometrów na południe. Poza tym komunikat twierdzi, że odwrót przeprowadzony został wspaniale. To nas uspokoiło!

Jeszcze kilka takich wspaniałości...

Bramcote, 25 kwietnia 1941 r.

Kampania bałkańska dobiega końca. Zadano Niemcom kolosalne straty, zabito ich jakoby sto tysięcy, poraniono z pół miliona, dziesięć dywizji rozbito w puch, dziesiątkując dwadzieścia dalszych. Zginął zmiażdżony w dzikich górach kwiat niemieckiej młodzieży. Nasze bohaterские wojska siały śmierć i znisz-

czenie, sprawiając straszliwe cięgi pruskim kohortom...

W rezultacie tych wspaniałych operacji — król grecki zwał na Krete, jugosłowiański na Bliski Wschód, Ateny padną lada dzień.

Bramcote, 27 kwietnia 1941 r.

W nocy z 23 na 24 zginęła podczas lotu ćwiczebnego cała załoga Ansona. Wracając z przelotu wpadli pod Coventry na balon. Wczoraj odbył się pogrzeb. Tym razem wyłącznie polski, gdyż Anglików zabrały rodziny poległych.

Wszystko odbyło się według zwykłego szablonu. Dwie jasne dębowe trumny ustawione na samochodowej przyczepie-platformie i okryte biało-czerwonym sztandarem otwierały kondukt kilkunastu samochodów. Podczas drogi do miasteczka krążył nisko samolot. Od bramy cmentarnej do grobu trumny nieśli koledzy.

Krótką modlitwa, prezentuj broń, trzykrotna salwa honorowa i hejnał na trąbce, po czym nastąpił ostatni akt smutnej uroczystości: każdy z nas podchodził sprężystym, żołnierskim krokiem do grobu i żegnał się, oddając ostatnie honory.

Na pogrzeb jedyne go syna przyjechał z Londynu inżynier Rudlicki. Trzymał się dzielnie, biedny ojciec, do ostatka. I on starał się sprężystym, żołnierskim krokiem podejść do grobu syna, lecz widać było, jak słabo mu się to udaje. My żegnaliśmy kolegów, energicznie salutując — on, cywil, stanąwszy „na baczność“ przed otwartym jeszcze grobem, schylił tylko głowę i powiedział: „Żegnaj, synku“.

Tak, „synku“, bo pan sierżant Rudlicki miał siedemnaście lat.

Bramcote, 29 kwietnia 1941 r.

Znów mieliśmy katastrofę. Nie wiadomo na razie z jakich przyczyn rozbił się Wellington. Cała załoga —

jeden Anglik i trzech podoficerów Polaków — zginęła.

Bramcote, 7 maja 1941 r.

Dnia 25 kwietnia weszły do akcji bojowej dwa następne polskie dywizjony bombowe: 304 i 305.

Sytuacja w Afryce jakoś się poprawiła. Tobruk, w którym walczy Brygada Karpacka pod dowództwem generała Kopańskiego, trzyma się i bruździ Niemcom na tyłach. Abisynia jest prawie wykończona i zwolnione stamtąd wojska imperialne walą, ile sił, do Egiptu.

Tak jak swego czasu jako jedni z pierwszych uznaliśmy aneksję Abisynii przez Włochy, tak i teraz jako jedni z pierwszych wysłaliśmy do Haile Selasie telegram gratulacyjny z okazji odzyskania przez Abisynię niepodległości. Jest to bardzo sprytnie posunięcie dyplomatyczne. Negus był bardzo wzruszony i powiedział „dziękuję“.

Bramcote, 13 maja 1941 r.

W nocy z soboty na niedzielę zaszedł w Szkocji ciekawy wypadek. Około godziny 11 wieczorem pewien farmer spod Glasgow usłyszał tuż nad domem warkot samolotowego silnika, a w chwilę później okropny trzask i wybuch. Gdy wybiegł na dwór, zobaczył na pobliskiej łące jakiś wielki ogień i oświetlonego nim... spadochroniarza! Farmer cofnął się do domu i z braku innej broni złapał widły, aby nimi przyjąć gościa.

Niedaleko płonącego Messerschmitta leżał niemiecki lotnik. Według słów Szkota Niemiec począł mu dawać jakieś znaki i uśmiechać się do niego. Gdy farmer nadstawiając widły podszedł bliżej, Niemiec przemówił do niego bardzo dobrą angielszczyzną. Ruszać się nie mógł, gdyż miał złamaną nogę. Poczciwy Szkot odstawił widły, wziął Niemca na plecy i zaniósł na fermę.

Ponieważ było już późno, nie mógł Niemca wziąć do kina. Posadził go natomiast przed kominkiem w wygodnym fotelu, poczęstował herbatą i doskonałymi kanapkami z mięsną pastą. Gdy miał go ułożyć do snu na puchowych materacach małżeńskiego łóżka, nieoczekiwanie przybyła policja i zabrała Niemca do szpitala w Glasgow.

I tu nastąpiła sensacja: Niemiec, który zrazu powiedział, że nazywa się Horn, przyznał się, że jest Rudolfem Hessem!

Rano przyleciał samolotem z Londynu wyższy urzędnik angielskiego MSZ i rzeczywiście rozpoznał w spadochroniarzu ideowego przywódcę nazistów i zastępcę Hitlera!

Cała prasa przepełniona jest hessowską aferą. A oto ciekawsze wyjątki:

„Jest to jeden z tych nieobliczalnych wypadków, które mogą zaważyć na szalach wojny“.

„...ta niesamowita ucieczka doskonale nadaje się do potwornego obrazu tego niewiarygodnego, ohydnego melodramatu, tych drugorzędnych scenicznych efektów potworności, w które wtrącił świat Hitler“...

„...ucieczka Hessa jest tak potężnym uderzeniem w prestiż Hitlera, iż prawie niweczy znaczenie sukcesów na Bałkanach“...

„Dla Niemców... świadomość, że Rudolf Hess przestał wierzyć w Hitlera i w zwycięstwo, równa się katastrofie największej miary“...

„Wiele przemawia za tym, że Hess uciekł przed katastrofą Niemiec“...

„Najgenialniejszy dowódca brytyjski, dysponujący najpotężniejszymi siłami, ani najwybitniejszy mąż stanu, dysponujący najdonioślejszymi argumentami, nie potrafili zadać Rzeszy takiej klęski, jak to zdołał jeden jedyny Messerschmitt Hessa“...

„Rudolf Hess musi ponosić ogromną część odpowiedzialności za każde zburzone ognisko domowe

w Europie, począwszy od Warszawy aż po Plymouth... Jest to hitlerowiec i to jeden z najgorszych. Jest on nie tylko gangsterem, jest on jeszcze zdrajcą. Jeżeli zaś jest zdrajcą, nie znaczy wcale, aby morderca przestał być gangsterem“...

„Minister Bevin nazwał Hessa mordercą. Ma rację. Jedynie głupcy starają się zrobić z Hessa niemal świętego, którego niebo zesłało Anglikom. Jest on wielką rybą hitlerowską i jednym z najpotężniejszych w całej bandzie“...

„Hess jest człowiekiem, z którym nigdy bym nie rokował, a zdania tego nie zmienię, nawet gdyby tego wymagały względy dyplomatyczne. Dla mnie hitleryzm jest hitleryzmem. Nie wierzę, aby Hitler miał nie wiedzieć, że ten Hess wybierał się do Anglii. Mam od wielu lat doświadczenie z tymi panami totalistami. Uważam, że są bardzo podobni do zbójów“ (Minister Pracy E. Bevin).

Ja osobiście, nie wyrobiłem sobie jeszcze o tym wszystkim zdania. Żałuję tylko bardzo, że to nie ja byłem farmerem spod Glasgow. Dałbym mu pasty...

Bramcote, 17 maja 1941 r.

Najbardziej obecnie przeludnione miejsca w Anglii to małe, na uboczu położone miasteczka. Ludność ich zwiększyła się ostatnio prawie dwukrotnie, bowiem przyjęły w gościnę tysiące mieszkańców ewakuowanych z ośrodków wielkiego przemysłu.

Nuneaton, na którego peryferiach leży nasze lotnisko, to właśnie jedno z takich przeludnionych, maleńkich miasteczek. Mimo że ani pod względem wojskowym, ani przemysłowym, ani jakimkolwiek innym nie przedstawia specjalnej wartości, miasteczko to jest wprost bezcenne. Bezcenne dlatego, że jest to miasteczko dzieci. Większość jego mieszkańców to właśnie dzieci, ewakuowane z Coventry, z Birmingham i z Li-

verpool. Tysiące małych, większych i zupełnie maleńkich obywateli — oto publiczność, jaką się przeważnie widuje w parkach, w ogrodach i na ulicach. Rodzice ich, robotnicy, pozostali na niebezpiecznych posterunkach pracy, a skarby swoje wysłali pod opieką dziadków, babek i ciotek do małego, spokojnego miasteczka.

Nie było tu co prawda żadnych solidnych schronów, nie było zmasowanej artylerii ani zaporowych balonów, ale mimo to zupełnie bezbronne miasteczko czuło się bezpieczne. „Przecież najlepszą naszą obroną — mówili sobie radni miasta — jest bez wątpienia sama obecność tysięcy maleńkich mieszkańców.“

Dzisiaj, około 1 godziny w nocy, obudziły nas potężne wybuchy bomb. Byliśmy pewni, że to nasze lotnisko odkryto i że to my tym razem jesteśmy celem bombardowania.

Zimowe płaszcze, hełmy, maski gazowe — i w kilka chwil wybiegliśmy z kwater. Jednak nie było potrzeby schodzić do schronów. W milczeniu wpatrywaliśmy się w straszliwy widok. W jaskrawym oświetleniu magnezjowych bomb cały spowity w kłęby czarnego dymu — palił się mały Nuneaton...

Dwie godziny trwało okropne widowisko. Niemcy latali nisko i celnie rzucali bomby. Celnie, to znaczy w samo śródmieście. To nie była pomyłka z Coventry! Nad Coventry, bojąc się balonów, lataliby ponad ich pułapem! Nie, oni wiedzieli! Tak jak załoga podwodnego okrętu wiedziała, że na pokładzie „City of Benares“ znajdują się same dzieci, tak i załogi bombowców lecące spalić miasteczko wiedziały, że nie ma tam fabryk, że nie ma tam wojska, wiedziały, że lecą mordować cywilną ludność, tę najbiedniejszą, bezdomną i głodną, wiedziały, że lecą zabijać dzieci.

Podobno zginęło trzysta osób. Ile w tym dzieci — nie chciałem pytać.

A oto dzisiejszy komunikat Air Ministry:

„W ciągu ubiegłej nocy nieprzyjaciół zrzucił bomby w kilku miejscowościach środkowej Anglii. Są pewne ofiary w ludziach“.

Bramcote, 21 maja 1941 r.

„Polacy atakują“ — taką wiadomość podał dzisiejszy „The Daily Telegraph“.

Jesteśmy podnieceni. Polski temperament zaczyna ponosić polskich żołnierzy. Szaleńcze, nieprzytomne wyczyny, graniczące wprost z samobójstwem — leżą w naszym charakterze. Jako przykład takiego całkowitego, bez reszty oddania się sprawie może służyć kapral Antoni Bakalarz. On to właśnie, bez rozkazu, na ochotnika, rzucił się na linię Elizabety! Dzięki czynnikowi zaskoczenia, atak powiodłoby się niewątpliwie. Już, już, w najczulszym i jednocześnie najważniejszym odcinku linii, zatknięty by został symbol polskiej odwagi i determinacji, gdyby... gdyby pięćdziesięcioletnia Miss Elizabeta nie narobiła piekielnego wrzasku!

Na pewno teraz poniewczasie żałuje, ale, na razie przynajmniej, przepadło wszystko, bo kaprala Bakalarza zamknięto na sześć miesięcy do aresztu.

Niemcy również atakują! Wczoraj o świcie zaatakowali z powietrza Kretę, siedzibę króla i rządu greckiego. Po dłuższym bombardowaniu lotniczym zrzucili z samolotów i z szybowców kilka tysięcy spadochroniarzy. Walka trwa.

Bramcote, 25 maja 1941 r.

Gdzieś na wodach Grenlandii potężna eskadra angielska spotkała się z eskadrą niemiecką. Anglików prowadził nadpancernik „Hood“, Niemców — pancernik „Bismarck“.

Bitwa nie trwała długo i skończyła się klęską... Anglików! Po trzeciej salwie „Bismarcka“ „Hood“ wyleciał w powietrze, trafiony w komorę amunicyjną!

HMS „Hood“ spuszczoney był na wodę w 1920 roku,

kosztował sześć milionów funtów, miał najpotężniejsze uzbrojenie i chroniły go płyty pancerne, miejscami pół metra grube. Z załogi tego okrętu, liczącej 1341 marynarzy, uratowało się tylko trzech.

Bramcote, 27 maja 1941 r.

Zatopienie „Hooda“ nie było, jak się obecnie okazało, ostatnią fazą bitwy. Ostatnią fazą było zdarzenie zupełnie nieoczekiwane, a mianowicie, zatopienie... „Bismarcka“!!!

Tak! „Bismarck“, sześciomiesięczny szczeniak, najpotężniejszy niemiecki pancernik, pogromca dwudziestoletniego staruszka „Hooda“, którego posłał na dno oceanu, sam dzisiaj leży jak zdechły pies u wejścia do Kanału! Z jego załogi, liczącej przeszło 2000 marynarzy, w tym „kwiat“ przyszłych piratów — 500 kadetów szkoły morskiej, wyłowiono z morza 83. (O osiemdziesięciu trzech za dużo!).

Przebieg bitwy był następujący:

21 maja, godzina 15

Angielskie samoloty wywiadowcze ustaliły, że w jednym z fiordów w pobliżu Bergen znajdują się dwa niemieckie okręty wojenne: pancernik „Bismarck“ i krążownik „Prince Eugen“.

Niezwłocznie wysłano wyprawę Whitleyów i Hudsonów, lecz samoloty wróciły, nie wykonawszy zadania z powodu złej pogody.

22 maja.

Samolot typu „Glen Martin“ zameldował do dowództwa Home Fleet, że nieprzyjacielskie okręty opuściły norweską kryjówkę i płyną kursem 330.

23 maja, godzina 20

HMS „Norfolk“ rozpoznał nieprzyjaciół płynących tym samym kursem, a więc w kierunku cieśniny Duńskiej, między Islandią a Grenlandią. Do „Norfolka“ dołączył się „Suffolk“ i oba te okręty śledziły stale wrogów, naturalnie z „przyzwoitej“ odległości.

24 maja, godzina 6

Stało się jasne, że „Bismarck“ i jego towarzyszy starają się przedostać przez Atlantyk, aby rozpocząć korsarską działalność przeciw konwojom płynącym z amerykańską pomocą. Należało ich za wszelką cenę zlikwidować. Do roboty tej wyznaczono dwa pancerniki: „Hood“ i „Prince of Wales“, które kilka minut po godzinie 6 nawiązały z Niemcami kontakt ogniowy.

Niestety po krótkiej walce, bo o godzinie 6,30 „Hood“ wyleciał w powietrze trafiony fuksiarską salwą z odległości ponad 13 mil! „Księżę Walii“ też nie wyszedł z tej walki bez szwanku, gdyż dostał kilka granatów i szybkość jego spadła do 27 węzłów. Również i „Bismarck“ został trafiony, gdyż — według meldunku samolotu Sunderland — Niemiec płynie z szybkością nie większą niż 24 węzły i co ważniejsze pozostawia na wodzie obfite ślady paliwa.

Od godziny 6,30 do 18,30 samoloty Sunderland i Catalina (ten ostatni — amerykańskiej produkcji) stale śledzą nieprzyjaciela. O godzinie 18,30 rozpoczął ogień krążownik „Suffolk“, ale „Bismarck“ walki nie przyjął i starał się uciec. Udaje mu się to w stosunku do „Suffolka“, lecz nie może oddalić się od „Księcia Walii“, który choć uszkodzony wytrwale płynie za Niemcami aż do północy.

Samolot Swordfish, z lotniskowca „Victorius“, wyrzuca torpedę, która trafia „Bismarcka“ i obniża jego szybkość do 20 węzłów. Po stwierdzeniu tej okoliczności dowódca Home Fleet melduje Admiralicji, że postanowił zaatakować „Bismarcka“ o godzinie 9 rano. Pancernik „King George V“ wraz z kilkoma krążownikami i destroyerami szykują się do walki z ciężko rannym, ale posiadającym pełne uzbrojenie „Bismarckiem“.

25 maja, godzina 3

Pogoda zepsuła się. Widzialność nie większa niż 5 mil. Kontakt został stracony i przez cały dzień nie

widziano już nieprzyjacielskich okrętów. Trwają gorączkowe poszukiwania.

26 maja godzina 10,35

Znaleziono zbiega. Odkrył go samolot Catalina i podał w radiogramie jego współrzędne. Poza tym doniósł, że „Bismarck“ jest sam. „Prince Eugen“ — znikł.

Po nadaniu depezy, która przypieczętowała los „Bismarcka“, Catalina wali się do morza, trafiona niemieckim granatem.

Dowódca Home Fleet na swoim okręcie flagowym — pancerniku „King George V“, znajdował się w tym czasie o 120 mil na zachód. Po otrzymaniu wiadomości z Cataliny wziął kurs na plac boju i z szybkością 26 węzłów począł się zbliżać do „Bismarcka“. Jednocześnie okręty „Renown“, „Sheffield“ i lotniskowiec „Ark Royal“ — okrążyły „Bismarcka“ od wschodu.

26 maja, godzina 19

Samolot Swordfish atakuje Niemca po raz drugi. Trafiają go dwie torpedy. „Bismarck“ ma uszkodzone stery i zaczyna płynąć zygzakami.

26 maja, godzina 22,15

Home Fleet spotyka się z okrętami płynącymi od wschodu. Wysłano destroyery dla nawiązania kontaktu z nieprzyjacielem.

26 maja, godzina 22,30

Pierwszy spostrzegł „Bismarcka“ i ostrzelał go (!) polski kontrtorpedowiec „Piorun“.

26 maja, godzina 23

Destroyery meldują, że „Bismarck“ ledwo się rusza. Dowódca Home Fleet przygotowuje atak ze świątem.

27 maja, godzina 1,40

Destroyery „Cossah“ i „Maori“ wypuszczają torpedy. Na „Bismarcku“ wybucha pożar.

27 maja, godzina 7,10

Z powodu złej pogody odłożono atak. „Bismarck“ płynie na północ okrążony przez destroyery.

27 maja, godzina 10,00

Ostatni akt. „King George V“ i „Rodney“ rozpoczynają ogień. „Bismarck“ przestaje strzelać. HMS „Dorsetshire“ wypuszcza na „Bismarcka“ dwie torpedy. Po jednej z każdej strony.

27 maja, godzina 11,07

Zamiast „Bismarcka“ płyną na falach puste beczki po buraczanej marmoladzie.

Te, Hitler! Masz „Bismarcka“? Gówno masz, nie „Bismarcka“.

Bramcote, 5 czerwca 1941 r.

Kreta po dwunastu dniach obrony padła. Według komunikatów angielskich około 15.000 żołnierzy brytyjskich i greckich zdołano, jak zawsze wspaniale, ewakuować do Egiptu. Reszta, pewno drugie tyle, a może więcej — zginęło lub dostało się do niewoli.

Straty, jakie ponieśli Niemcy, są ogromne. Zginęło nie mniej niż 10.000 wyborowych żołnierzy. Wyborowych, albowiem spadochroniarze i piechota powietrzna, a oni tylko walczyli na wyspie, to niewątpliwie najwartościowsze i niezbyt liczne oddziały. Straty w materiale, jakie ponieśli Niemcy, są również bardzo ciężkie.

Zniszczono im przeszło 600 samolotów, a 2.000 lotników poniosło śmierć.

Niestety Anglicy prócz klęski moralnej, jaką jest świadomość porażki poniesionej od nieprzyjaciela pozabawionego czołgów, a nawet artylerii, ponieśli również duże straty w marynarce wojennej. Okręty, które z powodzeniem broniły brzegów wyspy przed desantami morskimi, pozabawione były ochrony własnego lotnictwa. Niemcy, nie obawiając się Spitfire'ów i Hurricane'ów, przeprowadzili masowe ataki powietrzne na liczne okręty zmasowane na stosunkowo niedużej przestrzeni. W rezultacie osiem jednostek poszło na dno,

a kilkanaście uszkodzono tak ciężko, że musiały wycofać się z walki.

Możliwe nawet, że cała bitwa o Kretę była tylko w tym celu przez Niemców zorganizowana, aby wciągnąć w swego rodzaju pułapkę angielską flotę. Jeżeli tak jest naprawdę, to podstęp się udał. Śródziemnomorska flota została tak bardzo osłabiona, że nie zdołała nawet przeszkodzić Niemcom w wysłaniu konwojów z wojskiem i sprzętem do Syrii, następnego, jak się wydaje, punktu programu.

W syryjskim porcie Lataki, na północ od Bejrutu, wyładowała się niemiecka dywizja pancerna już na trzeci dzień po upadku Krety!

Jeżeli Francuzi dadzą Niemcom czołgi, benzynę i żarcie, no to...

Bramcote, 13 czerwiec 1941 r.

W ubiegłym tygodniu zginęło w powietrzu czterestu polskich lotników. Między nimi major Gawlikowski i kapitan Stefanicki.

Bramcote, 20 czerwca 1941 r.

Ofensywa lotnicza na zachodnie Niemcy, w której co noc biorą udział wszystkie polskie dywizjony bombowe, trwa już od ośmiu dni. Straty nasze są stosunkowo większe niż naszych aliantów. Nic dziwnego zresztą. Lot na Bremę czy inne północne porty Rzeszy, trwa około sześciu godzin. Zaczyna się przed nocą i kończy się za dnia. Obecnie noce w północnych Niemczech są bardzo widne i trwają nie dłużej niż cztery godziny. Stare, wolne Wellingtony, na tle rozświetlonego północną zorzą nieba i na tle palących się miast — stają się łatwym łupem myśliwców. Według słów uczestników samobójczych raidów, Wellington, obciążony bombami, na pułapie, to jest na 17.000 stóp, nie osiąga większej szybkości niż 100 mil na godzinę i wi-

doczny jest dla nieprzyjacielskich myśliwców już z odległości 2 kilometrów.

Nowoczesne samoloty bombowe, na których przeważnie latają nasi alianci, są dwa razy szybsze, dwa razy silniej uzbrojone i mając wyższy pułap — są dla Messerschmittów prawie niedostępne.

Załogi, które co kilka dni opuszczają naszą stację udając się do dywizjonów bojowych jako uzupełnienie strat — wyjeżdżają ochotnie i odważnie, ale można już zauważyć pewne oziębienie dawnego zapału. Chłopcy chcą latać, chcą walczyć, chcą ze wszystkich sił przyczynić się do zwycięstwa, ale... ale nie chcą z rozmysłem popełniać samobójstwa.

Na wojnie żołnierze muszą ginąć, na to nie ma rady, ale nasze, tak nieproporcjonalne straty, o ile trwać będą nadal, mogą mieć następstwa znacznie poważniejsze. Nie wróci samolot angielski! Kto o tym wie? Tylko ściśle grono jednego z tysiąca alianckich dywizjonów, nikt więcej. Nie wróci samolot polski! Kto o tym wie? Wszyscy! Wszystkie nasze dywizjony, wszystkie oddziały, wszystkie polskie stacje!

Kto z lotników angielskich zna Anglika, który zginął? Kilku czy kilkunastu jego kolegów. Kto zna lotnika polskiego, który nie powrócił? Całe lotnictwo polskie! I to jest właśnie przyczyną, że małe, a tak bezcenne polskie kadry lotnicze w tych warunkach mogą wykończyć się psychicznie.

Wczoraj nie wrócili z lotu bojowego nad Niemcy trzy polskie Wellingtony — osiemnastu...

Między innymi, nie wrócił również podporucznik-nawigator Kazimierz Bernas. Poznałem go dopiero w Anglii i zaprzyjaźniliśmy się serdecznie. Pamiętam, jak kilka dni temu, gdy rozmawialiśmy o lotach bojowych, których już kilka odbył, zwierzył mi się z pewnego kłopotu:

— Jak pewno wiesz, mam dosyć bujną wyobraź-

nię, ale jednej sytuacji nie mogę sobie ani rusz wyobrazić! Nie wyobrażam sobie mianowicie momentu lądowania na spadochronie, gdy mnie zestrzela nad celem! No pomyśl, Brema czy Kolonia pali się jak cholera, niebo czerwone od pożarów, szwaby ryczą wniebogłosy, naokoło pełno trupów i... i ja właśnie, jeden ze sprawców tego wszystkiego, zjawiam się ni stąd, ni zowąd! Jak mam się zachować, jaką minę zrobić, co powiedzieć? Jak Boga kocham — nie wiem!

Ponieważ mnie również nie zbywa na wyobraźni, poradziłem mu dowcipnie, aby się z lekka uśmiechnął, dygnął, zdjął czapkę i powiedział „guten morgen“.

Przyrzekł, biedak, że tak robi i śmiejąc się serdecznie zademonstrował — jak.

No, Kazik — było tak! Było na pewno, z tą tylko różnicą, że nie mówiłeś „guten morgen“, lecz „bon jour“, bo lądowałeś we Francji! Prawda, Kazik?

Bramcote, 27 czerwca 1941 r.

Finlandia i Węgry znajdują się od dzisiaj w stanie wojny z Rosją. Rozeszła się pogłoska, że Szwecja zgodziła się na przemarsz wojsk niemieckich przez swoje terytorium. Japonia ma zamiar przystąpić do wojny.

Oto bukietek dzisiejszych wiadomości. Są złe, niewątpliwie, ale można byłoby jakoś wytrzymać, gdyby nie inna wiadomość, którą około północy podało radio niemieckie. Wiadomość straszliwą, wiadomość mroząca krew w żyłach, wiadomość, która nappełniła nasze serca przeraźliwym lękiem. Otóż, ni mniej, ni więcej, tylko Dania zerwała stosunki z Sowietami! Tak, to już koniec! D a n i a!

Bramcote, 30 czerwca 1941 r.

Na razie pomoc angielska dla Rosji wyraża się tylko w znacznie wzmocnionym tempie ofensywy po-

wietrznej. Co noc setki samolotów bombardują zagłębia Rhury i Nadrenii, Hamburg, Bremę i Kilonię.

Całe polskie lotnictwo bierze udział w tych nalotach na Niemcy. Niestety, straty nasze są nadal dotkliwe. W ostatnich dniach pięć myśliwców i czterech lotników załogi bombowca. Jeden z dwóch uratowanych, porucznik Idzikowski, opowiedział mi szczegóły tragicznego lotu: Wystartowali z zadaniem na Bremę. Do celu dolecieli bez przygód i po wyrzuceniu bomb wzięli kierunek powrotny. Jednakże w połowie drogi nad morzem (była godzina 2 w nocy) zaczęły się psuć silniki. Jeden wkrótce stanął, a drugi tak bardzo zdał obroty, że dalszy lot był niemożliwy. Szczęście, że w tym momencie byli na dużej wysokości, mieli więc nadzieję, że zdołają dociągnąć do lądu.

I rzeczywiście, w pewnej chwili usłyszeli meldunek przedniego strzelca: „ląd“. Komendant, major-pilot Kielich, wydał rozkaz opuszczenia samolotu. Przedni strzelec skoczył natychmiast i, jak się później okazało, szczęśliwie wylądował na brzegu. Niestety, pozostali członkowie załogi chcąc zabrać cenniejszy sprzęt stracili kilka chwil, podczas których samolot prowadzony przez drugiego pilota, sierżanta Januszkiewicza, zawrócił o 180 stopni. Przyczyna nie została wyjaśniona. Możliwe, że postrzelane stery odmówiły posłuszeństwa, możliwe, że zdenerwowany pilot uczynił to bezwiednie, dość że samolot oddalił się od lądu. Pozostała część załogi, nieświadoma tego faktu, wyskoczyła w morze, w odległości 4 mil od brzegu. Porucznik Idzikowski zanurzył się podczas upadku około 3 metry pod wodę. Gdy wypłynął na powierzchnię, usłyszał trzask samolotu walącego się do morza. Po chwili doszły go wołania drugiego strzelca, lecz nie mógł się z nim porozumieć ze względu na dużą odległość.

Położenie porucznika było prawie beznadziejne, a grozę powiększał fakt, że zapomniał wziąć ze sobą butelkę ze zgęszczonym powietrzem, służącą do napeł-

niania gumowej kamizelki. Ile mógł, nappełnił ją dmuchając, lecz niewiele to pomogło. Rozebrał się i zaczął płynąć w stronę reflektorów, które z brzegu oświetlały fale, starając się ich znaleźć. Odległość jednak była zbyt duża i promień światła reflektora, mimo że oświetlił porucznika, nie zatrzymał się na nim. Był odpływ, porucznik coraz bardziej tracił siły i nie mógł płynąć pod falę.

Upłynęła godzina... druga... Już nadszedł moment, że chciał napić się, biedak, wody, gdyż stracił zupełnie nadzieję. Kostniał z zimna, tracił przytomność z wysiłku...

Naraz zobaczył w mroku jakiś ciemny kształt! Była to łódź ratownicza. Zaczął krzyczeć, machać rękami i... o Boże, usłyszał odpowiedź!

Dziób czarnego lift-bootu zwrócił się w jego kierunku.

Flotylla łodzi, która wypłynęła na ratunek pozostawionej załogi, nie znalazła już nikogo. Zginęli obaj piloci, radiotelegrafista i strzelec ogonowy.

Na drugi dzień znaleziono zwłoki majora Kielicha, wyrzucone na mieliznę przez fale. Pogrzeb odbył się 28 czerwca na cmentarzu miasteczka Syerston.

Bramcote, 1 lipca 1941 r.

Z lotu bojowego nad Bremę nie powróciły do bazy dwa polskie Wellingtony. Dwunastu...

Załoga trzeciego skakała do morza w odległości 70 mil od brzegu, lecz wypadek widział inny samolot i nadał S. O. S. Zaalarmowane lift-booty uratowały wszystkich.

Bramcote, 6 lipca 1941 r.

Nie powróciły z lotu bojowego dwa polskie Wellingtony. Dwunastu...

Znów nasze nocne loty zwabiły Niemców. Zrzucili wczoraj na nasze lotnisko pięć bomb. Strat nie było.

Bramcote, 14 lipca 1941 r.

Nie powrócił z lotu bojowego jeden polski Wellington. Sześciu...

Bramcote, 22 lipca 1941 r.

Wellington wracał z zadania bojowego znad Hamburga. Minął Holandię, minął Kanał i znalazł się już nad ziemią angielską. Zaczynało świtać, gdy samolot podchodził do swego lotniska. Zapalił światła i za chwilę miał nadać sygnały z prośbą o pozwolenie lądowania...

Krótką, celna seria z działek niemieckiego myśliwca i — lądujący Wellington stanął w płomieniach.

Zginęli: porucznik Klatt, porucznik Kuzian i czterech sierżantów.

Jeden z naszych dywizjonów bombowych po kilkumiesięcznym postoju przenosił się na inne lotnisko. Ostatnią czynnością przeprowadzki była zbiórka dywizjonu na małym cmentarzyku pobliskiego miasteczka. Ostatnie pożegnanie z kolegami, którzy tutaj właśnie obrali sobie ostatnie już „miejsce postoju“.

Właściwie to nie była żadna uroczystość. Ot, przyniesiono dużo polnych kwiatów i ozdobiono nimi pięćdziesiąt dwa skromne, białe krzyżyki. To wszystko.

Bramcote, 28 lipca 1941 r.

Nie powróciły z lotu bojowego dwie polskie załogi: kapitanowie — Rzepa, Karczewski; porucznicy — Srzednicki, Jakimowicz, Musiał; sierżanci — Witkowski, Zubała, Halamun, Słoma, Horak, Danielewicz, Zemmler.

Kilka dni temu zanotowałem w pamiętniku, że na skutek ponoszenia strat, daje się odczuć pewne oziębienie

nie zapału i że lada chwila możemy się wykończyć psychicznie.

Myśle, że było to spostrzeżenie nie odpowiadające prawdzie i że to raczej głęboko odczuta śmierć przyjaciela odebrała mi równowagę ducha. Obecnie pełnię również funkcję adiutanta i rady sobie dać nie mogę z setkami próśb żołnierzy z personelu ziemnego o przeniesienie ich do personelu latającego. Nie tylko proszą, ale i szantażują mnie wszystkimi sposobami. Płaczą przy raporcie (naprawdę płaczą!), grożą, że nie przeżyją odmowy, że muszą wziąć czynny udział w walce, że będzie im wstyd, gdy wrócą do Kraju, że ja nie mam prawa im odmawiać, że jeżeli nie, to się ożenią bez pozwolenia, że „może... pan kapitan... nie ma zapalniczki... bo ja tu... właśnie... przyniosłem jedną“.

Tak, moje poprzednie spostrzeżenie było najzupełniej fałszywe. Na skutek ostatniego rozkazu, zezwalającego ponownie na zgłaszanie próśb — złożyło je co najmniej siedemdziesiąt procent żołnierzy, to jest pełne sto procent zdolnych do tej służby. Rekord niezwykły.

Bramcote, 31 lipca 1941 r.

Wczoraj o godzinie 16,30 w gmachu Foreign Office podpisany został układ między Polską a Związkiem Sowieckim. Mocą tego układu zostaną nawiązane ponownie stosunki dyplomatyczne, oba rządy zobowiązują się wzajemnie do udzielania sobie wszelkiego rodzaju pomocy i poparcia w wojnie przeciwko hitlerowskiemu Niemcom oraz rząd ZSRR wyraża zgodę na utworzenie na terytorium radzieckim — armii polskiej.

Bramcote, 7 sierpnia 1941 r.

Z lotów bojowych na Akwizgran, Karlsruhe, Mannheim i Frankfurt nad Menem — nie powróciły dwa polskie Wellingtony. Dwunastu...

Bramcote, 25 sierpnia 1941 r.

Wojska angielskie, hinduskie i indyjskie od strony Iraku, a sowieckie od Kaukazu — wkroczyły na terytorium Persji.

Jak bardzo ludzie się zmieniają. Nie poznaję najlepszych przyjaciół i starych kolegów. W jednostkach bojowych z pewnością jest inaczej, ale w oddziałach tyłowych, w szkołach, w urzędach i garnizonach — życie staje się zupełnie niemożliwe. Ogólna nieufność, sobkostwo, plotkarstwo, egoizm. Próżno prosić kogo o radę, o pomoc, o życzliwość — jeden drugiego przysłowiowo utopiłby w łyżce wody.

Sprawę „powrotu zaufania“ oraz „poprawy stosunków“ między personelem naszego lotnictwa — Inspektorat Polskich Sił Powietrznych powierzył Samodzielnej Placówce Informacyjno-Kontrwywiadowczej. Jednym słowem *z a n d a r m e r i i!*

Bramcote, 5 września 1941 r.

Dzisiaj rano, jak zwykle, wystartowały samoloty na zadania. Jeden z nich, po dwóch godzinach lotu, z powodu tworzącej się mgły lądował w Waddington. Kończąc wybieg, wpadł na grupę samochodów ciężarowych i skręcając gwałtownie uderzył ogonem o ścianę hangaru.

Tylny strzelec, znajdujący się w wieżyczce, kapitan-obszewator Marian Sukniewicz, jeden z najstarszych oficerów 1 Pułku Lotniczego i jeden z najbardziej lubianych przez nas wszystkich kolegów — doznał tak ciężkich obrażeń, że zmarł w kilka chwil po wypadku. Pogrzeb odbędzie się na naszym cmentarzu. Reszta załogi wyszła bez szwanku.

Bramcote, 17 września 1941 r.

Minął rok od chwili przybycia polskiego lotnictwa do Anglii. Rok, podczas którego nasze nieliczne dywiz-

jony walczyły bez przerwy. Straty są duże, ale wkład wniesiony we wspólną sprawę jest nie mniejszy i musi kiedyś zaważyć decydująco na szali rozrachunków.

Lotnictwo myśliwskie do dnia 8 września zestrze- liło lub uszkodziło 488 samolotów niemieckich. Jest to dwadzieścia procent ogólnej liczby zniszczonych ma- szyn niemieckich. Anglicy zdają sobie z tego sprawę i (w rozmowach prywatnych) przyznają, że gdyby nie te dwadzieścia procent, to nie wiadomo, a właściwie wiadomo, jaki byłby rezultat „Battle of Britain“.

Lotnictwo bombowe w tym okresie brało udział w 228 wyprawach, wysyłając nad Niemcy i nad okupo- wane przez nich terytoria 1033 samoloty.

228 wypraw to dziesięć procent ogólnej liczby raidów na Niemcy!

Bramcote, 30 września 1941 r.

Wczoraj, około godziny 22, na naszym pomocni- czym lotnisku w B. miał miejsce wypadek, który po- ciągnął za sobą śmierć pięciu polskich i dwóch angiels- kich lotników.

Samolot wracał z przelotu. Lądując uderzył silnie kołami o ziemię i wskutek tego wyskoczył w powietrze tracąc szybkość. Pilot dodał gazu, lecz już było za póź- no: maszyna zwała się na ziemię i nastąpił wybuch zbiorników.

Zginęli w płomieniach: porucznik Z. Stępień, po- rucznik J. Jozepajt, sierżant pchor. S. Cupryk, sierżant J. Księżyc, sierżant T. Astramowicz i dwóch sierżantów angielskich: Heatcher i Fisher.

Uratował się tylko plutonowy Z. — strzelec ogo- nowy.

Bramcote, 4 października 1941 r.

Dzisiaj, w biały dzień, podczas dobrej pogody i w czasie zwykłego lotu — zderzyły się w powietrzu dwa Ansony. Jeden z nich lądował na pobliskiej łące,

a drugi, z oderwanym statecznikiem, zwałił się pionowo z 500 stóp na ziemię. Zginęli: kapitan Miarczyński i trzech sierżantów angielskich.

Bramcote, 28 października 1941 r.

Nie powróciły z lotu bojowego trzy polskie Wellingtony: sześciu oficerów i dwunastu sierżantów.

Zginął w wypadku lotniczym kapitan Antonowicz, dowódca 307 Dywizjonu Myśliwskiego.

I u nas nie skończyła się nieszczęsna seria. Przedwczoraj około północy, podczas ćwiczebnego lotu, spalił się Wellington wraz z całą załogą. Zginęli: podporucznik Smolik, sierżanci: Laskos, Teodorko i Łydka.

Bramcote, 8 listopada 1941 r.

W nocy z 7 na 8 przeprowadzony został największy z dotychczasowych nalotów bombowych na Niemcy. Główne cele: Berlin, Kolonia i Monachium.

Nie powróciło do baz pięć polskich Wellingtonów: jedenastu oficerów i dwudziestu sierżantów...

Bramcote, 26 listopada 1941 r.

Dzisiaj, zderzając się w powietrzu, zginęli nad lotniskiem w Newton: podporucznik Dubas, sierżant Waśkowiak i sierżant Mońka.

Blackpool, 8 grudnia 1941 r.

Zostałem czasowo przeniesiony do bazy w Blackpool.

Sytuacja na Pacyfiku zaczęła się w tych dniach wyjaśniać i naprężone stosunki amerykańsko-japońskie — uspokajać. Do Waszyngtonu przyjechała japońska misja, celem omówienia warunków utrzymania pokoju, a prezydent Roosevelt wysłał do cesarza Japonii osobisty apel i czekał na miłą odpowiedź...

Długo nie czekał. Mikado — najglówniejsza żółta małpa, nie tyle syn słońca, ale zwyczajny s... syn — napadł na amerykańskie bazy w Manilii, na Filipinach i w Honolulu na wyspach Hawajskich. Wypowiedział również wojnę Anglii napadając, naturalnie przed jej wypowiedzeniem, na brytyjską bazę na Malajach — Singapur i na port w Hong-Kongu.

W tej nowej opresji ani Ameryka, ani Wielka Brytania osamotnione nie będą: my też wypowiedzieliśmy wojnę Japonii.

— Najjaśniejszy Panie! — poseł innego Najjaśniejszego Pana zgiął się wpół i machnął zamasyście kapeluszem z pawim piórkiem. — Mój Najjaśniejszy Pan kazał zawiadomić Najjaśniejszego Pana, że od dzisiaj za dwa tygodnie będziemy w stanie wojny.

— Aaaa! proszę bardzo — odpowiedział Najjaśniejszy Pan. — Napijiesz się, poseł, miodu?

— Owszem, napiję się, dlaczego nie?

Tak się zapewne odbywało wypowiedzenie wojny sto czy ileś tam lat temu.

Ambasador niemiecki hrabia Mirbach, ubrany w cylinder i w białe rękawiczki glacie, przybył na audiencję u ministra spraw zagranicznych Imperium Rosyjskiego, pana Sazonowa: — Dzień dobry.

— Dzień dobry.

— Zawiadamiam, że z chwilą obecną państwa nasze znajdują się w stanie wojny. Do widzenia.

— Do widzenia.

Tak odbyło się wypowiedzenie wojny dwadzieścia siedem lat temu.

Trzy lata temu Niemcy napadły na Polskę już bez wypowiedzenia wojny, jednakże, trzeba im to lojalnie przyznać, po dłuższym okresie gróźb i szantaży.

Dzisiaj japońska Izba Panów (różnych widywałem panów!) pod przewodnictwem jeszcze jednego Najjaśniejszego Pana, poleciła wysłać do Waszyngtonu specjalną pokojową misję, a w dwa dni później, gdy Amerykanie szykowali się do uroczystego powitania owej misji — kazała tysiące ich wymordować.

Gdy obecna wojna się skończy — zacznie się następna. To jest tylko kwestia czasu. Od tysięcy lat, prawie bez przerwy, ludzie wybijają się nawzajem, więc niby dlaczego mają przestać? Kultura? Cywilizacja? — wojny są coraz krwawsze, coraz' dziksze, coraz ohydniejsze. A więc jak się zacznie przyszła wojna? Mogę się założyć, że tak:

Godzina 12 minut 27. Podpisano właśnie uroczysty akt wieczystej przyjaźni...

Godzina 12 minut 27. Dwie armady powietrzne złożone z tysięcy bombowców, mijają się w powietrzu: wieczyści przyjaciele lecą postawić pod traktatami kropki.

A jak się zakończy przyszła wojna? Mogę się założyć, że... podpisaniem uroczystego aktu wieczystej przyjaźni.

Do historii przeszło powiedzenie Goebelsa: „Gdy słyszę słowo «kultura», sięgam po rewolwer“.

Do historii powinno przejść i moje powiedzenie: „Gdy słyszę słowo «polityka» — chce mi się rzygać“.

Blackpool, 9 grudnia 1941 r.

Wojnę Japonii wypowiedziały: Kanada, Holandia, Australia, Nowa Zelandia, Wolni Francuzi, afrykańskie kolonie belgijskie oraz południowe republiki amerykańskie — Nicaragua, Honduras, Paragway, Salvador, Dominica i Costa Rica.

Wojnę Rumunii, Węgrom i Finlandii wypowiedzia-
ła Australia i Indie.

Wojnę Włochom i Niemcom wypowiedziały Chiny.

Blackpool, 10 grudnia 1941 r.

Atak japoński na bazy marynarki amerykańskiej wyrządził jej ogromne szkody. Według dotychczasowych obliczeń Ameryka straciła w jednym dniu więcej okrętów niż Wielka Brytania w przeciągu dwu i pół lat wojny.

Wielką, nie do powetowania stratę poniosła również Royal Navy. Zatonęły, trafione kilkakrotnie japońskimi torpedami, dwa wielkie okręty liniowe: „Prince of Wales“ i „Repulse“.

„Prince of Wales“, najnowszy, potężny pancernik klasy „King George V“, wypłynął na morze dopiero w kwietniu tego roku. Wyporność jego wynosiła 35 000 ton, a same płyty pancerne ważyły 14 000 ton!

Drugi pancernik, „Repulse“, zbudowany był w 1916 roku, lecz po przeróbkach był również potężną jednostką bojową.

Stratę tych okrętów nazywają Anglicy klęską, a sytuację obecną porównują z sytuacją po ewakuacji z Dunkierki.

O nieszczęściach tych dowiedzieliśmy się z dziennika radiowego; bezpośrednio po nim nastąpił koncert orkiestry rozrywkowej. Jako pierwszy numer nadano „Kariokę“.

Blackpool, 12 grudnia 1941 r.

Ameryce wypowiedziały wojnę Niemcy i Włochy. Nie wytrzymała również Kuba i wypowiedziała wojnę Japonii.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej podpisał dzisiaj akt wypowiedzenia wojny Japonii.

Suchy dopytuje się gorączkowo, jak jest po japońsku „kochać“.

Blackpool, 13 grudnia 1941 r.

Fakt zupełnie nie do wiary: nikt nikomu nie wypowiedział dzisiaj wojny! To coś musi znaczyć! Tylko co? Sytuacja staje się interesująca...

Blackpool, 14 grudnia 1941 r.

Znowu to samo. Zaczęli sobie wypowiadać, nie wiem tylko dokładnie kto komu. Zdaje się, że Bułgaria... Australii.

Blackpool, 15 grudnia 1941 r.

Ameryce „coś” wypowiedziało...

Blackpool, 2 marca 1942 r.

Straty statków handlowych spowodowane działalnością niemieckich okrętów podwodnych — są podobno bardzo poważne. Tonaż zatopiony przewyższa jakoby tonaż budowany. Sytuacja może stać się krytyczna.

Ponieważ wiele konwojów zajętych jest wyłącznie transportem żywności, która mogłaby być z łatwością produkowana na wyspie — rozpoczęto propagandę pod hasłem „Dig for Victory” (to dig — kopać) „Kop dla zwycięstwa”.

Kopimy więc wszyscy, przygotowując grządki pod marchewkę, pietruszkę i buraczki.

Suchy też kopie zajadle. Ofiarował mi nawet swoją fotografię, przedstawiającą go podczas tej patriotycznej pracy.

— Fotogeniczny jesteś, Suchutki — powiedziałem dziękując mu za zdjęcie — szczególnie z tyłu. Powinieneś zawsze chodzić tyłem — będziesz miał cholerne powodzenie.

— Głupi jesteś, jeżeli będę chodzić tyłem, to do tych z tyłu będę przecież przodem.

— Nic się nie bój: ci z tyłu, jak cię zobaczą z przodu, to zaraz odwrócą się tyłem...

Przeżywamy tak straszne chwile, że zdawałoby się, iż każdy żart, każdy uśmiech powinien być shocking, powinien być zupełnie nie na miejscu. Jednakże tak nie jest. Nawet poważni, brodaci zapewne, w okularach i zatabaczeni uczeni amerykańscy tak zakpili sobie z Niemców, że śmiejemy się serdecznie, a tym samym z większą ufnością patrzymy w przyszłość.

A było to tak:

Sytuacja na morzu, ze względu na straty ponoszone przez konwoje, była bardzo poważna. Ale bez względu na to, jakie by te straty były — konwoje z żywnością i materiałem wojennym płynąć musiały. Z drugiej strony, masowe torpedowanie statków handlowych również i niemieckim okrętom podwodnym nie uchodziło bezkarnie. Ślad torpedy, która trafiła okręt, pozwalał dość dokładnie umiejscowić pozycję okrętu podwodnego, który w następstwie obrzucany był przez torpedowce bombami głębinowymi i bardzo często na powierzchni oceanu ukazywały się wielkie plamy tłustych smarów świadczące o końcu pirackiej łodzi.

Aż któregoś dnia...

— Panie kapitanie! O, rany! Torpeda z prawej! — wrzasnął majtek z bocianiego gniazda.

Kapitan spojrzał, zobaczył białą smugę zbliżającej się torpedy i sam z kolei wrzasnął:

— Prawo ster na lewą burtę, tylko już! Psiakrew!

Nie wiem, czy to tak brzmią komendy na zaatakowanym statku, ale przypuścmy, że tak.

Statek skręcił gwałtownie i zszedł z kursu zbliżającej się torpedy.

Lecz co to?

— Rany boskie! Torpeda skręciła za nami! Lewo ster na prawą burtę! Prędkiej, do cholery! — ryczał kapitan.

Statek znowu skręcił, lecz... torpeda, jakby żywa i myśląca, ponownie skręciła za statkiem!

Na następne komendy nie było już czasu, a zresztą, nie byłyby potrzebne: torpeda i tak skręciłaby znowu za statkiem!

Największy okręt konwoju, załadowany czołgami, samolotami, jajkami w proszku i gumą do żucia — poszedł na dno, a torpedowce nie wiedziały, gdzie skrył się U-boat...

Otóż okazało się, że Niemcy wymyślili torpedę akustyczną, która, z jakiegokolwiek strony byłaby wyrzucona, zawsze trafi w statek, bowiem kieruje się hałasem powodowanym przez maszyny okrętowe. Oczywiście, że trafia zawsze w okręt, mający najsilniejsze maszyny, a więc przeważnie w największy okręt konwoju!

Zbliżał się tragiczny koniec! Straty wzrosły do sześćdziesięciu procent i myślano już zapewne o kapitulacji, bowiem dalsze prowadzenie wojny bez uzupełniania sprzętu i żywności — było nie do pomyślenia...

Aż któregoś dnia...

— Panie kapitanie! O, rany! Torpeda z prawej! — wrzasnął majtek z bocianiego gniazda.

Kapitan spojrzął, zobaczył białą smugę zbliżającej się torpedy i sam z kolei wrzasnął:

— Nic nie szkodzi! Co dzisiaj na obiad?

Nie, bynajmniej, kapitan nie zwariował — wiedział, że obiad będzie jadł spokojnie, bo oto torpeda, ni stąd, ni zowąd, skręciła z kursu i rozerwała się z okropnym hukiem... 500 metrów za statkiem.

Otóż okazało się, że statek ciągnął za sobą na pięćsetmetrowej lince ostatni wynalazek amerykańskich uczonych. Wynalazek, który robił cholerny... hałas!

No, i jak tu się nie śmiać? Nie da rady!
Prowadzimy wojnę dalej.

Blackpool, 15 marca 1942 r.

Istnieją ludzkie nieszczęścia tak okropne, tak straszliwie ostateczne, a jednocześnie tak niespodziewane, że gdy się staną, nie można w nie uwierzyć, a gdy się uwierzy — nie można ich przeżyć.

Nieszczęścia, jakich by nie wymyśliła nawet najbardziej bujna czy chora wyobraźnia.

Nieszczęście takie spotkało pułkownika-pilota Antoniego Gosiewskiego. Spotkało go właśnie w chwili, gdy myślał, gdy był niemal pewny, że spotyka go największe, jakie mógł sobie tylko wyobrazić — szczęście!

Znałem go dobrze z czasów wspólnej, jeszcze przed wojną, służby w I Pułku Lotniczym. Znałem go tym lepiej, że przez wiele lat mieszkaliśmy w tej samej miejscowości podwarszawskiej — Komorowie.

Był to człowiek kryształowego charakteru. Ubóstwiany przez swoją żonę, panią Jadwigę, i przez dwóch małych synków — sześciolatniego Krzysia i dziesięcioletniego Michała — ubóstwiał ich nawzajem. Ta czwórka była dla siebie wszystkim. Ta czwórka była zaprzeczeniem twierdzenia, że nie ma ideałów, gdyż właśnie była ideałem rodziny.

Po przyjeździe do Wielkiej Brytanii, z powodu przykrości służbowych — najzupełniej nieuzasadnionych — pułkownik nie służył czynnie, lecz w charakterze lotnika cywilnego pełnił funkcję ferry-pilota. Zadaniem jego było odstawianie drogą powietrzną nowych samolotów, po ich fabrycznym oblataniu, do oddziałów bojowych bądź do szkół czy baz zaopatrzeniowych.

Ze przykrości, jakie go spotkały, nie były przez niego zawinione — twierdzą stanowczo, albowiem, pracując jakiś czas w Lotniczej Komendzie Uzupelnień Nr 2 w Blackpool, miałem możliwość dokładnego przestudiowania wszelkich aktów jego sprawy i przekonałem się, że padł ofiarą intryg. Taka jest również powszechna, niezależna opinia.

Na palcach możemy zliczyć szczęśliwców, którym udało się teraz, w czasie wojny, wydostać z Kraju rodzinę. On do nich należał. To jest — prawie należał.

Pani Jadwiga wraz z Michałem i Krzysiem wyjechali z Polski i podróżując przez Włochy i południową Francję — przybyli w pierwszych dniach września ubiegłego roku, do Portugalii, o czym zaraz, radiodepeszą, dali znać pułkownikowi.

Po otrzymaniu tej radosnej wieści, pułkownik o mało nie oszalał ze szczęścia, a gdy w dwa tygodnie później dowiedział się, że okręt z jego skarbem odbił właśnie od brzegów Portugalii — to chyba naprawdę zszokował!

Pokój żony tonął w kwiatach. Pokój synków był pełny zabawek. Pułkownik czekał, podlewał kwiatki, montował elektryczną kolejkę, ustawiał z klocków drapacze chmur i marzył o chwilach powitania.

Tak upłynęło kilka dni. Ostatnich szczęśliwych dni w życiu pułkownika.

Wieczorem w dniu 25 września nadeszła od towarzystwa okrętowego depeza treści następującej:

„Zawiadamiamy z żalem, że s/s »Avvocato«, na którym znajdowała się Pana rodzina, został u wejścia do Zatoki Świętego Jerzego storpedowany przez niemiecki okręt podwodny. Większość pasażerów uratowano. Poszukiwania trwają.“

Położył się Antoś krzyżem na marmurowych płytach przed wielkim ołtarzem Katedry Westminsterskiej i modlić się począł gorąco.

Leżał tak dwa dni i dwie noce, aż nieprzytomnego z zimna i nieszczęścia, zabrali do domu koledzy.

Nie ulitował się Pan Bóg nad Antosiem: wkrótce nadeszła druga depeza:

„Na liście imiennej uratowanych pasażerów s/s »Avvocato« nie ma ani Pana żony, ani Pana synów. Very sorry“.

Upłynął miesiąc, dwa. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Był dzień 19 grudnia. Pułkownik Gosiewski pilotując właśnie nowego Spitfire'a doleciał do pierwszych ośnieżonych gór Szkocji...

Świadkowie zeznali, że samolot leciał normalnie, a równy gang silnika wskazywał, że wszystko jest w porządku. Naraz usłyszeli, że pilot dał pełny gaz, po czym samolot przechylił się na łeb i prostopadłą piką doszedł aż do ziemi. Rozległ się trzask i wytrysnęła wyższa niż świerki fontanna śniegu...

Komisja rzeczoznawców po szczegółowym zbadaniu szczątków płatowca i silnika nie znalazła żadnej awarii, która by mogła być przyczyną wypadku. Powód katastrofy w orzeczeniu komisji brzmiał: „Utrata przez pilota równowagi psychicznej“.

Orzeczenie niewątpliwie słuszne.

Nie potrzeba zbyt wielkiej fantazji, aby towarzyszyć Antosiewi w ostatnich minutach jego ostatniego lotu.

Nad świerkowym zboczem leciał nie wyżej niż na 100 metrów i mógł dokładnie widzieć ośnieżone drzewka... Zbliżały się Święta, zbliżała się Wigilia. Wróciły wspomnienia... Oczy zaszczyły łzami i one były zapewne powodem, że na białych świerkowych gałązkach ujrział różnokolorowe, świecące, szklane bombki... A może zobaczył nawet kogoś pod choinką? Może usłyszał radosny śmiech swoich synków? Tak, tak, widzi ich wyraźnie! Prędszej do nich! Jak najprędszej!

Pełny gaz, drążek sterowy od siebie i... pan pułkownik Gosiewski zdążył na wspólną z panią Jadwigą, z Michałem i Krzysiem — Wigilię.

Blackpool, 15 kwietnia 1942 r.

„Atak odrodziłby nasz naród. Kiedyż ten atak się zacznie? Rosja wzywa nas stale, byśmy przeszli do czynnej akcji na zachodzie, aby ułatwić sytuację Armii Czerwonej, i twierdzi, że jeżeli wystąpimy z dosta-

teczną energią, będzie mogła pokonać Hitlera jeszcze w tym roku. Na cóż się więc zdecydujemy?

Długie miesiące oczekiwania osłabiły ducha narodu, zrodziły krytyki, spowodowały opuszczenie się w pracy robotników i doprowadziły w armii do pewnych objawów rozgoryczenia z powodu marnowania sił ludzkich.

Od dziewięciu miesięcy nie grożą nam naloty. Teatry i kina są przepelnione, czynne są wyścigi, pieniędzy jest pełno, setki tysięcy ludzi zarabiają więcej niż kiedykolwiek.

Szerokie masy społeczeństwa żyjące w tych warunkach zapomniały powoli, że zaledwie o 21 mil od nas, na wybrzeżu widocznym gołym okiem z Dovru, zaczyna się kontynent Europy, gdzie setki milionów cierpią niewypowiedziane prześladowania. Jeżeli my przegramy, nasz los będzie taki sam. Atak brytyjski na wroga, gdzieś w pobliżu Anglii, stałby się dla całego narodu prawdziwym bodźcem i pokrzepieniem po miesiącach bezczynności, która, jeżeli nawet została nam narzucona, to przerodziła się potem w szkodliwe zadowolenie z siebie.

Nasza własna siła i zdolność natarcia — oto najlepsza obrona. Atakujmy więc teraz. W bitwie prawdziwej nauczyć się można w kilka godzin tego, czego nie dadzą całe lata ślamazarnych ćwiczeń. Nie czekajmy więc na nowe dostawy broni, nauczmy się raczej używać tej, którą już posiadamy. Teraz nadszedł czas.“

Tak mniej więcej argumentuje prasa, wzywając do natychmiastowej ofensywy na kontynent.

Blackpool, 10 maja 1942 r.

Zażenowani jesteśmy uprzejmością Anglików, tym bardziej że urocze Angielki nie żenują się zupełnie w okazywaniu nam nie tylko swego zainteresowania i sympatii, ale i „w ogóle“. Czynią to w sposób, można powiedzieć, spontaniczny i przy każdej okazji.

Wyobraźnia Anglików i ich znajomość geografii szwankuje poważnie, toteż naszywka „Poland“, jaką nosimy na mundurze, wzbudza w nich wizję jakiejś krainy polarnej, wizję niezmiernych, pokrytych śniegiem i lodem przestrzeni, po których chodzą stadami białe niedźwiedzie, wilki, renifery i inne pingwiny. Poza tym, najbardziej egzotyczne, szczególnie dla Angielek, jest nasze zachowanie się, nasz sposób bycia. Egzotyczne i bardzo zarazem ujmujące. Zbyt ujmujące, aby mogły sobie odmówić bliższego poznania przybyśców spoza kręgu polarnego. Spoza kręgu polarnego, a zarazem takich... gorących! Przynajmniej w porównaniu z ich rodakami, którzy stale grają w golfa i łapią ryby, a poza tym — nic, a w każdym razie bardzo rzadko. My — odwrotnie: nie gramy w golfa, nie łapiemy ryb, tylko stale właśnie to, co oni rzadko...

To wcale nie jest kawał, gdy pewien lord po pięćdziesięcioletnim pożyciu małżeńskim doczekał się syna i był bardzo zdziwiony, że nie bliźniaków, bowiem przecież dwa razy... Twice...

Albo takie całowanie w rączkę! I to jakie całowanie! W każdy paluszek oddzielnie, po kilka razy, z wierzchu, pod spodem, z boków, w paznokietek i w łokietek, przy zgiętej łapce i przy wyprostowanej. A wszystko przy akompaniamencie mruczenia i patrzenia w oczy... Która Angielka może się oprzeć takiej perfidii? Żadna!

Dziwne to, ale przejechałem już pół świata i nie widziałem, żeby mężczyzna ustąpił w tramwaju miejsca kobiecie. Widziałem, że ustępują dzieciom, kobiecie — nigdy. My — odwrotnie: kobiecie ustępujemy zawsze — to nasza tutaj specjalność, a dzieciaka za ucho i won, szczeniaku! „Take a seate, miss, please“.

Oczywiście przesadzamy jak zawsze: kilka dni temu na pierwszej stronie dziennika „Daily Mirror“ znalazła się fotografia szeregowca Wojciecha Pająka z takim objaśnieniem:

„Oto przykład gentlemana — ten polski żołnierz ustąpił w autobusie swoje miejsce — konduktorce.“

Niezbyt w stosunku do nas fair, lecz oryginalny i uwieńczony pełnym powodzeniem sposób, mający na celu uzyskanie względów u płci pięknej, zastosowało kilku żołnierzy brytyjskich w Blackpool. Ozdobili sobie mundury naszywkami z napisem „Poland“ i posługując się zupełnie niemożliwym angielsko-francusko-murzyńskim żargonem, udawali Polaków.

Oczywiście że powodzenie u poznanych Angielek mieli zapewnione, a tym bardziej że nie zapomnieli całować panienek po rękach, wzdychając i sapiąc przy tym okropnie. O! spryciarze!

Ta popularność była powodem, że i moje samopoczucie pod tym względem poprawiło się wybitnie. Niestety, tym bardziej tragicznie odczułem przeżycia, które ostatnio, jedno po drugim, spotkały. Z dotychczasowych przeżyć wojennych — najstraszliwsze; przeżycia, które zakończyły przedostatni okres mego życia, a rozpoczęły ostatni — ten najsmutniejszy.

A było to tak:

Zostałem delegowany do miejscowości Blergorie w Szkocji celem rekrutacji do lotnictwa żołnierzy polskich z innych rodzajów broni.

W najlepszym nastroju zająłem miejsce w przedziale pierwszej klasy „Latającego Szkota“ — ekspresu Londyn — Edynburg.

Moim vis-à-vis była śliczna panienka. Owalna, o cudownej karnacji twarzyczka, tycjanowski kolor spływających na ramiona loków, figlarne, migdałowe, czarne jak cholera oczy, a oprócz nas — nikogo w przedziale.

Zawsze marzyłem, żeby mieć przygodę w pociągu. Już taki ze mnie marzyciel. No i miałem przygodę w pociągu — najgorszemu wrogowi nie życzę!

Usiadłem sprytnie, tak na trzy-czwarte, żeby lepiej było widać naszywkę „Poland“.

Panienka czytała tygodnik „Men only“ (Wyłącznie dla mężczyzn), a ja, przyznając się, myślałem o „women only“. Zgadzało się, ale zaraz przestało.

Panienka coraz podnosiła swe oczęta znad książki i spoglądała na mnie. Czegóż ja w tych ślepkach nie widziałem! Wszystko! I to z najdrobniejszymi szczegółami!

Nie upłynęło pół godziny, gdy panienka odłożyła książkę i już bez przerwy, i to nawet, jak mi się zdawało, bezczelnie i zachęcająco, patrzyła na mnie.

Czułem, że moment krytyczny nadchodzi. Nie omyliłem się. Nadszedł. Panienka popatrzyła, popatrzyła, oczy jej zasnuła mgła rozkoszy i... zasnęła.

Na palcach, jak zbrodniarz albo idiota, przeszedłem do innego przedziału.

Taaak, przeżycie nielicze, co?

A właściwie, to ta panienka — nie była taka znów panienka. Tycjan trochę sfałszowany mlekiem albo farbą wojennej produkcji. A poza tym zęby było jej widać, czego nad wyraz nie lubię.

Zbliżało się inne przeżycie — gorsze. Jak to jednak nieszczęścia chodzą parami. Nieubłagane prawo serii.

Komenda garnizonu w Blergorie skierowała mnie na kwaterę do zameczku uroczo położonego pod miastem na stoku dość wysokiej góry.

Nie upłynęła godzina oczekiwania na zapowiedziany przez zamek pojazd, gdy przed Komendę Garnizonu zajechał jakiś starożytny faeton, zaprzężony w dwa piękne białe araby. Zresztą, nie wiem, czy to były araby — nie znam się na koniach, w każdym razie całość była bardzo malownicza, a szczególnie malowniczy był stangret w żółtych sztylpach i perłowym meloniku na pomarańczowej głowie.

Przed zamkowym podjazdem oczekiwała już na mnie służba — chyba z dziesięć osób. Nie jestem pewny, ale był chyba między nimi i masztalerz, i koniuszy,

ze dwóch kamerdynerów, pokojówki i jeszcze kilka, o nieznanym specjalnościach, osób.

Poprzedzany przez lokaja, niosącego moją fibrową walizeczkę, przeszedłem jakieś krużganki, jakieś wielkie, mroczne sale obite ciemną, dębową boazerią i wreszcie po stromych kręconych schodkach jednej z wież doszedłem do mojego pokoju.

Ledwo zdążyłem się umyć, gdy przyszedł jakiś starszy pan, może szef protokołu, powitał mnie w imieniu właścicielki zamku i zakomunikował, że high tea podana będzie o piątej w sali błękitnej. Również od niego dowiedziałem się, że w zamku zamieszkują tylko dwie osoby — lady i jej wnuczka i że nie jestem pierwszym Polakiem, który tutaj gości, bowiem złożyli już wizytę oficerowie oddziału polskiej artylerii, stacjonującej w pobliżu.

Radość życia i pogoda ducha sprawiły, że już zaczynałem zapominać o przygnębiającej przygodzie w pociągu, ale zupełnie i ostatecznie zapomniałem punktualnie o godzinie 5 minut 5, to jest w chwili, gdy ujrzałem wnuczkę... Owalna, o cudownej karnacji twarzyczka, tycjanowski kolor spływających na ramiona loków, figlarne, migdałowe, czarne jak cholera oczy...

Po tea przeszliśmy we trójkę — lady, wnuczka i ja — do jakiejś mniejszej narożnej salki. Babcia spoczęła w fotelu przysuniętym do kominka, na którym z trzaskiem płonęły wielkie sosnowe szczapy. Ja usiadłem na niskim pufie, a wnuczka, pólleżąc na tureckich poduszkach, zaczęła szykować kłębki wełny i cały czas, bez przerwy... patrzyła na mnie.

Gdybym nawet i nie siedział na pufie przy kominku, a na biegunie w przeręblu — też zrobiłoby mi się gorąco.

Zamek z XVI wieku, babcia nie o wiele młodsza i to wyłącznie w charakterze dekoracji, białe perukierczy z czasów Jakuba I, mroczna sala, oświetlana złotymi odlaskami płonących szczap, za kolorowymi

witrażami gotyckich okien błądzi blade światło księżycy, a wnuczka się patrzy i w oczach jej widzę dyspensę.

Babcia przestała coś tam szeptać, widocznie zasnęła, i nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Czuję, że zbliża się decydujący moment. Byłem pewny, że nie upłynie dziesięć minut, gdy Jean i ja (Jean się nazywała. Ślicznie, prawda?) — będziemy, niczym koty (the cats), skradać się cichutko po kręconych schodkach do pokoiku na szczycie wieży (the tower)...

Przeklęty język — nie zdążyłem nic wymyślić. A może dobrze, że nie zdążyłem, bobym się wygłupił, gdyż właśnie Jean, przechylając zalotnie śliczną główkę, szepnęła cichutko i — jak mi się zdawało — namiętnie:

— Panie kapitanie, czy pan nie ma syna w artylerii?

Wytrzeźwiałem momentalnie.

— Nie, proszę pani, nie mam syna w artylerii, ale za to mój dziadek jest skoczkiem spadochronowym.

Po kręconych schodkach wchodziłem nie jak kot, lecz wolno i ciężko jak niedźwiedź (the bear)... Coś mnie, cholera, w kolanie jakoś strzyka. Tak, Jean jest ładną dziewczyną, ale linia jej czaszki wskazuje na pojemność nie większą niż trzysta centymetrów sześciennych. Małpa ma pięćset.

Blackpool, 6 czerwca 1942 r.

Zamiast drugiego frontu rozpoczęto na wielką skalę naloty bombowe na Niemcy. Po dwóch wielkich raidach na Lubekę i Rostock, i prawie zupełnym ich spaleniu, zorganizowano dwa następne, tym razem, jak się ktoś wyraził, na skalę mamutową, na Kolonię i Essen. W pierwszym z nich brało udział 1 250 bombowców, a w drugim 1 036! Oba te raidy trwały bardzo krótko, niewiele dłużej niż jedną godzinę każdy. Trudno to

sobie wyobrazić, co się musiało dziać na ziemi! Noce obecnie są krótkie i jasne, toteż skoncentrowanie w jak najkrótszym czasie największej ilości samolotów było konieczne, a poza tym dawało tę korzyść, że już w pierwszych minutach ataku, podczas którego w ciągu jednej minuty prawie 40 ton bomb spadało na ziemię — akcja obrony przeciwlotniczej była bardzo utrudniona, a pod koniec nalotu ustała prawie zupełnie.

I pomyśleć, że działo się to w drugą rocznicę Dunkierki, kiedy to Brytyjski Korpus Ekspedycyjny, straciwszy całą swą broń, opuszczał brzegi Francji ponosząc okropne straty...

I — że dwa lata temu, po zdradzie Francji, Anglia została sama, bezbronna i właściwie bez żadnej już nadziei oczekiwała na tragiczny koniec...

Blackpool, 7 czerwca 1942 r.

W dniu 4 czerwca zabił się podczas lotu szkolnego w Newton uczeń-pilot sierżant Kocoń.

Blackpool, 18 czerwca 1942 r.

Kilka dni temu angielski lotnik przeleciał w dzień, na wysokości kilku metrów, nad grobem Nieznanego Żołnierza w... Paryżu i zrzucił trójkolorowy sztandar. Ten szaleńczo śmiały i zupełnie niepotrzebny wyczyn bardziej pasowałby do „Wolnego Francuza“. Podobno są tacy.

A propos. Co by to się działo, gdyby na miejscu Paryża była... Warszawa?! O rany!

Blackpool, 1 lipca 1942 r.

W nocy z 25 na 26 czerwca ponad tysiąc samolotów bombardowało Bremen. Nie powróciły pięćdziesiąt dwa samoloty, w tym pięć polskich.

Podczas tego lotu zginął podpułkownik pilot Stanisław Skarżyński. Postrzelana maszyna musiała wodować. Ranny pułkownik zdołał opuścić kołyszący się na

falach wrak, lecz rany i kalectwo (był chromy) nie pozwoliły mu dopłynąć do gumowej dinghy. Wysiłki załogi, która cała się uratowała, nie zdały się na nic ze względu na ciemność, wiatr i duże fale.

Skarżyński w roku 1931 odbył słynny lot dookoła Afryki, a w 1933 przeleciał na awionetce przez Atlantyk — od Dakaru do portu Natal w Brazylii.

Blackpool, 3 lipca 1942 r.

W dniu 1 lipca zabił się, spadając z któregoś tam piętra drapacza chmur w Nowym Jorku — generał dywizji doktor Bolesław Wieniawa Długoszowski, nasz niedoszły prezydent.

Blackpool, 26 lipca 1942 r.

W dniu 19 lipca spalił się w powietrzu w okolicach Manchesteru samolot Master. Pilot — sierżant Gankowski — zginął.

W dniu 25 lipca zabił się podczas lotu szkolnego na Oxfordzie pilot sierżant Małczyński.

Blackpool, 27 lipca 1942 r.

Odwiedzili naszą stację król Jerzy i generał Sikorski. Nie było specjalnej parady ani przygotowań, aczkolwiek inspekcję królewską zapowiedziano już kilka dni temu.

Po przejściu przed frontem oddziałów, obejrzeniu hangarów, sal wykładowych, warsztatów i koszar żołnierskich — król zaproszony został do kasyna oficerskiego na małe przyjęcie.

Król jest tak skromny, że wydaje się nieśmiały. Patrząc na niego, nie można sobie uprzytomnić, że ten miły, tak ujmująco uśmiechnięty, tak bezpośredni w obejściu — człowiek, to...

His Most Excellent Majesty — Jego Najbardziej Wspaniały Majestat — Jerzy VI, z Łaski Boga Król Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Północ-

nej Irlandii, Cesarz Indii, Obrońca Wiary, Suweren Brytyjskich Orderów Rycerskich, etc. etc. etc.

Głowa Commonwealthu: Kanady, Australii, Nowej Zelandii, Związku Afryki Południowej, Pakistanu, Ceylonu, Adenu, Barbadosu, Swazilandu, Basutolandu, Bermud, Malai, Wysp Pacyfiku, Jamajki, Hondurasu, Singapuru, Hong-Kongu, Brytyjskiej Gwinei, Wyspy św. Heleny, Gibraltaru, Nyassy, Kenii, Zanzibaru, etc. etc. etc.

Suchy mówi, że najważniejsza z tego wszystkiego to oczywiście — Jamajka! Co za rum! O rany!

— Takiego rumu to napiłbym się nawet na czczo.

— Co ty gadasz? Przecież i tak pijesz na czczo, co podleci.

— Ja? Nigdy!

— Pijesz!

— Ale nie na czczo — przedtem zawsze muszę zrobić siusiu.

Wieczorem król Jerzy i generał Sikorski pojechali na dalsze inspekcje, a Suchy pojechał na randkę; w bieżni, którą wczoraj przysłano mu z pralni, znalazł przemiłą karteczkę od nieznanajomej praczki...

Nottingham, 28 lipca 1942 r.

Prasa nottinghamska z dnia wczorajszego zamieszcza ciekawą notatkę o marszałku Rydzu-Śmigłym.

Oto owa notatka w tłumaczeniu:

„Od specjalnego naszego korespondenta z Kairu.

Marszałek Rydz-Śmigły, głównodowodzący polskich sił zbrojnych podczas wybuchu wojny, żyje, ale miejsce jego pobytu jest ściśle strzeżoną tajemnicą.

Jego były adiutant — obecnie zastępca dowódcy polskich Brygad Pancernych na Środkowym Wschodzie — opisał szczegółowo przebieg ucieczki marszałka z Rumunii, lecz dokument ten przesłany został do Ameryki celem przechowania.

W Rumunii opowiadano, że marszałek Rydz-Śmi-

gły, przebrany za starą, grubą babę, uciekł na Węgry ze swojego luksusowego więzienia, mieszczącego się we dworze koło Brassowa, w sierpniu 1940 r.

Gestapo złapało go w chwili, gdy zamierzał dostać się do Turcji. Jak mi jednak wiadomo, udało mu się uciec z rąk Gestapo. Czy ukrywa się on teraz w Turcji, czy wrócił do Polski dla zorganizowania pracy antyniemieckiej celem uwolnienia swego imienia z ciężących na nim zarzutów — jest tajemnicą.

Gdyby marszałek w chwili obecnej zjawił się wśród żołnierzy polskich na Środkowym Wschodzie — życiu jego zagrażałoby niebezpieczeństwo, ponieważ ogólnie jest on oskarżany za dezorganizację Armii Polskiej w pierwszych dniach wojny.

Pułkownik Beck, były polski minister Spraw Zagranicznych, powiedział mi krótko przed jego nieudanym zamiarem ucieczki do Turcji: «Podczas dwóch pierwszych dni wojny Rydz-Śmigły był całkowicie opany strachem. Nie pozwolił mi opuścić go ani na chwilę, a wszystkie zarządzenia wojskowe, tak w dzień jak i w nocy, były wydawane przeze mnie. Przypominam sobie wypadek — dodał pułkownik Beck — że Niemcy zwrócili się do Rydza-Śmigłego z propozycją objęcia stanowiska gubernatora Państwa Polskiego, ale propozycję tę marszałek odrzucił».

Northolt, 15 sierpnia 1942 r.

Dnia 12 sierpnia zginęło w katastrofie lotniczej sześciu żołnierzy 304 Dywizjonu Bombowego. Okoliczności wypadku były następujące:

Samolot Wellington startował do nocnego lotu bojowego. Załadowany był minami, które miał zrzucić na morze.

Nie wiem — czy droga startowa była za krótka, czy samolot przeciążony, czy podczas startu silniki zdały obroty — dość że maszyna nie zdążyła oderwać się jeszcze od ziemi, gdy pod jej skrzydłami mignęły czer-

wone światła. Ostatnie czerwone światła, oznaczające koniec drogi startowej, urywającej się nad skalistym brzegiem. Maszyna nie mając dostatecznej szybkości, runęła z kilkunastometrowej wysokości — do morza. Wystające podwozie zaczęło o fale i samolot prze-wrócił się na plecy.

Syreny alarmowe, rakiety, sanitarki...

W świetle reflektorów widać było tonący samolot, a obok niego pływającą dinghy z uczepionymi jej linek trzema lotnikami. Wysoka fala uniemożliwiła wysłanie na pomoc motorówki. W pewnym momencie gumowa łódka znalazła się na szczycie czterometrowej fali i ze straszliwą siłą rzucona została na nadbrzeżne skały.

Zginęli wszyscy. I ci uczepieni łodzi, i ci, którzy zostali w tonącym samolocie.

Northolt, 22 sierpnia 1942 r.

Dowódca jednej z amerykańskich eskadr myśliwskich w Afryce złożył swoim przełożonym któregoś tam dnia o godzinie 14 meldunek treści następującej:

„Melduję, że na śniadanie strąciliśmy 8 samolotów nieprzyjacielskich, na obiad 23. Postaramy się, aby na podwieczorek ich liczba była godna naszej herbaty. Pijemy bardzo mocną“.

Esencji nalałbym kochanym chłopakom! Bez cukru, psiakrew!

Nottingham, 27 sierpnia 1942 r.

Zginął w katastrofie samolotowej (wraz z czternastoma członkami załogi) ksiązę Kentu, brat króla.

Notuję ten fakt, bowiem ów ksiązę interesował się bardzo wojskiem polskim w ogóle, a lotnictwem polskim — w szczególności. W naszych dywizjonach był on częstym gościem.

Czy to był powód, że mówiono ogólnie o księciu Kentu jako o przyszłym... królu polskim? Wiadomo by-

ło również, że tak on jak i jego żona, księżna Maryna, uczyli się po polsku.

Nottingham, 28 sierpnia 1942 r.

Kilka dni temu wojska kanadyjskie przeprowadziły wypad na Dieppe. Mówią, że była to próba przyszej, niedalekiej już, inwazji kontynentu. Straty Kanadyjczyków są duże: 93 zabitych, 402 rannych i 125 zaginionych.*

W akcji tej zginęło czterech braci. Matka ich — gdzieś tam w dalekiej Kanadzie — otrzymała wiadomość o śmierci synów następnego dnia. Zawiadomiono ją czterema depeszami. Każda z nich nadchodziła co dwie godziny i donosiła o śmierci jednego syna... (Z prasy).

Northolt, 29 sierpnia 1942 r.

Już prawie rok mija, gdy otrzymałem ostatnią wiadomość od swoich. Co się też dzieje z nimi? Czy żyją? Czy są zdrowi? W fotografię dzieciaków, którą codziennie przystrajam w różne kwiatki zrywane po drodze z lotniska — wpatruję się z coraz to smutniejszym uśmiechem. Takimi, jak na fotografii, nie zobaczę ich już nigdy.

Jeżeli nawet powrót za lat kilka stałby się możliwy, to czy będzie on w ogóle wskazany? Czy będę miał do kogo wracać i po co? Przyjechałbym jako człowiek pra-

* Jak w pełni uzasadniona była nasza niewiara w prawdziwość komunikatów wojennych — świadczy wymownie powyższa notatka o desancie wojsk kanadyjskich na Dieppe. Podane w niej ogólne straty Kanadyjczyków, wynoszące jakoby 620 żołnierzy, przepisałem z komunikatu urzędowego War Office. Dopiero teraz, po upływie piętnastu lat, dowiadujemy się z publikacji tegoż ministerstwa, że straty poniesione przez Kanadyjczyków podczas wspomnianej operacji, wyniosły... 4000 żołnierzy! (Z. W.)

wie obcy, jako intruz, wprowadzający przykre zamieszanie w ich życie, które toczy się już, i to zapewne coraz sprawniej, beze mnie. Żadne przecież ich zamiary, żadne nadzieje i żadne poczynania nie są i nie mogą być związane z moją, rozpływającą się we mgle zapomnienia, nie zawsze miłą sylwetką...

Dochodzi 8 wieczór. Co też się tam dzieje „u mnie“ w domu?

Popuśćmy wodze fantazji.

Wariant I

(Według radia, prasy i źródeł dobrze poinformowanych)

— Idźcie już spać, dzieci. Świeczka się dopala. Kocłacji nie dostaniecie, bo i tak nas jutro Niemcy rozstrzelają. Ale nic to! Mój mąż, a wasz ojciec, walczy mężnie gdzieś hen za naszą wolność i powrót do cywilizacji. Niech ozdobiony laurowym wieńcem wróci na Ojczyzny łono.

— Mamusiu, jeść nam się chce!

— Ha, trudno, jest tam na półce ćwierć kilo razowego chleba, który kupiłam za 1 500 złotych i dwa litry spirytusu, który dostałam bez kartek. Zjedzcie i popijcie sobie.

Żona moja, cała w czerni i gładko uczesana, idzie, słaniając się z głodu, do domowego ołtarzyka, na którym, między świętymi obrazkami, jest moja fotografia, z czasów gdy ważyłem sto kilo.

Trrrr... Trrrrrr... Dzwonek. Wchodzą goście. Ubrani w lachmany, z ceglastymi wypiekami na zielonych twarzach. Oczy ich płoną głodową gorączką. Zamiast powitania syczą przez spróchniałe zęby, rozglądając się wokoło:

— Ti — ti — ti taaa

— Ti — ti — ti taaa

— Ti — ti — ti taaa

Żona podnosi się z jękiem.

— Witajcie, ti — ti — ti taaa, więc to nie was powieszono wczoraj na rynku w Pruszkowie?

— Nie, nie nas, pani Zofio, uciekliśmy w ostatniej chwili i idziemy w partyzanty.

— Szczęść wam Boże, kochani, weźcie ze sobą ten tasak.

— Dziękujemy, dziękujemy, a co się stało z plutonem Niemców, którzy wczoraj o zmierzchu weszli do pani willi?

— Cóż się mogło stać, najdrożsi? Zakopałam ich w piwnicy.

W tym momencie świeczka zgasła i goście wyszli przez okno od łazienki.

W ogrodzie zachichotał puszczyk...

Wariant II

(według moich nieśmiałych przypuszczeń)

— Haneczko, Jasiu, proszę zgasić światło i iść spać. Macie tu jeszcze po ciastku z żołądki i spać mi zaraz. Oczekuję gości.

Żona moja, cała w loczkach, pachnąca różą Drallego i w różowej, przerobionej z firaneczki, sukieneczce — zamyśliła się głęboko: „Nie, cztery kurczaki stanowczo nie wystarczą“.

Trrrr... trrrrr... Dzwonek. Wchodzą goście. Pani Lili, pani Dziula, Janka, Lolus i pan Józef.

— Och! Jak to dobrze! Co za niespodzianka! Siadajcie, kochani — proszę palić Manoli.

— Co słyszeć, pani Zofio? Mąż nie pisał? Co on tam robi, biedaczysko, pan Zygmunt?

— Co robi? Hm... bradziały się w Londynie i podszczypuje różne misski, ja go znam! Chociaż... tak dawno nie dał znaku życia... może zginął... Wiśniaczku pani się napije?

— Owszem, bardzo chętnie. Jakżeż go pani robi, że nic denaturatu nie czuć? A może jednak nie zginął?

— E... zginął, a teraz herbatki — świetna, ktoś mi ją przysłał prosto z Portugalii.

Po bridżu goście wyszli. Żona odprowadziła ich

przez ogród i wracała zamyślona. „Jaki ten pan Józef jest jednak sympatyczny...”

Niebo było usiane gwiazdami, pachniała rezeda, w krzakach darł się słowik...

Który z tych obrazków jest bliższy prawdzie — nie wiem. Prawda, jak zawsze, leży zapewne pośrodku: i puszczyk chichotał, i słowik się darł.

Kingsbridge, 30 sierpnia 1942 r.

Przyjechałem służbowo na kilka dni do miejscowości Kingsbridge w hrabstwie South Devon na południu Anglii.

Kwateruję w uroczym, położonym w starym parku, luksusowym pensjonacie. Tuż za tarasem o balustradach spowitych liliowym, silnie pachnącym powojem, przepływa strumyk, szemrzając romantycznie.

Wieczorem otworzyłem na roścież szerokie, pałacowe drzwi mojego pokoju, odsunąłem znad łoża jedwabny baldachim i sprawdziwszy obecność nocnika z chińskiej porcelany — spocząłem znużony.

Była właśnie pełnia. Zasypiając widziałem na tle białych chmur ciemne sylwetki dość wysokich palm i grupy wielkich egzotycznych agaw. Wysypane morskimi kamyczkami ścieżki błyszcząły w świetle księżycy niczym usiane brylantami. Było bardzo cicho. Przymknąłem powieki i... ciszę średniowiecznego parku przerwało brutalnie krakanie wron, wachlarze daktylowych palm zaczęły przybierać kształty zwisających gałęzi płaczących wierzb, zniknęły agawy — pokazały się pokrzywy; brylantowe ścieżki zmieniły się z wolna w piaszczystą, wiejską drogę z głębokimi koleinami; na marmurowych płytach tarasu wyrosło złote żyto i niebieskie chabry...

Rano czułem się bardzo zmęczony i głęboko przygnębiony. Nostalgia to straszna choroba. Jej pierwszy, ostry atak nie minął nawet po kąpieli i zimnym prysznicu. Okropna choroba trwała pół godziny, aż do śnia-

dania. Skończyła się nagle, gdy zamiast żurku podano mi sok z grape-fruitów, a zamiast kiełbasy — łososia z rusztu.

Całkiem już zdrowy i w bardzo dobrym nastroju, poszedłem do miejscowego kościółka, aby podziękować za cudowne uzdrowienie i zwiedzić starą świątynię.

Zwiedziłem ją jednakże na dwie raty: najpierw przedsionek, a później resztę. Świątynie należy zwiedzać w nastroju poważnym, inaczej nie wypada, a ja już w przedsionku nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, bo oto jakie epitafium kazał wyryć na marmurowej płycie swojego grobu pan Robert Philipp, zmarły dnia 27 sierpnia 1793 roku:

Here lie I at the chancel door.
Here lie I because I'm poor.
The further in, the more you'll pay,
Here lie I as warm as they —

co w moim tłumaczeniu, brzmi mniej więcej tak:

Pod tą oto płytą wyciągnąłem nogi.
Leżę w przedsionku, bo jestem ubogi.
Ci, co leżą wewnątrz tej świątyni Bożej,
Zapłacili znacznie drożej.
Leżę w korytarzu — oni przy ołtarzu,
Tyle samo, co ci wewnątrz — mam energii i kurazu.

Londyn-Northolt, 2 września 1942 r.

Air Marshal Harris, dowódca „Bomber Command“ wygłosił onegdaj przez radio przemówienie, skierowane do narodu niemieckiego. Było to groźne ostrzeżenie z ust najbardziej kompetentnych.

Brzmiało jako nowoczesne „Mane! Tekel! Fares!“ Marszałek Harris oświadczył, że Sprzymierzeni będą bombardowali Rzeszę „od jednego końca do drugiego“, bez skrupułów, aż do chwili, kiedy naród niemiecki „wywróci reżim nazistowski“, aby zawrzeć pokój. „Odległe to już są czasy, kiedy bombardowaliście — mówił dowódca brytyjski — Coventry, Plymouth, Liverpool

i inne miasta brytyjskie, zabijając 43 tysiące Brytyjczyków, a my z naszej strony mogliśmy na was wysłać tylko słabe siły!... Teraz sytuacja jest odwrócona: my bombardujemy Niemcy w sposób mocny, a wy wysyłacie przeciwko nam o wiele słabsze siły. Dlaczego to robimy? Nie z tytułu rewanżu — aczkolwiek nie zapominamy Warszawy, Belgradu, Rotterdamu, Londynu i Coventry. Bombardujemy Niemcy, miasto po mieście, ażeby uniemożliwić wam prowadzenie wojny. Oto nasz cel, który osiągniemy w sposób bezwzględny! Zniszczymy wam miasto po mieście! Lista już się zaczęła: Lubeka, Roztock, Kolonia, Emden, Brema, Wilhelmshaven, Duisburg i Hamburg poznały już bomby brytyjskie. Odległość będzie pokonana. Przykładem może służyć Gdańsk. Żadne miasto w Rzeszy nie jest bezpieczne. Nie macie szans!”

W dalszym ciągu swego groźnego ostrzeżenia marszałek Harris zapowiedział, że w niedługim już czasie nadejdzie chwila, kiedy bombowce brytyjskie i amerykańskie bombardować będą Rzeszę, bez względu na pogodę, w dzień i w nocy.

Przemówienie marszałka Harrisa ocenione jest w miarodajnych sferach brytyjskich jako zapowiedź znacznego wzmożenia akcji lotniczej przeciwko Rzeszy. Harris spędził niedawno osiem miesięcy w Stanach Zjednoczonych i uchodzi w Londynie za jednego z najlepszych znawców amerykańskich możliwości w dziedzinie długodystansowych bombardowań. W swoim przemówieniu kilkakrotnie wspominał on, że w przyszłych bombardowaniach Rzeszy weźmie coraz szerszy udział lotnictwo amerykańskie.

W związku z systematycznym bombardowaniem miast niemieckich przypominam sobie powiedzenie Churchilla w Parlamencie: „Nie wiemy, czy przez bombardowanie miast niemieckich możemy wygrać wojnę, ale... spróbujemy“.

Próba się rozpoczęła.

Tygodnik „Tribune“ nawołuje do rozpoczęcia inwazji kontynentu i mianowania naczelnym dowódcą marszałka Timoszenkę. A oto wolne tłumaczenie artykułu „Tribune“:

„Na co czekamy? Jakie ciemne wpływy winny są owych dziwnych wahań, cechujących akcją wojenną Ameryki i Anglii? Prawda, że w Egipcie toczą się zacięte boje i wynik ich jest niepewny, ale mimo wagi egipskiego terenu działań zaledwie jedna dziesiąta naszych sił zbrojnych walczy na tym froncie. Tymczasem mamy kolosalne, a nie użyte rezerwy, potencjalne możliwości, zależne od woli rządu brytyjskiego i amerykańskiego zasoby rozrzucone po całym świecie, gdzie nie mogą być użyte przeciw osi. Wróg bije nas koncentracją wszystkich sił w tym punkcie, gdzie chce rozstrzygnięcia. Zarówno Anglia, jak Ameryka zobowiązały się wyraźnie do stworzenia w Europie w tym roku drugiego frontu. Ciężko doświadczona Rosja co dzień niemal woła o wykonanie tych zobowiązań. Zapewne wahamy się dlatego, że nasi generałowie nie są jeszcze zadowoleni ze sprzętu, jaki mają teraz do dyspozycji, albo że nie zakończyli wszystkich przygotowań. Ale decydująca nie może być sprawa sprzętu, lecz kwestia rosyjskich możliwości oporu. Jeżeli Rosja będzie pokonana albo wypchnięta poza Ural, to nawet najlepszy sprzęt nie zastąpi nam tego, co przedstawia dziś w polu walcząca Czerwona Armia. Jeżeli odłożymy ofensywę do przyszłego roku, to być może stanie przeciw nam trzysta dywizji niemieckich, zamiast trzydziestu, jak teraz. Dlatego trzeba nam już dziś planu akcji ogarniającego wszystkie dziedziny wojny. Naczelne dowództwo sił brytyjskich i amerykańskich w Europie winno spocząć w rękach człowieka najbardziej doświadczonego, znajdującego nowoczesne metody walki. Jedno imię ciśnie się tu na usta: Timoszenko. Mianowanie go dodałoby ducha wojskom, stwarzając przekonanie, że na

ich czele stoi największy geniusz wojskowy. Nominacja taka zespoliłaby zarazem front wschodni i zachodni. Pamiętajmy, że żołnierz, który nawet nie ma idealnego uzbrojenia, ale który wydobywa z siebie najwyższy wysiłek w krytycznym okresie walki, wart jest znacznie więcej niż doskonale uzbrojony, ale zbyt wcześnie lub zbyt późno posłany na front. Oto nasza odpowiedź tym, którzy wciąż odkładają nasz atak do chwili owego idealnego wyposażenia. Nie ma w wojnie idealnych momentów. Co trzeba zrobić, musi być zrobione.“

Northolt, 13 listopada 1942 r.

Od czasu do czasu ukazują się w prasie komunikaty o schwytaniu niemieckich szpiegów, dywersantów i sabotażystów. Są to jednak tylko krótkie stwierdzenia efektów końcowych skomplikowanych akcji bez podawania szczegółów, które zapewne byłyby najbardziej ciekawe. Lakoniczność komunikatów jest zrozumiała: wróg dał się złapać, ponieważ popełnił w działaniu jakiś błąd, a więc jest nadzieja, że inni szpiedzy, nie wiedząc, co zdradziło ich poprzedników — popełnią ten sam.

W jednym tylko wypadku — który właśnie poniżej opisuję — zrobiono wyjątek, podając do publicznej wiadomości, co szpiclów niemieckich zdradziło. Uczyniono to zresztą celowo — chodziło bowiem o wzmożenie czujności wszystkich obywateli, o co ostatnio prasa stale apeluje.

W okropnej angielskiej kuchni najokropniejsze są chyba popularne kiełbaski tzw. „sausages“. Coś a la nasze parówki — z tą tylko różnicą, że naszych, gdy apetyt dopisze, można zjeść nawet dwadzieścia bez szkody dla zdrowia, a angielską kiełbaszkę można skonsumentować tylko jedną: po drugiej skręt kiszki i choroba świętego Wita zapewnione pod gwarancją! Z czego są one robione — nie wiadomo. Rąbka tajemnicy uchylili ostatnio sprawa sądowa, jaką miał mr. Lever, rzeź-

nik londyński, oskarżony o to, że jego wyroby zawierały mniej mięsa niż przepisowe dwanaście procent! A więc ile mogły zawierać? Jeżeli, przypuścimy, dziesięć procent, to jakie produkty składały się na pozostałe dziewięćdziesiąt? Na samą myśl o nich dostają okropnych dreszczy. Takich samych zapewne, jakich dostał admirał Canaris, główny niemiecki szpicel, na wiadomość, że właśnie kiełbasa zdradziła jego dwóch podkomendnych. I to nie były jakich, albowiem — jak sami zeznali — osobiście ich ów ober-szpicel przed niefortunną wyprawą pożegnał.

Którejś wrześniowej, ciemnej i bezwietrznej nocy, w odległości jednej mili od brzegów wschodniej Szkocji, gdzieś na wysokości Aberdeen — z fal morskich wysunął się peryskop i wolno, bardzo wolno obrócił się dwukrotnie o 360 stopni. Widocznie nic podejrzanego ani na brzegu, ani na morzu nie dostrzeżono, gdyż po chwili ukazała się na powierzchni wieżyczka, a za nią pokład niemieckiego okrętu podwodnego U-227.

Z na wprost otwartego włazu wyszły ostrożnie dwie ciemne sylwetki. Cicho zsunęły się na pokład i rozłożyły na nim jakąś płachtę. Dał się słyszeć syk powietrza wypuszczanego ze stalowej butli i po kilku chwilach płachta jakby ożyła: zaczęła się ruszać, grubieć, podnosić się i wreszcie przybrała owalny kształt dinghy.

— Heil Hitler!

— Heil Hitler!

Pokrywa włazu cicho opadła. Zabułgotała woda. U-227 skryła się w głębinie, pozostawiając na falach gumową łódkę z dwoma pasażerami.

Zawiadowca maleńkiej stacyjki na linii kolejowej Aberdeen — Arbroath — Dundee — Edynburg nudził się jak mops. Dochodziła właśnie trzecia nad ranem i do przybycia najbliższego pociągu w kierunku na Edynburg była jeszcze cała godzina. Ucieszył się więc mr. Brown, gdy do poczekalni weszło dwóch młodych mężczyzn — będzie z kim pogawędzić.

Każdy człowiek ma jakieś wrodzone zamięłowania detektywistyczne, a już najbardziej odznaczają się tą cechą — Anglicy. W tym jednak wypadku, nawet sam Sherlock Holmes nie zauważyłby nic podejrzanego. Młodzi ludzie mówili po angielsku czystym akcentem oxfordzkim, ich nieprzemakalne płaszcze, rzucone na krzesła, pochodziły ze znanej londyńskiej firmy „Gives“, jeden z nich palił fajkę, drugi — popularne papierosy Pleyersa, a oprócz walizek mieli również komplety kijów do golfa... Jednym słowem — Anglicy w każdym calu.

Młodzi ludzie kupili bilety drugiej klasy do Londynu — King Cross i zabrali się do posiłku. Oczywiście typowo angielskiego: herbata z termosu była z mlekiem, a kanapki trójkątne. Niestety dla nich — z kiełbasą! Tym bardziej niestety, że jedną nie dojedzoną kanapkę zostawili na stole...

Gdy pociąg odjechał, zawiadowca, kasjer, dyżurny ruchu i posługacz — czyli mister Brown w jednej osobie — zaczął sprzątać ze stołu.

Zaczął sprzątać i... „Co to za kiełbasa? Pierwszy raz w życiu taką widzę! Przecież ona jest z mięsa! To nie może być angielska kiełbasa! A więc jaka? Może niemiecka? Jeżeli tak — to byli szpiedzy!“

Mr. Brown pobiegł do telefonu i połączył się z „Police Station“ w Dundee...

No, i stało się!

Do przedziału zajmowanego przez Niemców weszło w Perth dwóch starszych panów. W Edynburgu wysiedli, a ich miejsce zajęło dwóch innych, którzy dojechali do Carlisle, gdzie z kolei zastąpili ich inspektorzy Scotland Yardu i policja mundurowa!

Zawartość bagaży: 10 000 funtów szterlingów „made in Germany“, broń, radiostacja, materiały wybuchowe, szyfry.

Wyrok: kara śmierci.

A wszystko przez czysto wieprzową kiełbasę — Echt Schweinwurst!

Northolt, 7 grudnia 1942 r.

Dwa angielskie komunikaciki:

1. „Sto naszych lekkich bombowców bombardowało w dniu wczorajszym fabryki radiowe Philipsa w Eindhoven w Holandii. Akcję rozpoczęto o godzinie 12,05 to jest po wyjściu robotników na obiad“.

2. „Na nadchodzące święta Bożego Narodzenia podwójny przydział herbaty otrzymają tylko ludzie po sześćdziesiątce“.

Komentarze chyba zbyteczne.

Londyn-Northolt, 28 grudnia 1942 r.

W drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia 50 mil od brzegów Anglii zatonął trafiony torpedą kuter rybacki. Zdawało się, że rozbitkowie, którzy na łodzi ratunkowej płynęli w kierunku lądu, będą ocaleni, bowiem zdołano jeszcze nadać sygnał SOS i uzyskać potwierdzenie jego odbioru przez znajdujące się w pobliżu inne statki i, co ważniejsze, prośbę o pomoc usłyszało najbliższe dowództwo Lotnictwa Przybrzeżnego (Costal Command). Morze było spokojne, do lądu stosunkowo blisko, a okręt podwodny — o dziwo! — nie wynurzył się i łódki nie zatopił.

Była godzina 7 rano. Zaczęło właśnie świtać, gdy usłyszano warkot silników samolotu! Pomoc, ratunek! To hydroplan, to na pewno Catalina albo Sunderland!

Warkot silników stawał się coraz wyraźniejszy i wreszcie na tle pochmurnego nieba ukazał się wielki samolot.

Niestety! — zamiast tęczyowych znaków lotnictwa brytyjskiego, na skrzydłach i sterze kierunkowym samolotu widniały wyraźnie znaki czarnej swastyki. Był to niemiecki Condor, wielosilnikowiec dalekiego bombardowania.

Samolot zniżył się do wysokości 100 metrów i począł krążyć nad łodzią.

Rybacy — o naiwni! — nie stracili nadziei i przy-

puszczali, że Niemcy udzielą im jednak pomocy zrzucając koce i żywność. Przypuszczenie to zmieniło się w pewność, gdy zobaczyli, że Condor zatoczył większą rundę i zniżywszy się do 20 metrów, wziął kurs na łódkę...

To, co się za chwilę stało, było tak potworne, było tak straszne w swej grozie i ohydzie, że nie wydaje się możliwe, aby mogło być prawdziwe. A jednak było, bo oto rozległ się nagle suchy trzask ognia karabinów maszynowych!

A może to strzelał jakiś potwór-degenerat? Nie, to strzelała cała załoga. Strzelano z przedniej wieżyczki, strzelał strzelec ogonowy, strzelano z obu burt Condora. Strzelali wszyscy. *W s z y s c y!**

*) Sprawozdawcy z procesu w Norymberdze donieśli swego czasu, że marszałek lotnictwa hitlerowskiego Herman Goering, przyznał się między innymi i do tego, że to właśnie on i jego generałowie, jak Kesselring, Student i inni, odpowiedzialni są za „ducha” lotników Luftwaffe.

Innymi słowy, przyznał się, że to właśnie oni odpowiedzialni są za wszystkie potworne wyczyny, za wszystkie łajdactwa, za wszystkie zbrodnie, za wszystkie akty straszliwego okrucieństwa, jakich dopuszczali się wszyscy, bez żadnych wyjątków, hitlerowscy bandyci powietrzni, podkomendni i uczniowie dowódców przeklętej i niesławnej pamięci gangsterskiej Luftwaffe!

Przyznał się, że to on właśnie i jego oficerowie byli mistrzami i wzorami dla tych super-lotrów, dla których szczytem marzeń było trafienie bombą w sam środek znaku Czerwonego Krzyża, dla których zamordowanie rozbitków na morzu, nieprzytomnych z pragnienia i głodu, lub rozstrzelanie bezbronnego lotnika, ratującego się na spadochronie, było punktem honoru, a zabicie dziecka na szosie było, stosownie do rozkazu, aby mordować wszystko, co się rusza lub stoi (autentyczne!) — legitymacją do awansów i dumy, prawem do zaszczytów i nagród!

Nieważne jest, jak nazywał się dowódca Condora, Wolf czy Müller, ważne jest tylko to, że wszyscy oni uprawiali

Londyn-Northolt, 21 stycznia 1943 r.

Wczoraj, kilka minut po 12, gdy siedzieliśmy w mesie przy obiedzie, odezwały się syreny i zaraz po nich zaczęła strzelać lotniskowa artyleria. Ponieważ po kilku chwilach alarm odwołano, przypuszczaliśmy, zrazu, że ukazał się tylko jakiś pojedynczy samolot.

Niestety, po godzinie nadeszły wiadomości, że była to próba większego raidu na Londyn, próba, która spowodowała okropne skutki. Trzydzieści niemieckich bombowców, osłanianych przez sto Focke-Wulfów, przeleciało tuż nad falami przez Kanał, kierując się nad stolicę. Pomimo że brytyjskie dywizjony nawiązały z nimi walkę jeszcze przed Londynem, sześć bombowców zdołało się przedostać i zrzucić bomby, z których kilka trafiło w Elementary School...

Czterdzieścioro ośmioro dzieci w wieku od pięciu do dziesięciu lat i pięciu nauczycieli poniosło śmierć. Strącono jedenaście samolotów niemieckich.

Londyn-Northolt, 3 lutego 1943 r.

Dzisiaj o godzinie 9,50 dywizjon nasz wraz z trzema dywizjonami angielskimi wyleciał osłaniać wyprawę bombowców.

Gdzieś nad celem, w okolicach Lille, angielskie dywizjony odleciały i nasz pozostał sam. Po kilku minutach dywizjon został zaatakowany przez trzydzieści Focke-Wulfów. Walka była nierówna — przewaga Niemców zupełna: 30:8.

Czterech pilotów nie wróciło do bazy. Trzech z nich skakało na spadochronach, czwarty — w palącej się maszynie doszedł aż do ziemi.

zbójcecki proceder z zamiłowania do zbrodni, z zamiłowania, wypływającego właśnie z tego ich „ducha”, którego twórcą byli ci, którzy obecnie wychowują nową Luftwaffe, wychowują w tym samym zapewne „duchu”! (Z. W.)

Londyn-Northolt, 21 lutego 1943 r.

Dzisiaj powrócił do dywizjonu kapitan K., który 3 lutego nie wrócił znanz Francji. Ponieważ dziewięć dni czekał w Gibraltarze na pogodę — ustanowił chyba rekord w szybkości powrotu z tamtej strony.

Opowiada, że podczas ostatniego, niefortunnego lotu nad Francją odłączył się od dywizjonu, ponieważ zobaczył kilka Focke-Wulfów, wylatujących sznurkiem z chmur, i postanowił zaatakować ostatniego. „Ostatni“ okazał się jednak przedostatnim, bowiem naprawdę ostatni siedział jeszcze w chmurach. Jednym słowem porządek był następujący: najpierw leciał przedostatni Niemiec, a za nim kapitan K., myśląc, że Niemiec jest ostatni i że naprawdę on sam jest ostatni. Za tymi dwoma „ostatnimi“ leciał Niemiec tym razem naprawdę ostatni i w momencie gdy kapitan K., siedząc przedostatniemu na ogonie, strzelał do niego z działek — sam dostał od ostatniego serię po skrzydło i w silnik. Samolot się zapalił i kapitan K. z 1000 stóp wyskoczył.

Wylądował szczęśliwie w jakichś krzakach, schował spadochron i zaczął uciekać. O szczegółach ucieczki, zobowiązany rozkazami, nie opowiadał nam nic, wiemy jednak, że był w Paryżu w kinie i że w Paryżu nocował. Znamy nawet szczegóły tej nocy i adres, lecz ze względu na powagę tego pamiętnika i moją wrodzoną skromność nie będę o tym pisał.

Londyn-Northolt, 4 marca 1943 r.

W nocy z 1 na 2 marca trzysta alianckich bombowców, w tym większość najcięższych, czterosilnikowych — bombardowało Berlin. Niemcy przylecieli z podziękowaniem w dwadzieścia pięć samolotów dzisiejszej nocy. Nalot nie spowodował większych strat, ale był przyczyną wypadku, którego skutki są wręcz tragiczne.

Stało się to w południowo-wschodniej dzielnicy

Londynu, niedaleko White Chapel. Do położonego głęboko pod ziemią schronu zaczęły podczas nalotu schodzić tłumy przechodniów. W pewnej chwili jakaś kobieta, mająca na ręku dziecko, upadła i narobiła wrzasku. Naturalnie dla wystraszonego tłumu nie było więcej potrzeba i tysiące ludzi zaczęło pchać się na dół, przewracając się i tratując nawzajem.

W rezultacie sto siedemdziesiąt osiem osób, w tym czterdzieścioro czworo dzieci zostało zaduszonych na śmierć, a sześćdziesiąt ciężko rannych. Cały wypadek nie bardzo jest zrozumiały, gdyż panika nie pasuje jakoś do Anglików.

Widocznie jednak tłum jest wszędzie jednakowy.

Londyn-Northolt, 11 marca 1943 r.

Zginął porucznik-pilot Tadzik Stabrowski, jeden z najbardziej lubianych przez nas wszystkich kolegów.

Sekcja Spitfire'ów — on i sierżant D., poleciała do Francji na tak zwany rhubarb. Lot taki ma za zadanie niszczenie celów ziemnych i odbywa się tuż nad ziemią.

Po godzinnym locie, podczas którego zniszczyli kilka parowozów, ostrzelali jakieś wojskowe samochody niemieckie na szosach oraz atakowali magazyny i koszary — porucznik Stabrowski powiedział przez radio, że ma uszkodzony silnik i że będzie pewno skakać lub lądować, wreszcie zdecydował się jednak lecieć do Anglii.

Sierżant D., który cały czas trzymał się razem z Tadzikiem, zobaczył, że silnik samolotu Tadzika zaczął bardzo „nawalać“ i w pewnej chwili ukazał się gęsty, biały dym. Po dalszych pięciu minutach lotu (znajdowali się wówczas około 10 mil od brzegów Francji) samolot osiadł na falach.

Tadzik jednakże nie wychodził z kabiny pilota i dopiero gdy samolot, zanurzony w wodę, zginął pod wodą — sierżant D. zobaczył, że pilot wypłynął

na powierzchnię, utrzymywany przez may-westkę. Był widocznie nieprzytomny, gdyż się nie poruszał.

Sierżant krążąc nad miejscem katastrofy prosił OPS o ustalenie jego pozycji i wysłanie pomocy, lecz po kilkunastu minutach musiał odlecieć, gdyż kończyło mu się paliwo.

Nastąpił moment najbardziej tragiczny. Wodnopławowiec wysłany na pomoc znalazł pływającego Tadzika, lecz... stracił go z oczu przed wodowaniem i nie mogąc odnaleźć powtórnie — wrócił do bazy! Zapadł zmrok...

A wieczorem w oficerskiej mesie odbył się dawno zapowiadziany dancing. Bawiono się wesoło. Śmiano się nawet. Może co prawda zbyt głośno i trochę głupio.

Tadzik lubił sobie popić, miał duże poczucie humoru i udawał pesymistę. Pamiętam, jak kilka dni temu opowiadał mi w kasynie przy kieliszku o swojej najstraszniejszej przygodzie w życiu. Przygodzie, która mogła zakończyć się tak okropnie, że na samą myśl o takim końcu przechodzą go dreszcze.

— Niemca — mówił — zobaczyłem z daleka i zacząłem go gonić. Niestety byłem niżej od niego i musiałem trochę ciągnąć. Po paru minutach, widząc, że wszystkie moje wysiłki nie przydadzą się na nic, chwyciłem się ostatniego środka. Uczyniłem mianowicie ślub! „Panie Boże kochany — powiedziałem — jeżeli pozwolisz mi dogonić szkopa, obiecuję Ci solennie, że już nigdy w życiu nie wezmę kieliszka do ust!”

...Wyobraź sobie, gdy tylko ten ślub uczyniłem, ogarnęło mnie prawdziwe przerażenie! Co ja najlepszego zrobiłem! A nuż go dogonię i co będzie! Mleko będę pił? Żebym osiwiiał? No, ale stało się. Goniłem go dalej, lecz — przyznaję się — już bez entuzjazmu.

...Niemca, jak widzisz — wskazał na kieliszek — nie dogoniłem. Twoje zdrowie, stary, i... tego szkopa, porządny był chłopak.

Tadzik ożenił się dwa lata temu z młodziutką

Angielką. Mieli rocznego synka. Jutro wyjeżdżam do Southportu pod Liverpooliem, aby osobiście panią Stabrowską zawiadomić.

Londyn-Northolt, 13 kwietnia 1943 r.

Kampania afrykańska ma się chyba ku końcowi. 8 armia, która niedawno zdobyła tak zwaną „Linie Mareth“ — zajęła obecnie Gabes, Sfax i Suesse, gdzie połączyła się z Amerykanami, atakującymi z zachodu przez Kairouan. Niemcy cofają się w walkach na ostatni już skrawek Tunisu, to jest na port Tunis i Bizertę, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa armie sprzymierzone powinny Niemcom urządzić tym razem ich „Dunkierkę“.

Ofensywa powietrzna na Niemcy przybiera coraz większe rozmiary. Bombardowano ostatnio Monachium, Norymbergę, Essen i Kolonię.

Jak to przyjemnie zasypiać, słysząc w powietrzu głuchy warkot tysięcy silników ogromnych Lancasterów, Sterlingów, Halifaxów, które obciążone straszliwymi bombami biorą kierunek na wschód. I tak co noc... co noc... co noc...

Church Fenton, 26 maja 1943 r.

Wczoraj rzucono na Düsseldorf 2000 ton bomb i tym samym przekroczono pierwsze 100 000 ton.-

W związku z tą okrągłą liczbą, marszałek Harris, dowódca lotnictwa bombowego RAF-u, oświadczył:

„Następna porcja 100 000 ton będzie Niemcom dostarczona w znacznie krótszym czasie i w lepszym gatunku“.

Jeżeli to prawda, że Goering przysiągł, iż włosy mu na dłoni wyrosną, jeżeli choć jedna bomba nieprzyjacielska upadnie na Rzeszę — to chyba chodzi teraz owłosiony jak mała.

Dzisiaj przyleciał dowódca 2 Skrzydła Myśliwskiego i miał z nami odprawę. Tematem jej były wypadki, jakie zaszły ostatnio w dywizjonie, ich (według pana majora) powody i jego (pana majora) decyzje. Pan major zakomunikował nam, że drastyczne przesunięcia personalne to wyłącznie jego decyzja, którą zmuszony był powziąć dla wzmożenia dyscypliny. Następnie pan major powiedział nam, jaki (według niego) powinien być pilot myśliwski. Powinien mianowicie chodzić stale do kościoła, nie powinien za dużo myśleć, a jak „dziura się w skarpetce zrobi, to wyrzuca skarpetki za okno, a nie ceruje“. Taki powinien być pilot myśliwski.

Przykro mi bardzo, ale niestety nigdy już nie będę pilotem myśliwskim. Nie chodzę bowiem stale do kościoła, lubię myśleć i aczkolwiek nie lubię, ale ceruję skarpetki, bo nie mam kuponów.

Sytuacja jest jednak znacznie poważniejsza, bowiem przeprowadzona przeze mnie od ręki ankieta między pilotami wykazała, że prawie wszyscy oni nie są pilotami myśliwskimi, ponieważ również nie chodzą stale do kościoła i lubią myśleć, a najlepiej im się myśli, gdy cerują skarpetki.

Oj, panie majorze! Jest pan stanowczo doskonałym pilotem myśliwskim, aczkolwiek nie wierzę, że pan ma całe skarpetki, nie wierzę również, że pan wyrzuca je przez okno, wierzę natomiast, że jest pan bardzo pobożny i że pan myśli z trudnością. Gdybym się bowiem mylił, nie mógłbym na pewno wyciągu z opracowanej przez pana instrukcji przekazać historii, co niniejszym czynię: „Dotychczas stosowany lot bojowy zaszczepił w pilotów bardzo niebezpieczny moment, a mianowicie:

Pilot myśliwski posiada w ogonie drugi samolot. Jestem przekonany, że wielu pilotów zostało zestrzelonych, myśląc, że w ogonie znajduje się jego kolega z czwórki, jednak okazało się być to F.W. lub Me.

Pilot myśliwski powinien być uczony i przyzwy-

czajony do jednej tezy, że jeśli ktoś jest ci w ogonie, to ma chęć ciebie zestrzelić“ (Dosłownie!).

Zdaję sobie sprawę, że robiąc niniejszy wyciąg, popełniam przestępstwo, albowiem instrukcja ta jest chyba ściśle tajna. Dreszcze przechodzą mnie na myśl, że o jej treści dowiedzieć się może nieprzyjaciel. Nie wiem co prawda, jak zareagowałby on na wiadomość, że nasze samoloty myśliwskie mają schowane w ogonie drugie samoloty, o których nie wie nawet pilot, który jest przekonany, że ma w ogonie kolegę z czwórki. Nie wiem również, po co piloci zabierają ze sobą do ogona kolegę, skoro kolega taki, siedząc sobie w ogonie, nabiera nieodpartej chęci, stosownie zresztą do instrukcji, zestrzelić swego przyjaciela. To jest bardzo przykra teza i należałoby jej za wszelką cenę unikać, a nie przyzwyczajając do niej uczonych pilotów — jak sobie życzy pan major.

Ale mniejsza o to. Może pan być pewny, że pisząc powyższą instrukcję, przysłużył się pan dobrze polskiemu lotnictwu. Nie tylko zresztą na polu literatury wykszoleniowej, pamiętamy bowiem, że stracił pan kilka samolotów nieprzyjacielskich i nigdy panu tego nie zapomnimy.

Wracam jednak do instrukcji. Przeżywamy tak tragiczne chwile, ogarnia nas czasem zupełna rezygnacja, jesteśmy smutni, milczący, apatyczni i gdyby właśnie nie one, te kochane instrukcje i rozkazy, życie nasze byłoby już tak beznadziejne, jak życie tej małpy, za którą ugania się po Northolt pan pułkownik Mümmler.

Polski Komendant stacji Northolt

L. Dz. 35/43.

M. p. dnia 27. 4. 1943

w/g rozdzielnika

Obserwacja posiadaczy wałęsających się psów, kotów, małp w kasynie oficerskim wykazała, że oni

nie umieją się prawidłowo zaopiekować zwierzętami. To dalej spowodowało, że zamiast aby zwierzęta były uprzyjemnieniem życia na stacji dla wszystkich, to stają się one udręczeniem.

Śmierdzi przez nich już całe kasyno oficerskie, zapaskudzają go w dzień i w nocy, zanieczyszczają kuchnię, gryzą jak mała — ludzi. Służba codziennie sprząając odchody zwierzęce wykazuje niezadowolenie, jak również i kuchnia żali się, że zwierzęta zanieczyszczają produkty żywnościowe.

Ten stan dalej nie jest do tolerowania. Uprzedzam zatem posiadaczy zwierząt, że mając na względzie — higienę kasyna, zdrowotność oficerów, bezpieczeństwo ludzi oraz uchwałę ofic. zabraniającą sprowadzania i przebywania zwierząt w kasynie oficerskim, że jeżeli nie zapewnią takiej opieki nad zwierzętami, aby one zniknęły z kasyna na stałe — to zarządę sporadyczne, przymusowe usuwanie uciążliwych zwierząt ze stacji, bez powiadomienia ich posiadaczy.

Kasyno oficerskie bowiem jest higienicznym miejscem wypoczynku i rozrywki — a nie ustępem zwierzęcym.

Polski Komendant Stacji
z r. St. B..... kpt. obs.
MÜMLER
ppłk-pilot

Church Fenton, 2 czerwca 1943 r.

Kampania afrykańska zakończyła się prawdziwą klęską „Africa Korps“ i Włochów, którzy nie zdecydowali się na próby ewakuacji, wołąc się poddać, i to prawie bez walki.

Anglicy i Amerykanie przyznają się szczerze, że nie oczekiwali podobnych sukcesów, toteż można sobie wyobrazić ich głupie miny, gdy zadyszani i z wywie-

szonymi językami stanęli nad całym wybrzeżem Tunisu!

Zachowania się Niemców i Włochów nie można sobie wytłumaczyć inaczej, jak tylko zupełnym załamaniem się ich „morał”. Warunki terenowe do obrony mieli doskonałe, a amunicji i sprzętu, dowożonego z Włoch do ostatnich chwil, pod dostatkiem.

Ogółem poddało się, niejednokrotnie całymi batalionami i pułkami z orkiestrą na czele, 224 000 żołnierzy (?!), włączając w tę liczbę generała Arnina, głównego szkopa, jakiegoś „marszałka” włoskiego i kilkunastu jeszcze generałów. Wszyscy kompletni — z monoklami.

Bezpośrednio po zakończeniu działań na lądzie, Alianci, rozporządzając teraz doskonałymi bazami, rozpoczęli wielką ofensywę lotniczą na Włochy. Przez całą dobę bez przerwy setki bombowców brytyjskich i amerykańskich bombardują Sycylię, Sycylię, Pantelarię, Lampeduzę oraz główne, przeważnie na południu położone, porty włoskie.

Ma to być podobno pierwsza faza inwazji kontynentu i jednocześnie próba „wybombardowania” Włoch z wojny.

Równocześnie z bombardowaniem Włoch, celem ich „wybombardowania”, bombardowane są Niemcy, celem, jak mówią Anglicy, ich „zmiękczenia”... Niemcy są wściekli i odgrają się odwetem.

Ciekaw jestem, gdy się nawzajem zaczną zmiękczać, komu najpierw zmięknie. I co? Ja osobiście na samą myśl o tym wszystkim zaczynam mięknąć. Nie tylko na myśl, co się tam musi dziać na ziemi, w bombardowanym mieście, gdy co sekunda pada przeszło tona bomb, lecz na myśl o tym — ile to wszystko kosztuje? I co za to wszystko można byłoby kupić, co wybudować, ile uniknąć nieszczęść...

Zabił się podczas lotu treningowego porucznik Adam Habela.

Wczoraj, około godziny 21, zginął w wypadku lotniczym w Gibraltarze generał Sikorski.

Generał wracał do Wielkiej Brytanii z podróży na Bliski Wschód. Start w Gibraltarze był startem do ostatniego etapu.

Szczegółów katastrofy jeszcze nie znamy, ale te, które nadeszły, są bardzo zastanawiające i jeżeli są prawdziwe, dowodzą chyba na pewno, że zaszedł wypadek sabotażu.

Czterosilnikowy amerykański bombowiec Liberator, pilotowany (jakby nie było naszych pilotów) przez czeskiego pilota, w kilka chwil po starcie i po przelecie około 300 metrów — pionową piką wpadł do morza w pobliżu wybrzeża. Zginęli wszyscy oprócz czeskiego pilota.

Zdaniem ekspertów katastrofa spowodowana została defektem silników. Jest to diagnoza zupełnie niezwykła, albowiem gdyby nawet z czterech silników dwa zepsuły się jednocześnie, co się nie zdarza chyba nigdy, aczkolwiek teoretycznie jest możliwe — to i tak dwa pozostałe wystarczyłyby w zupełności do utrzymania w powietrzu samolotu tego typu. Musiała być inna przyczyna i rzeczywiście okoliczności wypadku wskazują, że był to defekt, i to zupełny, sterów ogonowych.

Na pokładzie znajdowała się załoga złożona z sześciu osób oraz jedenastu pasażerów. Zginęli między innymi: Zofia Leśniewska, córka Generała, komendantka plutonu Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet, generał Klimecki, szef sztabu Naczelnego Wodza, pułkownik Marecki, pułkownik Gralewski, porucznik Ponikiewski, adiutant Kułakowski, sekretarz osobisty, oraz dwóch Anglików, członków parlamentu — pułkownik V. A. Cazalet, wielki przyjaciel Polaków, i brygadier J. P. Whiteley, poseł z Buckingham.

Zwłoki Generała będą przewiezione na pokładzie

polskiego kontrtorpedowca „Orkan“ do Anglii i pochowane czasowo na cmentarzu polskich lotników w Newark.

Hutton-Cranswick, 11 lipca 1943 r.

„Dzień ten, 10 lipca 1943 roku, przejdzie do historii. Jest to dzień, w którym angielsko-amerykańskie Armie Wolności, rzuciły się do pierwszego ataku przeciw hitlerowskiej fortecy — Europie... To jest dzień, w którym nadzieje milionów nazistowskich ofiar, zaczynają się spełniać“ („Sunday Dispatch“ 11.7.43.)

Inwazja Sycylii rozpoczęła się o godzinie 3 rano. Tysiące samolotów różnego typu stworzyło prawdziwy parasol nad wybrzeżem długości około 160 kilometrów, rzucając bomby na pierwszą linię obrony. Jednocześnie wielka armada inwazyjna, licząca 3 000 okrętów i specjalnych barek, a chroniona przez potężne jednostki bojowe — zbliżyła się do brzegów.*

Według dotychczas otrzymanych wiadomości zdobyto już pierwszą linię umocnień i zajęto teren około 10 mil w głąb wyspy. Wyładowanie dalszych transportów trwa.

Że też Anglicy i Amerykanie nie mogą nic zrobić bez głupich „kawałów“! Albowiem dobrym chyba było żartem wysłanie stu czterosilnikowych bombowców z pół milionem kilogramów bomb na jedną pocztę! Co prawda w budynku pocztowym obrał sobie kwatery sztab niemiecki, ale pięćset ton, to już stanowczo gruba przesada. Czteryście wystarczyłoby zupełnie.

Hutton-Cranswick, 20 lipca 1943 r.

Na Sycylii wszystko odbywa się według planu. Tym razem jednak według planu Aliantów. Zdobyto

*) Pierwszy rzut inwazyjny liczył: 160 000 żołnierzy, 14 000 pojazdów mechanicznych, 600 czołgów i 1800 dział.

już następujące miasta i porty: Syrakuzy, Licatę, Augustę, Narro, Comiso, Castelvetro i Caltanissette. Wojska alianckie znajdują się obecnie w odległości około 3 mil od Catanii.

Sekretarz partii faszystowskiej, Scorza, wygłosił do Włochów przez radio wzruszający apel i zakończył go czterokrotnym błagalnym wezwaniem: „Włosi! brońcie się!”

Ale Włosi nie bardzo chcą się bronić i poddają się masowo. Trzeba było jeszcze ze dwa razy powiedzieć „brońcie się” i wszystko byłoby załatwione pomyślnie — Włosi broniliby się z zapalem.

Ilość jeńców przekracza już 70 000. W tym sześciu „generałów” i dwóch... „admiratów”. Ci ostatni uciekali na kajakach z żaglem.

Wczoraj o godzinie 11,13 przed południem upadła na Rzym pierwsza w tej wojnie bomba. Pierwsza z ogólnej wagi siedmiuset tysięcy kilogramów, zrzuconych bezpośrednio po niej przez pięćset ciężkich i średnich bombowców amerykańskich.

Mimo że głównym celem były niewątpliwie dworce kolejowe, lotniska i fabryki — nie mogło się obejść bez masakry ludności cywilnej. Według radia rzymskiego, 717 osób poniosło śmierć, a 1599 było rannych.

Wrzask podniósł się niesamowity. Niemcy aż charczą z wściekłości. „To zbrodnia bez przykładu w dziejach, to wojna wypowiedziana chrześcijaństwu przez żydów, to wandalizm, mrozący krew w żyłach” itd., itd.

Hutton-Cranswick, 26 lipca 1943 r.

W dniu wczorajszym, o godzinie 22,45 radiostacja rzymska podała, że król włoski przyjął dymisję Mussoliniego jako szefa rządu i ministra spraw zagranicznych i że mianował marszałka Badoglio jego następcą. Tego samego Badoglio, który przeciw bezbronnym Abisyńczykom użył gazów trujących.

W opublikowanym jednocześnie orędziu do narodu włoskiego król oświadczył, że objął naczelne dowództwo

wszystkich sił zbrojnych i że wzywa Włochów do dalszego spełniania swych obowiązków. Poza tym powiedział, że każdy Włoch powinien uchylić głowy przed ciężkimi ranami, jakie pokryły świętą ziemię ojczyzny, że dzięki bohaterstwu... że determinacja... odrodzenie... nieśmiertelność... dziejowa misja itd.

Sam miód! Tak samo przemawiał Pétain.

Nie powrócił z lotu bojowego — prawdopodobnie zginął — porucznik Iliński.

Hutton-Cranswick, 28 lipca 1943 r.

Tak, to jest prawda, że Anglicy lubią się zakładać i lubią się hazardować. Ale pod jednym warunkiem: muszą mieć szanse. Grają na psich i końskich wyścigach, bowiem mają szanse wygrania, natomiast nie bronią, tak jak my, beznadziejnego dobra, bowiem szansa wygrania partii jest zupełnie znikoma. Nie licytują tak jak my, szlemika czy szlema mając dwadzieścia punktów w kartach, bo to nie ma sensu, ale sam byłem świadkiem jak w restauracji „Regent Palace Hotelu“ chodził od stolika do stolika jakiś typ, proponując gościom zakład:

— Założę się o funta, że pańska zapalniczka nie zapali się od pierwszego przytknięcia.

Nie było chyba Anglika, który by zakładu takiego nie przyjął. Wszyscy przytkali, płacili lub brali pieniądze, śmiejąc się ochoczo.

Klasowa loteria pieniężna w Anglii nie istnieje. Była swego czasu, ale splajtowała: nie dawała wystarczających szans, toteż nie zyskała klientów.

— Loteria klasowa? Nie. Szkoda pieniędzy. W każdej takiej loterii jest jedna główna wygrana na miesiąc, a więc dwanaście wygranych na rok. Ponieważ, jak twierdzi statystyka, sto dwadzieścia osób ginie rocznie w Anglii od pioruna — rachunek prosty: masz dziesięć razy więcej szans, że cię piorun trzaśnie niż że wygrasz na loterii. To żaden business.

Poczucie humoru to, można śmiało twierdzić, cecha narodowa Anglików, jednakże ich dowcipy mają inny charakter, charakter czystego nonsensu (pure nonsense). Jako przykład notuję kilka z nich:

Do kawiarni wchodzi gość z psem. Siadają przy stoliku i zaczynają grać w szachy. Po jakimś czasie ktoś odzywa się do właściciela pudła:

— Ma pan bardzo mądrego psa.

— Gdzie on tam mądry, proszę pana, już dwa razy przegrał!

Na ławce w Hyde Parku siedzi gentleman i czyta „Daily Express“. Obok siedzi kot i czyta „Times’a“.

— To pański kot? — zapytuje przechodzień.

— Nie, mój czyta tylko „Daily Herald“.

Zaprzężony do bryczki stoi przed fermą stary, wychudzony koń. Ktoś spogląda na niego z politowaniem. Koń to widzi i odzywa się:

— Niech pan tak na mnie nie patrzy. Ja też swe go czasu byłem dobrym koniem. Dziesięć lat temu to nawet Derby wygrałem.

Zdumiony przechodzień mówi do farmera, który podszedł właśnie do bryczki:

— Co za cudowny koń! Ludzkim głosem do mnie przemówił. Powiedział, że był dobrym koniem i że nawet Derby wygrał!

A na to farmer:

— Niech mu pan nie wierzy — kłamie! On nigdy Derby nie wygrał!

Czy Anglicy mają wyobraźnię i szybką orientację — nie wiem. Dotychczas byłem przekonany, że nie mają, ale obecnie jestem zdezorientowany.

Że nie mają, świadczyłby następujący fakt:

Gdy dywizjon nasz stacjonuje gdzieś na głuchej prowincji, często jeździmy wieczorami do najbliższego miasteczka do kina. Otóż stwierdzam, że my, Polacy,

zawsze zaczynamy się śmiać, natychmiast gdy padnie na ekranie jakiś „kawał“ — natomiast Anglicy milczą wtedy grobowo i-wybuchają śmiechem, dopiero gdy żart zrozumieją, to jest wówczas, gdy my śmiać się już dawno przestaliśmy. Jednym słowem, widownia stale rechocze, tylko nie wszyscy razem: my zawsze pierwsi, i to o dobre kilka sekund. Oprócz oczywiście Suchego — on śmieje się razem z Anglikami, a jeżeli śmieje się razem z nami, to zawsze z kawału poprzedniego, czyli po Anglikach.

A więc zdawałoby się, że wyobraźnią i orientacją Anglicy nie grzeszą, ale — o dziwo! — następne dwie angielskie anegdotki świadczą o czymś wręcz przeciwnym.

Oto owe anegdotki:

Wiejski fryzjer palił na podwórzu zmiotki z podłogi, gdy szosą maszerował dziarsko oddział Kobiecej Służby Pomocniczej.

Gdy tylko żołnierze w spódnicach poczuli swąd palących się włosów — jedna z nich zwróciła uwagę prowadzącej oddział, tymi słowy:

— Sierzancie, czy aby nie maszerujemy za szybko?

— Moja droga — zwraca się mr. Brown do swojej żony — skąd masz tę ćwiartkę cielęciny?

— A, widzisz, znajomy rzeźnik dał mi ją bez kartek.

Na drugi dzień:

— Moja droga, skąd masz te czekoladki?

— A, widzisz, znajomy cukiernik dał mi je bez kartek.

Na następny dzień:

— Moja droga, skąd masz tyle jajek i masła?

— A, widzisz, znajomy mleczarz dał mi je bez kartek.

Któregoś dnia mr. Brown przychodzi do domu i wi-

dząc, że żona, objąwszy rękami kolana, siedzi na dywanie tuż przy kominku, zwraca się do niej:

— Be careful, you'll burn your ration-card. (Bądź ostrożna, możesz spalić swoją kartę żywnościową)...

A więc mają czy nie mają? Nie wiem.

Hutton-Cranswick, 2 września 1943 r.

Wczoraj, w czwartą rocznicę wybuchu wojny rzucono na Berlin tysiąc osiemset ton bomb.

How are you, Herman?

Hutton-Cranswick, 25 października 1943 r.

„Przemysł amerykański produkuje jeden samolot co pięć minut, a więc około 9 000 miesięcznie. Od stycznia 1942 do września 1943 r. Stany Zjednoczone wyprodukowały 110 000 samolotów bojowych i krzywa produkcji wzrasta nieustannie. Ponadto w tym samym okresie wyprodukowano około 60 000 czołgów, 21 milionów ton żeluzgi handlowej oraz 3 miliony ton okrętów wojennych. Poza tym 170 000 dział wszelkiego kalibru i 8 200 000 karabinów maszynowych“. (Dziennik Polski z dn. 25. 10. 43 r.)

Hutton-Cranswick, 7 listopada 1943 r.

W związku z komunikatem radia niemieckiego, że bomby lotnicze, które w dniu 5 bm. spadły na terytorium Watykanu, były zrzucone przez lotnictwo brytyjskie — RAF wyjaśnia, że:

„W nocy krytycznej ani jeden samolot nie był w akcji. Ponieważ nieprzyjaciel jest w posiadaniu zdobytych bomb brytyjskich, tego rodzaju niemiecka prowokacja była oczekiwana i już niejednokrotnie Kwartera Główna RAF przed nią ostrzegała.

Bomby na Watykan zrzucone zostały przez Luftwaffe“.

Wróciłem wczoraj z urlopu, który spędzałem w małej nadmorskiej mieścinie Monkseaton pod Newcastle on Tyne, na wschodnim wybrzeżu. Zaprosiła mnie mrs. Magde Davies, którą poznałem jeszcze w Blackpool. Mąż jej, przemiły marynarz, pływa na pomocniczym lotniskowcu „Athene“ gdzieś po oceanach, a ona robi na drutach i wychowuje swego synka, czteroletniego Michała.

Magde, jak zresztą każda Angielka, jest bardzo łatwowierna, szczerą, prawdomówną, a będąc katoliczką, jest nią naprawdę. Tę ostatnią cechę wykorzystuje również i dla celów ściśle osobistych. W liście, w którym zapraszała mnie na urlop, znajdował się jednofuntowy banknot z prośbą o kupno perfum u Atkinsona w Londynie. Zdziwiłem się, że list nie był polecony, lecz zwykły, i nie przypuszczałem nigdy, że umieszczone na odwrocie koperty duże, na czerwono podkreślone litery S. A. G. miały z tą sprawą coś wspólnego. Przypuszczałem raczej i przypuszczeniem tym byłem zażenowany, że są one jakimś słodkim słówkiem, na przykład: Sweet Angel Get — słodki aniele, przybywaj albo: Solace Alone Girl — pociesz samotną panienkę, lub coś podobnego.

Okazało się jednak, że zażenowałem się zupełnie niepotrzebnie, albowiem Magde, nie chcąc wydawać na list polecony, a bojąc się jednocześnie, aby nie zginął — napisała powyższe literki, które ni mniej ni więcej oznaczają: Saint Anthony Guide! — Święty Antoni, prowadź! Jest to podobno nadzwyczajny sposób. Pewny i niekosztowny. Możliwy naturalnie tylko w Anglii. I jak tu Magde i jej rodaków nie lubić?

W ogóle egzotyka! Jako drugi przykład może służyć fakt następujący: miesięcznych poborów nie wypłaca nam płatnik oddziału osobiście, lecz przekazuje należności na konto oficera w banku. Wysłałem kiedyś do banku czek na 30 funtów z prośbą o przysłanie mi pieniędzy do domu.

Któregoś dnia wróciwszy po służbie zastałem w przedpokoju na podłodze grubą płócienną kopertę bankową, a w niej owe 30 funtów. Było to w dzień powszedni i dopiero po kilku dniach, w niedzielę rano, przyszedł listonosz.

— Proszę pana, kilka dni temu wrzuciłem przez szparę w drzwiach adresowaną do pana kopertę z banku z pieniędzmi. Proszę pana o jej pokwitowanie.

Kiedy u nas, w Polsce, będzie możliwa taka „egzotyka“?

A propos poborów: pensje za kwiecień i czerwiec są niższe niż za marzec i maj. Dlaczego? Bardzo proste: kwiecień i czerwiec mają po 30 dni, a marzec i maj po 31!!

Hutton-Cranswick, 4 grudnia 1943 r.

Naczelny Wódz, generał Sosnkowski, zmienił napis na polskich sztandarach wojskowych. Zamiast „Honor i Ojczyzna“ ma być obecnie — „Bóg, Honor i Ojczyzna“.

W pierwszych dniach ubiegłego miesiąca pan generał Sosnkowski wysłuchał uroczystej mszy świętej i odprowadzony na lotnisko przez generała Hallera i księdza Kaczyńskiego — dwóch ministrów, poleciał na Middle East odwiedzić naszą armię.

Bezpośrednio po przybyciu do Jerozolimy udał się do Grobu Chrystusa i do wszystkich innych świętych miejsc. W kościele Świętej Anny powitał Naczelnego Wodza ksiądz Rektor Konwentu Ojców Białych, po czym Naczelny Wódz udał się do kościoła „Ecce Homo“, gdzie ofiarował jako votum swój order „Virtuti Militari“.

Po zwiedzeniu Bazyliki Konania oraz kościoła Grobu Matki Bożej, generał Sosnkowski odjechał do Betelem, gdzie spędził dłuższą chwilę na modlitwie przed miejscem urodzenia Chrystusa Pana.

Pan generał zwiedził również muzeum pamiątek

religijnych Ziemi Świętej, skompletowanych przez księdza kapelana Kucharskiego, i na jego ręce złożył pewną kwotę, zapoczątkowując listę składek na rzecz budowy polskiego ołtarzyka w Bazylice w Ogrodzie Getsemani, położonym na zboczach Góry Oliwnej. W miejscu tym Jezus Chrystus zebrał się ze swymi Uczniami w przeddzień ukrzyżowania. Za czasów Chrystusa był to ogród owocowy, lecz później Ojcowie Franciszkanie zasiali w tym miejscu kwiaty.*

W następnym punkcie programu pan generał Sosnkowski udał się na wizytację Wojsk Polskich.

Podobno kilka naszych dywizjonów myśliwskich ma otrzymać amerykańskie samoloty Thunderbolty, których szybkość jest większa niż szybkość głosu!

Hutton-Cranswick, 2 stycznia 1944 r.

W nocy spać nie można, bo RAF leci nad Niemcy; wieczorem spać nie można, bo Amerykanie wracają znad Niemiec; rano spać nie można, bo RAF wraca znad Niemiec; w dzień spać nie można, bo Amerykanie lecą nad Niemcy. I tak w kółko bez przerwy. Dzień i noc, dzień i noc, z każdego zakątka wyspy, z każdego lotniska. A propos — z każdego lotniska: przed wojną było ich w Anglii dwanaście, teraz jest... osiemset!

Tak, to chyba już ostatni roczek sześcioletniego „Blitzkriegu“ i „tysiącletniej“ Rzeszy.

Z zasady nie wierzę różnym urzędowym przyrzeczeniom, ale czyniąc wyjątek uwierzyłem, że sprawdzą się słowa moskiewskiego radia, które w dzień noworoczny tak przemówiło do Niemców:

„Ubiegłego roku uprzedziliśmy was, że RAF będzie bezlitośnie bombardował wasze miasta; że Armia Czerwona będzie atakować wiosną, latem i zimą. Wyście nie wierzyli.

Dzisiaj, kiedy naród niemiecki, nie mając już żad-

*) Dziennik Polski Nr Nr 1041 i 1046/43

nej nadziei, obchodzi najsmutniejszy od czasów swego istnienia Nowy Rok — mówimy wam, że rok 1943 był niczym w porównaniu do roku nadchodzącego.

Mieszkańcy Berlina mogą nie wierzyć, ale jeżeli przyjdzie przeżyć im rok 1944, to wspominać będą rok ubiegły jako spokojny, szczęśliwy i słodki sen“.

Przepowiednia ta rozczuliła mnie ogromnie, toteż kończąc tę krótką notatkę, przenoszę się myślą do Reichskanzlei w Berlinie, nad którym dymy pożarów sięgają 5 000 metrów, i nucę miękkiem barytonem:

— A lulaj-że mi, lulaj-że mi, lulaj
Lulaj słodka maaaaaa dzieciino...

Hutton-Cranswick, 22 lutego 1944 r.

Jedyny na wysokim poziomie tygodnik „Wiadomości Polskie“ został niedawno zawieszony. Sprawa ta była w dniu 16 lutego poruszona w Izbie Gmin.

W odpowiedzi na pytania posłów, minister informacji, pan Brendan Bracken, motywował swą decyzję, twierdząc, że pismo to „poświęcało wiele miejsca gwałtownym atakom na rząd sowiecki“.

„Napastliwie atakowało ono również rząd polski. Pomimo więcej niż jednego ostrzeżenia pismo to nadal usiłowało siać niezgodę wśród naszych sojuszników, a wyjątki z jego artykułów były wykorzystywane przez niemiecką propagandę“ — twierdził pan Bracken, oświadczając kategorycznie, że nie zamierza cofnąć swej decyzji położenia kresu „szkodliwej działalności“ tego pisma.

Wyjaśnienia ministra informacji spotkały się z zastrzeżeniami ze strony niektórych posłów. Sir Archibald Southby, poseł partii konserwatywnej, zadał ministrowi następujące pytanie: „Czy może mi pan powiedzieć, jak ma się wyrazić swobodna opinia polska, jeśli jedna strona zagadnienia nie jest omawiana na skutek zakazu wydawania pism?“

W odpowiedzi swojej pan Bracken wskazał na

istnienie dużej liczby pism polskich na terenie Wielkiej Brytanii. Wysunął on również argument, że nie po to marynarze brytyjscy przewożą papier przez ocean, by „dać sposobność cudzoziemcom w tym kraju pomagania propagandzistom niemieckim w sianiu niezgody“.

Odpowiadając posłowi Partii Pracy Mac Governowi, minister Bracken oświadczył, że rząd brytyjski nie otrzymał „żadnej sugestii ze strony rządu sowieckiego na temat stosunków z prasą polską“.

„Nie jest zbrodnią krytykować jakikolwiek rząd, rosyjski czy inny — oświadczył na zakończenie minister informacji — ale powiedziałbym, że zbliżamy się do najstraszliwszych dni wojny i na pewno mądrze postępują ci, którzy usiłują doprowadzić do jedności pomiędzy naszymi sojusznikami, a nie ci, którzy usiłują wywołać niepokoje“.

Hutton-Cranswick, 23 lutego 1944 r.

Wczoraj przemawiał premier Churchill. Mówiąc o zagadnieniu polsko-rosyjskim, oświadczył:

„Los narodu polskiego zajmuje czołowe miejsce w myślach i w polityce Rządu i Parlamentu brytyjskiego.

Z przyjemnością usłyszałem od marszałka Stalina, że i on zdecydowany jest co do stworzenia i utrzymania silnej, całej (integral) i niepodległej Polski, jako jednego z kierujących mocarstw w Europie. Oświadczenie to było powtórzone kilkakrotnie i jestem przekonany, że wyraża ustaloną politykę Związku Sowieckiego.

Nie gwarantowaliśmy nigdy żadnej określonej (particular) linii granicznej dla Polski. Nie wyrażaliśmy zgody na polską okupację Wilna w roku 1920, ale brytyjski pogląd w roku 1919 znalazł swój wyraz w tak zwanej Linii Curzona“.

Premier Churchill oświadczył dalej, iż zawsze był zdania, że sprawy poprawek granicznych powinny cze-

kać aż do końca wojny, ale fakt, że Rosjanie walczą obecnie w Polsce, uczynił rzeczą niezbędną doprowadzenie do jakiegoś układu.

„W ciągu ostatnich kilku tygodni sekretarz Spraw Zagranicznych (Eden) i ja wspólnie pracowaliśmy z Rządem polskim w Londynie celem ustalenia skutecznego porozumienia (working agreement), na którego podstawie mogłyby działać siły walczące i można by zbudować coraz mocniejsze sklepienie zaufania i braterstwa między Rosją a Polską.

Odczuwam głęboką sympatię do Polaków, ale również mam zrozumienie dla stanowiska rosyjskiego. Oswojenie Polski może być obecnie osiągnięte przez armie rosyjskie po poniesieniu przez nie milionowych ofiar przy złamaniu niemieckiej potęgi wojskowej.

Nie mogę odnieść wrażenia, aby żądania Rosji zabezpieczenia jej granic zachodnich wykraczały poza obręb tego, co jest rozsądne lub sprawiedliwe.“

Churchill dodał, że jest rzeczą możliwą, iż dalsze oświadczenie w sprawie Polski złoży później.

„Rosja ma prawo zabezpieczenia się przeciw dalszym atakom z zachodu — powiedział Churchill dalej — i kroczymy z nią razem po tej drodze, aby upewnić się, że uzyska to nie tylko przez potęgę swej armii, ale przy pomocy zgody i porozumienia Zjednoczonych Narodów.

Marszałek Stalin i ja osiągnęliśmy zgodę co do konieczności uzyskania przez Polskę odszkodowania kosztem Niemiec zarówno na północy, jak i na zachodzie.

Zwrot «bezwarunkowe poddanie się» nie oznacza, że naród niemiecki będzie w niewoli czy obrabowany. Oznacza to, że Alianci w chwili kapitulacji Niemiec nie będą związani wobec nich żadnym paktem czy przyrzeczeniem. Nie będzie na przykład mowy o tym, aby Karta Atlantycka musiała znaleźć zastosowanie wobec Niemiec mocą prawa oraz aby stanęła na przeszkodzie przesunięciom terytorialnym lub poprawkom granicznym w krajach wrogich.

Żadne tego rodzaju argumenty, które były wykorzystywane przez Niemcy po ostatniej wojnie, nie będą przez nas dopuszczone.

Bezwarunkowe poddanie się oznacza, że zwycięzcy mają wolną rękę. Nie oznacza, że mają oni prawo do postępowania w sposób barbarzyński ani też, że pragną oni wykreślić Niemcy spośród narodów Europy. Będąc związani własnym naszym sumieniem wobec cywilizacji, nie jesteśmy związani wobec Niemiec w wyniku jakiegoś przetargu. Oto znaczenie bezwarunkowego poddania się.“

Powyższe zanotowałem na podstawie „Dziennika Polskiego“ i „Dziennika Żołnierza“ Nr 45/44 z dnia 23. 2. 1944 r.

Hutton-Cranswick, 1 maja 1944 r.

Jak to środowisko wpływa na nas wychowawczo. Stajemy się coraz bardziej wytworni i uprzejmi.

Czyż nie jest tego dowodem poniższa reprodukcja oryginalnego pisma urzędowego, napisanego przez Inspektorat Lotnictwa do szeregowca Pentala na jego prośbę złożoną bez zachowania drogi służbowej?

Inspektorat Lotnictwa

Oficer do zleceń

L. dz. 3941/44/Of. do Zl.

Londyn, dnia 3 kwietnia 1944 r.

Szanowny Panie!

Pan Inspektor Lotnictwa dziękuje Panu za list i zaufanie, jakim Go Pan obdarzył, pisząc wprost do Niego. Polecił mi dowiedzieć się, czy spełnienie Pana prośby jest zasadniczo możliwe.

Z wielką tedy przykrością donieść muszę, że przynajmniej w tej chwili powtórne powołanie Pana przed Komisję Selekcyjną nie jest możliwe. Nie tylko ze względów prawnych, lecz ze względów precedentalnych.

Przypuszczam jednak, że po pewnym czasie (np.

po roku), o ile Panu okoliczności pozwolą, może Pan ubiegać się znowu o przyjęcie do Lotnictwa.

Do usług zawsze gotowy

Strz. Pental Jan,
I. Dyw. Panc., 8. Bat., I. komp.
P/43, Polish Forces,
Scotland.

Oficer do zleceń
M. LISIEWICZ
Mjr dypl. obs.

A może to nie uprzejmość, lecz... strach?

Blackpool, 15 maja 1944 r.

Wiadomości z kraju nie uległy zmianie — są straszne. Oto tytuły z „Dziennika Polskiego“. Większość z nas nie wierzy tym wiadomościom. Ci, co uwierzyli — załamali się zupełnie. Nie wierzy również ani jeden z naszych angielskich przyjaciół: „Don't be funny — it's imposible“...

1 milion Żydów zamordowanych

Masowe egzekucje Polaków i Żydów

Dziesiątki szubienic — uczernione twarze katów

Niemcy dręczą

Rejestr śmierci

W zwierciadle zbrodni

1.691.000 niewolników

Dramatyczne wieści z Kraju

Tragiczna sytuacja ludzi

Szaniec trupów

Z Polski i o Polsce

Krwawa walka o żywność

Zwały trupów

Danina krwi

Zamęt

Cholera

Na szlaku śmierci

Śmierć Głód

Nagła śmierć

Góry trupów

Sądy i egzekucje

Trąd i dżuma

Znów 47 000 ofiar

Rabunek

Tyfus w Warszawie

Bez litości

Barbarzyństwo

Głód w Karpatach

Ugory i ruiny

Wyzysk

Owoce i jarzyny nie dla Polaków

(PAT.) Ostdeutscher Beobachter z 17 marca ogłasza oficjalnie rozporządzenie Greisera, zabraniające Polakom na obszarze Wartheland nabywania wszystkich owoców, nawet jagód leśnych i orzechów, oraz niektórych jarzyn.

W ciągu całego roku Polacy nie mają prawa na zakup kalafiorów, szparagów i cebuli.

W okresie od 21 maja do 20 lipca nie wolno Polakom kupować pomidorów, ogórków, groszku i włoskiej kapusty.

Kara śmierci za pisanie listów

(PAT.) „Krakauer Zeitung” z 30 maja ogłasza dekret Franka, zabraniający nie tylko bezpośredniej komunikacji pocztowej i telegraficznej z krajami, będącymi w wojnie z Niem-

cami, ale także pośredniej, do krajów neutralnych, celem przekazania do krajów nieprzyjacielskich, pod groźbą kary śmierci — tak, jak za zdradę stanu.

Wiadomości nadeszłe ostatnio z Warszawy donoszą, że zamknięto z braku światła i opału wszystkie szkoły w mieście.

Warszawa zamknięta dla Polaków

(PAT.) Gubernator Warszawy Fischer ogłosił rozporządzenie, na mocy którego pod groźbą grzywny 1.000 zł i kary trzech mie-

sięcy więzienia lub obozu pracy, ludności niemieckiej nie wolno sprowadzać się do Warszawy.

Niemcy zamienili całą Warszawę w wielki rynek czarnogieldziarski. Żołnierze niemieccy i oficerowie sprzedają rewolwery, działa... nawet ciężarówki w dodatku czasami załadowane towarami lub środkami żywności. Cena za ciężarówkę wynosi około 6.000 zł.

Klasztor ojców Benedyktynów, z grobem jego założyciela św. Benedykta, położony na Monte Cassino — zagroził wojskom alianckim drogę do Rzymu. Obsadzony przez Niemców, którzy uczynili z niego niedostępną fortecę, okrażony wieloma liniami ukrytych w skałach betonowych bunkrów, opasanych dookoła polami śmierci krzyżujących się linii ognia tysięcy ciężkich karabinów maszynowych — wydawał się pozycją nie do zdobycia. Broniły go liczne baterie najcięższej artylerii, broniły go dziesiątki tysięcy min, zasieki z kolczastego drutu i miotacze ognia.

Polaków użyto do akcji wtedy, gdy ataki innych wojsk sprzymierzonych nie zostały uwieńczone sukcesem.

Nie pomogło prawie całkowite zburzenie klasztoru przez liczne naloty bombowe „Latających Fortec“, Maraudersów i Mitchellów — Niemcy, otrzymujący posiłki przez wydrążone w skałach tunele, odpierali krwawo wszystkie ataki.

Ataków polskich odeprzeć nie zdołali!

Niemiecka załoga SS świadoma, że ci, pełzający teraz w milczeniu pod górę, w czerwonych od krwi mundurach, ginący w ich oczach tysiącami, lecz zbliżający się do nich metr po metr, to żołnierze polscy — oszalała z rozpacz i strachu. SS-mani walczyli tak, jak walczą osaczeni, nie mający już nic do stracenia i pewni swego końca — bandyci. Zabijali wziętych do niewoli, wzywali parlamentariuszy, by podchodzących z białą flagą rozstrzelać, dobijali rannych, bezczęścili trupy...

I oto dnia 18 maja o godzinie 10,20 na szczycie klasztornej wieży ukazała się biało-czerwona chorągiew!

Ruiny klasztoru Monte Cassino zostały zdobyte — droga na Rzym otwarta!

Szczegółów tej historycznej bitwy jeszcze nie znamy. Będą one zresztą opisane dokładnie przez jej

uczestników. Notuję natomiast inne, dotyczące jej, ciekawe okoliczności.

Decyzja atakowania klasztoru na Monte Cassino, a więc tym samym decyzja jego zburzenia, powzięta została przez Aliantów po głębokim namyśle, i to, jak twierdzą, niechętnie. Wydaje się jednakże, iż racje tej decyzji były słuszne. A oto one:

Im prędzej klasztor zostanie zdobyty, tym prędzej osiągnięte zostanie zwycięstwo, a więc tym więcej ludzi ocaleje.

Zdobycie klasztoru przyspieszy zakończenie kampanii włoskiej i pozwoli wreszcie chrześcijaństwu „odetchnąć świeżym powietrzem“ — („... will permit Christianity itself to breathe clean air again“).

Ocalenie czy zagłada klasztoru, a może i innych, bardziej nawet świętych skarbów antycznych — zależało i zależy będzie w przyszłości wyłącznie od Niemców i oni o tym wiedzą. Nie mogą chyba przypuszczać, że dla oszczędzenia klasztoru, zrezygnujemy ze zwycięstwa. — („The fate of this and other historic treasures in the future lies in the hands of Germans alone“).

No i ostatni „argument“ — tym razem w cudzo-słowie:

Klasztor Monte Cassino założony został w 529 roku, a więc przeszło 1400 lat temu i przez czas swego istnienia... „it has been destroyed at least five times and each time it has been restored“ — był co najmniej pięć razy rujnowany i za każdym razem odbudowywany na nowo.

A więc wniosek jasny i krótki: jeżeli pięć razy było można — można i szósty! Proste: dwa razy „do trzech razy sztuka“.

Za koniecznością bombardowania klasztoru, jako za koniecznością strategiczną, wypowiadali się wszyscy na ogół dostojnicy katoliccy, między innymi R. S. Trafford z Downside, Wilfrid Upson z Gloucester, ojciec Knowless z klasztoru Benedyktynów w Inverness, arcybis-

kup Waszyngtonu i Baltimore Michał J. Curley i wielu innych.

Jeden tylko arcybiskup Canterbury, lord Lang (Lang? — hm...) wniósł w Izbie Lordów interpelację w sprawie zburzenia klasztoru. Polemizując z twierdzeniami, że życie żołnierzy jest ważniejsze od przetrwania martwych kamieni i obrazów — arcybiskup Canterbury powiedział:

„Kamienie te nie są martwe. Żyją one wiecznie i zaszczepiają swą żywotność duchowi wszystkich kolejnych pokoleń“.

Lord Lang zaatakowany został natychmiast przez innego członka parlamentu, lorda Latham:

„Nie jestem Wandalem — powiedział on — ale muszę wnieść protest przeciwko takiej polityce rządu, która by uzależniała strategię od spraw kultury i estetyki. Nie mogę przyjąć doktryny, że budynki są ważniejsze od życia ludzkiego. Nie mogę oddzielić zbrodni niemieckich od narodu niemieckiego. Naród niemiecki jest odpowiedzialny za te wszystkie okropności i tortury, które zadał światu. Żądam, aby rząd nie uległ wahaniom. Naród brytyjski nie zgodzi się, aby jego synowie byli poświęceni niepotrzebnie dla uratowania jakiegokolwiek bądź budynku na świecie. Nie chcę widzieć świata pełnego pomników, które byłyby czczone przez ludzi zakutych w kajdany“.

Książę Piemontu, następca tronu włoskiego, oświadczył:

„Król Emanuel życzy sobie, aby chorągiew polska powiewała na wieży klasztoru Monte Cassino po wieczne czasy.“

Wiwat, niech żyje sprzymierzeniec! Dupek, psiakrew!

Londyn, 1 czerwca 1944 r.

Takie sobie wiadomości:

Żołnierze II Korpusu otrzymali prawo noszenia na rękawach mundurów odznaki „Krzyżowców“.

Około 8 000 samolotów bierze udział codziennie w lotach bojowych we Włoszech.

W maju rzucono na Niemcy i okupowane przez nie kraje 150 000 ton bomb.

Ojciec święty oświadczył, że „Rzym bombardowany jest umiarkowanie“.

Każde oświadczenie tych czy innych dostojników ma swój cel. Nie może być przecież inaczej. Tego jednakże oświadczenia nie rozumiemy zupełnie. O co chodziło Ojcu świętemu? Czy to miała być pochwała czy wyrzut? Przecież chyba nie zachęta?

— Co myślisz o tym, Suchy? — zapytałem swego przyjaciela.

— O tym umiarkowaniu?

— Tak.

— To znaczy, że my się nic nie miarkujemy.

— Jak to?

— Proste przecież, papież daje nam znać, że bombardujemy, bombardujemy i nic żeśmy nie trafili.

Nie wiem, może Suchy ma rację?

Polacy zdobyli ostatnio 5 wzgórz we Włoszech, Anglicy zdobyli 3, Kanadyjczycy — 2, Australijczycy też 2, ochotniczy batalion żydowski — 1. Ciekaw jestem, ile zostało jeszcze wzgórz do zdobycia. Wolnych Francuzów ta sprawa chyba nie obchodzi, bo nie zdobyli ani jednego.

Przepraszam, nadeszła właśnie wiadomość, że Francuzi zdobyli jednakże jedno wzgórze: Monte Curve czy coś w tym rodzaju.

Ponieważ lotnictwo amerykańskie nie spotyka się w czasie nalotów z opozycją myśliwców Luftwaffe — dowództwo US Air Force ogłosiło, że odtąd uprzedzać

będzie Niemców o zamierzonych wyprawach celem zmuszenia ich do walki.

— Z komunikatu powyższego wynika jasno — powiedział mi Suchy — że opozycja myśliwców Luftwaffe jest duża i że Amerykanie nie mają zamiaru uprzedzać Niemców o projektowanych wyprawach.

Brawo, Suchy! — moja szkoła! Będą jeszcze z ciebie ludzie.

Podczas ostatniego nalotu na Berlin rzucono 2 500 ton bomb. Ponieważ cały nalot trwał zaledwie dwadzieścia minut — 125 000 kilogramów bomb padało na minutę, 2 000 kilogramów, a więc 20 bomb stukilogramowych na sekundę.

Podobno od jednej stukilogramowej bomby, rzuconej na wielkie miasto, ginie przeciętnie trzech ludzi.

Blackpool, 7 czerwca 1944 r.

Wczoraj, dnia szóstego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, rozpoczęła się operacja wojenna na skalę dotychczas nie znaną, rozpoczęła się decydująca bitwa tej wojny — rozpoczęła się inwazja Kontynentu Europejskiego przez Armie Narodów Sprzymierzonych!

31 000 lotników,

11 000 samolotów,

4 000 jednostek morskich, brało udział w pierwszym dniu działań!

80 okrętów wojennych, które ostrzeliwały niemieckie baterie, zużyły przez pierwsze dziesięć minut... 2 000 ton amunicji!

Na krótko przed rozpoczęciem lądowania samoloty bombowe zrzuciły na niemieckie umocnienia nadbrzeżne i stanowiska artyleryjskie — 5 000 ton bomb!

9 fal samolotów przewożących spadochroniarzy, szybowców i ich holowników, miało łącznie około 200 mil długości...

Jeden z oficerów angielskiej marynarki, którego statek szedł w pierwszym rzucie, powiedział, że widoku, jaki miał, nie oddałby za... wszystką herbatę Chin!

S. H. A. E. F.

Supreme Headquarters Allied

Expeditionary Force:

Komunikat No 1.

Pod dowództwem generała Eisenhowera, Marynarka Aliancka, wspomagana przez silne lotnictwo, rozpoczęła dzisiaj rano wyładowywanie Alianckich Armii na Północnym Wybrzeżu Francji.

1. VII. 1940

Londyn, 20 czerwca 1944 r.

To się nazywa pech! — szesnastego, to jest w dzień, w którym Niemcy rozpoczęli niszczenie Londynu latającymi bombami, przyjechałem do stolicy brytyjskiej na dłuższy pobyt służbowy. Razem ze mną przyjechało dwóch moich przyjaciół: Janusz Meissner i Suchutki.

Ponieważ od sześciu przeszło tygodni nie było w Londynie alarmu, a spokój zapowiadał się na dłużej, zamieszkaliśmy w eksponowanej z punktu widzenia „kriegswichtige Ziele“ dzielnicy — na Ebury Street, tuż przy dworcu Victoria i niedaleko Tamizy.

No i naturalnie ledwo zmęczeni położyliśmy się do łóżek, zawyły syreny.

Mimo że wszystko odbywało się tak jakoś inaczej: bombowce leciały bardzo nisko, czasem tuż nad dachami, spod ogonów wydobywał się płomień, dźwięk silników podobny był do turkotu starego motocykla, a potężne bomby padały pojedynczo, a nie seriami — przypuszczaliśmy, że jest to zwykły nalot bombowy.

Ponieważ bombowce przelatywały mniej więcej co dziesięć minut, najpierw syreny wyły na alarm, później

rozlegała się bliższa lub dalsza detonacja, wobec tego syreny ryczały odwołanie, aby za chwilę znowu zawyć na alarm, po którym rozlegała się bliższa lub dalsza detonacja, i znowu odwołanie, ponownie alarm, znów detonacja, jeszcze raz odwołanie i tak dalej, i tak dalej przez calutką noc.

— To jest something funny (coś śmiesznego) — powiedział Janusz i wcale się nie śmiejąc włożył buty (prawy na lewą nogę) i kołdrą nakrył się na głowę.

Spałem dosyć dobrze, co zawdzięczam nie tyle Niemcom, co bardzo smacznej mieszance rumu z peppermintem, którą nam — z braku whisky — zaproponował uprzejmy kelner z hotelu „Grosvenor“, gdzie spędziliśmy wieczór.

Rano spytałem Janusza wytwornie — jak spał — i z angielska — co sądzi o dzisiejszej pogodzie?

— Ach, ty moczymordo! Bombardowali całą noc, artyleria waliła bez przerwy, dom się trząsał i wszystkie szyby nam wypadły, a ty na przemian to chrapałeś, to gadałeś przez sen. Nie spałem zupełnie, bo nie mogłem zrozumieć, coś bredził. Bezcelność!

Tajemnica dziwnego bombardowania została wyjaśniona już nazajutrz po pierwszym raidzie robotów! Tak, robotów! „Samoloty“, które wczoraj przyleciały nad Londyn i które nadal przylatują bez przerwy (jest godzina 2 po południu, a było już kilkanaście alarmów) — to nie są samoloty, to są latające bomby! Bez silników, bez śmigieł, bez żadnych przyrządów radiowych! Tona materiału wybuchowego z małymi skrzydełkami i ogonem, nad którym znajduje się najprostszy napęd, działający podobnie, jak w dzieciennych zabawkach, łódkach-motorówkach opalanych tabliczką „Mety“, oraz sprzężony ze sterami żyrokompas utrzymujący kierunek i wysokość — oto robot!

Bomby te, których długość lotu odmierzona jest ściśle ilością paliwa (podobno spirytusu, Januszkę, spirytusu!!!), spadają w różnych dzielnicach Londynu. Skutki ich wybuchów są bardziej tragiczne niż skutki

wybuchów zwykłych bomb rzuconych z samolotów. Przylatują prawie bez przerwy, a więc bez przerwy prawie trwa alarm. Nikt się nie chowa, nikt nie opuszcza miejsca pracy; życie Londynu, szczególnie w tak decydującym momencie, jakim jest inwazja kontynentu, nie może przecież ulec przerwie. Rezultat — od robotów ginie znacznie więcej ludzi.

Wczoraj opuściło Londyn 150 000 dzieci i jeden Suchutki.

Londyn, 1 lipca 1944 r.

Gdyby Niemcy wysyłali po trzysta robotów na godzinę, broń ta miałaby zapewne skutek decydujący. Trzysta ton na godzinę to siedem tysięcy dwieście ton na dobę! Po dwóch miesiącach trzydzieści największych miast, portów i ośrodków przemysłowych, z Londynem — centralnym punktem wszystkich nerwów na czele — leżałyby w gruzach!

Trwa to już dwa tygodnie. Jesteśmy zdenerwowani, niewyspani i naprawdę wystraszeni. Po pięciu latach nerwy zaczynają szwankować. Każdy samolot, który widzimy w dzień, i każdy, który słyszymy w nocy — bierzemy za robota. Janusz bierze za robota nie tylko każdy samolot, ale każdą dorożkę i każdy tramwaj. (Łojalnie przyznaję, że ja również.)

Jesteśmy przekonani, że każdy robot przelatuje nam prosto nad głowami, mimo że przeleciał o 1000 metrów z boku. Jesteśmy pewni, że każdemu robotowi paliwo skończy się akurat właśnie nad miejscem, gdzie się znajdujemy, że dzielnica, w której mieszkamy, położona jest właśnie na drodze robotów i że właśnie jakieś ściśle określone, leżące w pobliżu nas miejsce — Pałac Królewski, Admiralicja, Air Ministry czy hotel „Rubens” — jest dzisiaj głównym celem.

Świadomość, że walczą z nami roboty, ma w sobie coś niesamowitego.

— Wiesz, Zygmunt, co?...

— Nie wiem.
— One... one... myślą!
— Kto? Kitty i Betty, te rude od Lyonsa? Wątpię...
— Nieee, nie te rude, roboty myślą!!!
— Janusz! Rany boskie, coś ty?
— Tak, tak, myślą. No, bo powiedz: w jaki sposób wymykają się chmarom myśliwców, którzy widzą je i w dzień, i w nocy? Dlaczego nie zestrzeliwuje ich masami artyleria, ściągnięta chyba z całej Anglii? Jak przedostają się przez sieci balonów zaporowych, ustawionych jeden przy drugim przed samym Londynem?

— To prosta sprawa — małe są, szybko lecą, podobno przeszło 400 mil na godzinę, a więc dogonić je może tylko amerykański myśliwiec Tempest — ani Spitfire ani Hurricane nie dadzą im rady. W tych warunkach nic dziwnego, że udaje się niektórym przedrzeć przez zapory.

— Niektórym? A dlaczego cztery bomby upadły dzisiaj kolejno — jedna w Green Parku, druga tuż przy Victorii, trzecia na Wilton Street, a czwarta na Belgrave Road?

— Nie wiem, dlaczego upadły. Widocznie gaz im się skończył...

— Gaz im się skończył, gaz im się skończył! Nie, mój drogi, nie dlatego. Pomyśl troszkę! Przecież to jest trasa autobusu 124, którym ja zawsze jeżdżę!!! Nie, one nie są bezmyślne, one wiedzą, co robią!

— O, rany! A może rzeczywiście? Zguba byłaby kompletna.

Londyn, 3 lipca 1944 r.

„Sunday Dispatch“ z dnia 2. 7. 1944 r. donosi od swego korespondenta, co następuje:

„Części do niemieckich bomb latających są na wielką skalę fabrykowane w Hiszpanii w wytwórni Pamplona nad granicą francuską. Fabrykacja ta odby-

wa się pod protektoratem i przy współpracy rządu generała Franco.

Jednocześnie Hiszpania rozpoczęła przez radio, prasę i zakulisowe konszachty dyplomatyczne, wielką kampanię na rzecz negocjonowanego pokoju z Niemcami.

Argumenty generała Franco są następujące:

Niemcy nie mają potrzeby używać teraz samolotów, jako broni przestarzałej. Niszczą teraz Anglię latającymi bombami, przeciw którym Anglicy nie mogą się bronić, a jeżeli znajdą sposób obrony przed V-1, to Niemcy wprowadzą do akcji nową broń terrorystyczną, gorszą — V-2!

Z drugiej strony, Anglicy mają zdecydowaną przewagę w powietrzu, przeciw której Niemcy są na razie bezsilni.

Wobec tego — mówi Franco — dlaczego nie zakończyć wojny pokojem kompromisowym?

Innymi słowy — mówi korespondent Sunday Dispatch — dlaczego nie uratować Niemiec i faszyzmu, od których Franco zależy, uratować teraz, gdy Niemcy są o krok od klęski?

Trzeba pamiętać — kończy korespondent — że jak dotychczas Franco nie protestował przeciwko nowej niemieckiej wojnie skierowanej wyłącznie przeciwko ludności cywilnej, natomiast protestował gorąco przeciw alianckim bombardowaniom wojskowych i przemysłowych celów w Niemczech.“

Nie, ten numer nie przejdzie.

Londyn, 4 sierpnia 1944 r.

Bądź z prasy, bądź z poufnych biuletynów Air Ministry dowiadujemy się coraz więcej ciekawych szczegółów o nowej broni niemieckiej.

Do 31 lipca, a więc w przeciągu sześciu tygodni, przyleciało nad Anglię 5 340 latających bomb. Zabiły one 4 735 ludzi, a 14 000 ciężko poraniły. 17 000 domów

zostało zniszczonych całkowicie, a 800 000 uszkodzonych. Około 1 000 000 mieszkańców stolicy, nie mających zajęcia związanego bezpośrednio z wysiłkiem wojennym, musiało opuścić Londyn. (Bardzo chcielibyśmy z Januszem opuścić Londyn, ale nasze niemożliwe wysiłki wojenne w żadnym razie nam na to nie pozwalają.)

W pierwszych miesiącach 1943 roku doniesienia wywiadu brytyjskiego wskazywały ogólnikowo, że Niemcy pracują nad nową bronią dalekiego zasięgu, przeznaczoną głównie do bombardowania Londynu. W lipcu tegoż roku ustalono, że główne ośrodki doświadczalne bomb latających i pocisków raketowych znajdują się w miejscowości Peenemünde nad Bałtykiem. W sierpniu całe siły Bomber Command wysłane zostały do ataku, w rezultacie którego wyrządzono wielkie szkody, a cała prawie ekipa uczonych niemieckich mieszkająca w ośrodku „Kraft durch Freude“ — zginęła.

Nalot ten opóźnił o wiele miesiący wprowadzenie do akcji nowej broni.

Na podstawie powietrznego rozpoznania fotograficznego stwierdzono, że oprócz wielkiej wyrzutni w Weeten, kilkaset mniejszych było bądź już wybudowanych, bądź znajdowało się w budowie na wybrzeżu francuskim, głównie między Le Havre i Calais. Wszystkie te wyrzutnie bombardowano systematycznie, co wpłynęło również na opóźnienie akcji nieprzyjacielskiej, jak i na zmniejszenie jej rozmiarów.

Gdyby nie bombardowanie tych obiektów we Francji i w Niemczech, atak na Londyn rozpocząłby się o sześć miesięcy wcześniej i w rozmiarach chyba decydujących.

Ponieważ niszczenie wyrzutni okazało się bardzo skuteczne, Niemcy rozpoczęli seryjną produkcję wyrzutni przenośnych o niezwykle prostej konstrukcji. Wyrzutnie takie mogły być przerzucane coraz to w in-

ne miejsca i dlatego bombardowanie ich było znacznie bardziej utrudnione.

Premier Churchill, przemawiając w Izbie Gmin, doszedł do wniosku, że mieszkańcy Londynu muszą się po prostu do V-1... przyzwyczaić i że — „każdy powinien wykonywać swoją pracę, a później szukać najbezpieczniejszego schronu i zapomnieć o swoich troskach“.

Hm, powiedział, co wiedział. O przyzwyczajeniu mowy być nie może! Dobrze mu dawać takie rady, kiedy sam siedzi 30 metrów pod ziemią na Downing Street. A my co? Biegamy od schronu do schronu i ledwo możemy zdążyć.

Jednak jak przystało na lojalnych londyńczyków, chcieliśmy się nawet przyzwyczaić. Poszliśmy na spacer z mocnym postanowieniem, że nic nas to wszystko nie obchodzi, że gdyby robot przelatywał nam nad głową, to my w ogóle jak gdyby nigdy nic i tak dalej.

Staliśmy akurat w ogonku do kina, gdy dały się słyszeć dzwonki alarmowe i wkrótce potem turkot zbliżającego się „wariata“.

Nie miałem stopera, ale jestem pewien, że 100 metrów dzielących nas od najbliższej stacji „Undergroundu“ przebiegliśmy w tempie znacznie szybszym niż światowy na tym dystansie rekord — coś w siedem chyba sekund?!...

Oczywiście, że w ogonku przed kinem nie pozostał nikt. Angielska flegma w takich wypadkach zawodzi zupełnie.

Udawanie złego psychologa jest pierwszym warunkiem miłego współżycia. Cenię bardzo przyjaźń Janusza i nie uczynię niczego, co by tę przyjaźń mogło narazić na szwank.

— Oczywiście, Januszku, ja z góry wiedziałem, że podszedłeś do sprawy wyłącznie ze sportowego, że tak powiem, punktu widzenia: kto pierwszy do stacji kolejki podziemnej — my czy „wariat“...?

— A żebyś wiedział, że tylko dla sportu. Grunt to

wychowanie fizyczne. Aleś pędził, Zygmunt, niech cię nie znam! Że wariat leci 400 mil na godzinę, to jego prawo, tym bardziej, że mu się pali pod ogonem, ale dlaczego ty?

Na drugi dzień po owym „sportowym“ wyczynie przeniosłem się do Ruislipu, takiej londyńskiej Radości czy Świdra, a Janusz zamieszkał w piwnicach drapacza chmur na Roland Gardenes 7.

Ruislip, 8 września 1944 r.

Dzisiaj bomba trafiła w Roland Gardenes 7. Janusza nie zastała w domu: siedział u mnie w Ruislipie i namawiał gorąco, abym zamieszkał razem z nim...

Zasięg „nalotów“ V-1 jest bardzo rozległy. Nawet tutaj przylatują co pewien czas.

Przed chwilą byliśmy właśnie świadkami jedyne-
go w swoim rodzaju widowiska. Była godzina 9 wie-
czorem. Siedzieliśmy przy otwartym oknie. Niebo za-
czynnało różowieć. W pewnej chwili usłyszeliśmy daleki
jeszcze, głuchy warkot potężnych silników zbliżającej
się armady bombowców i wkrótce zobaczyliśmy kilka-
set — nawet nie próbowałem ich zliczyć — sylwetek
„Latających Fortec“. Leciały gdzieś z zachodu w kie-
runku na Londyn i dalej do Francji.

Huk się wzmagał i wreszcie stał się tak potężny,
iż zdawało się, że już nic nie zdoła go zagłuszyć.

W momencie jednakże, gdy pierwsza fala bombow-
ców znajdowała się nad nami, dał się słyszeć jakiś
ostry, urywany jazgot i zobaczyliśmy nagle robota, le-
cącego na spotkanie „Latających Fortec“. Leciał znacz-
nie niżej i wkrótce zaczął je mijać.

Widok był niezwykły i śmieszny zarazem. Jedna
szczekająca, mała, jakby się zdawało przestraszona
i kryjąca się z chmurki w chmurkę bomba — na tle
kilkuset potężnych czterosilnikowych powietrznych
okrętów.

Aż nam się żal zrobiło szczeniaka. Dobrze jednak,

że nie było odwrotnie: jedna „Forteca“ i kilkaset latających bomb. Też byłoby śmiesznie, ale znacznie mniej.

Ruislip, 10 września 1944 r.

V-1 już się właściwie skończyły. Jeszcze czasem — raz na dwa dni coś tam przyleci, coś wybuchnie z wielkim hukiem, zabije kilku ludzi — ale to już chyba koniec?

W ciągu osiemdziesięciu dni „Drugiej bitwy o Londyn“ Niemcy wystrzelili 8 000 latających bomb.

2 300 z nich — to jest 29% — dotarło do Londynu.

Samoloty myśliwskie zestrzeliły 1 900, a 223 z tej liczby, a więc prawie 12% — Polacy.

Oczywiście, że w prasie angielskiej nie ma o tym ani słowa. Nie ma ani słowa o tym, że znowu Polacy bronili Londynu, że znowu poległo kilkunastu polskich chłopców i śmiercią swoją uchroniło od śmierci kilkuset Brytyjczyków, że znowu Polacy złożyli ofiarę większą, niż ich na to stać, ofiarę, na jaką się nie zdobył żaden inny walczący w „Second Battle of Britain“ — sprzymierzeniec.

Ruislip, 15 września 1944 r.

Materiał statystyczny do powyższych notatek zebrałem z codziennej prasy angielskiej, z mów premiera Churchilla, z oświadczeń Duncana Sandysa — przewodniczącego Komitetu Rządowego wyłonionego dla zorganizowania obrony przed latającymi bombami oraz z szeregu komunikatów Air Ministry.

Nawiasem mówiąc, jedynie w tych ostatnich wspomniano o udziale Polaków w tej tak zwanej „Drugiej bitwie o Wielką Brytanię“.

Jakie są powody, że od V-1 zginęło stosunkowo mało mieszkańców Londynu?

Jest ich wiele, a oto najistotniejsze:

1. Po kilku latach wojny ludzie byli już wyczerpani nerwowo. Musieli jednakże pracować, a więc mu-

sieli odpoczywać — musieli spać. Nie było to możliwe w domach; alarm — przynajmniej w pierwszym okresie — trwał prawie bez przerwy. W rezultacie miliony mieszkańców Londynu bądź udawały się w nocy na stacje kolei podziemnej, bądź korzystając z nadzwyczaj sprawnie działającej komunikacji wyjeżdżały na nocleg na prowincję.

2. Ci, którzy nie mogli wyjeżdżać, czy też ci, dla których nie było już miejsca w głębokich schronach „undergroundu“, chronili się bądź do prowizorycznych schronów w ogródkach jedno- czy dwurodzinnych domków (a takich w Wielkim Londynie jest większość), bądź do tych części piwnic, które znajdują się pod ulicznymi trotuarami.

3. Tysiące osób uratowały rozliczne „home-shelters“ — przenośne schrony domowe.

Było ich kilka systemów. Jedne w formie stalowej, pustej w środku „głowy cukru“, w której pomieścić się mogły dwie osoby — drugie — tak zwane schrony Andersona, podobne były do dużych stołów o grubych stalowych blatach. Z trzech stron miały one siatkę, z czwartej były otwarte. Zaopatrzenie ich stanowiły: materace, latarka elektryczna, apteczka, termosy i akustyczny środek alarmowy — gwizdek lub trąbka.

Schrony Andersona, w których pomieścić się (spać) mogła rodzina cztero lub pięcioosobowa, wytrzymały na sobie ciężar zawalonego piętra i dachu!

4. Bardzo dużą rolę w czasie nalotów V-1 odegrała również pomysłowo zorganizowana służba alarmowa.

W pierwszych dniach nalotów V-1 syreny wyły w całym Londynie niezależnie od tego, w jakim kierunku leciała bomba, która przedarła się przez zapory myśliwców, artylerii i balonów. Zorientowano się jednak dość prędko, że V-1 nie skręca i leci prosto przed siebie. Tę słabą stronę robotów wykorzystano naprawdę sprytnie. Zainstalowano mianowicie tysiące dzwonek alarmowych i w razie ataku latającej bomby włą-

czano tylko tę część dzwonek, która umieszczona była na trasie lotu robota.

W rezultacie tej innowacji mieszkańcy dzielnic, w których dzwoniły dzwonki alarmowe, mieli co najmniej kilka minut czasu, aby zejść do piwnic czy schronów w ogródkach i przeczekać, w całkowitym prawie bezpieczeństwie, krytyczne sekundy przelotu V-1 — a o to przecież chodziło.

Wyobraźmy sobie dla przykładu, jakby wyglądało działanie takiej instalacji w... Warszawie?

Przypuśćmy, że latająca bomba ominęła przeszkody i nadlatuje na Warszawę z kierunku Nadarzyn — Raszyn.

Krótki meldunek telefoniczny czy radiowy, kilka ruchów ręki dyżurnego na stacji alarmowej i już rozlega się donośny dźwięk dzwonek na Okęciu, w Alei Krakowskiej, na Grójeckiej, w Alejach Jerozolimskich, Alei 3 Maja, na moście Poniatowskiego, Rondzie Waszyngtona i dalej na wszystkich ulicach biegnących w prostej linii na wschód, no i oczywiście — na ich przecznicach i na bliżej położonych ulicach równoległych.

W tym wypadku, nie wiedziałby nic o nalocie bomby i pracowałby lub spał spokojnie — Mokotów, Wola, Żoliborz, większa część Pragi i wiele, wiele innych dzielnic.

Ten pomysłowy sposób alarmowania sprawił, że podczas największego nasilenia nalotów V-1 na Londyn — kiedy na dobę przylatywało około pięćdziesiąt robotów — poszczególne dzielnice Wielkiego Londynu alarmowane były nie częściej niż dwu- lub trzykrotnie w przeciągu 24 godzin.

Jeszcze kilka słów wyjaśnienia, dlaczego stosunkowo niewielka ilość bomb latających zniszczyła lub uszkodziła tyle set tysięcy „domów“.

Otóż właśnie o to chodzi — „domów“ — w cudzym słowie.

Londyn, Portsmouth i Southampton — jedyne cele, na które wysyłana była „Broń Odwetu Nr 1“ (Vergeltungswaffe Nr 1) — położone są na południu Anglii.

Nie ma tam dużych wahań temperatury, nie ma ani zbyt wielkich upałów, ani siarczystych mrozów. Do tych warunków klimatycznych dostosowano budownictwo mieszkaniowe. W naszym pojęciu tandetne.

Większość domów Wielkiego Londynu to — jak wspomniałem — jedno- lub dwurodzinne wille w małych ogródkach lub długie szeregi ciągnących się dziesiątkami kilometrów jednakowych, jednopiętrowych domków robotniczych, zbudowanych bardzo „lekką“ (tzw. mur pruski w pół cegły), krytych lekkim eternitem, o pojedynczych otworach okiennych.

Dotychczas wszystkie bomby dużego kalibru przeznaczone były na cele osłonięte, a więc miały one zapalniki z opóźnieniem, były zbudowane z hartowanej stali i wybuchały dopiero po przebicciu osłony, toteż podmuch ich działał raczej w górę.

Natomiast bomba V-1, naładowana tysiącem kilogramów materiału wybuchowego, nie była przeznaczona na cele osłonięte. Detonowała natychmiast po zetknięciu się z przeszkodą i dlatego jej potężny podmuch działał równoległe do powierzchni.

Nic więc dziwnego, że gdy V-1 trafiła w dzielnicę małych, lekkich domków — niszczyła ich setki: zrywała dachy, rysowała mury, wyrывała otwory, łamała przewody wodociągowe i kanalizacyjne, ułożone na zewnętrznych stronach ścian.

Tak stało się w Acton Town, gdzie ofiarą jednego robota padło sześćset domków, w Ruislipie — sto, w Uxbridge i w Hammersmith po trzysta.

Takie byłoby mniej więcej wytłumaczenie danych statystycznych o stratach spowodowanych przez V-1.

Czy jednak liczby statystyk odpowiadają istotnie rzeczywistości? Należałoby w tym miejscu przypomnieć, że omawiane „bilanse strat“ opublikowane są jeszcze w czasie wojny i że statystyki takie bywają, z tych

czy innych względów, często naginane bardzo koniunkturalnie...

Ruislip, 16 września 1944 r.

Sytuacja wojenna i polityczna nieoczekiwanie skomplikowała się ogromnie i stała się nad wyraz niebezpieczna. Oto ni mniej ni więcej tylko Związek Sowiecki w dniu 5 września wypowiedział wojnę Bułgarii, a następnego dnia Bułgaria wypowiedziała wojnę Niemcom!

Można sobie wyobrazić, co się stanie, gdy Bułgaria wykończy Niemców, pobije Rosję, a później rzuci się na nas i na Amerykę? Strach pomyśleć! Będę musiał kupić sobie samouczek „1 000 słów po bułgarsku“. Sicher ist sicher.

Ciekawy poza tym jestem, jakie w związku z nową sytuacją będzie posunięcie polityczne naszego rządu. Że genialne — w to nie wątpię, ale jakie?

Ja radziłbym wysłać do Bułgarii dwóch ambasadorów, nawet starszych ambasadorów, i jednego z nich na znak protestu odwołać.

Londyn, 6 października 1944 r.

W związku z upadkiem powstania w Warszawie Prezydent Raczkiewicz wydał następujący rozkaz:

Żołnierze Polskich Sił Zbrojnych!

Po dwumiesięcznej z górą bohaterskiej walce Warszawa padła. Żałoba kirem okryła wasze chorągwie i sztandary. Żałoba jest w sercach waszych. Warszawa padła, ale trwa i trwać będzie walka narodu polskiego o niepodległość i suwerenne prawa Rzeczypospolitej.

Przez dziewięć tygodni walki w gruzach, płomieniach i krwi stała się Warszawa dla całego świata symbolem Polski niezwalczonej, nieśmiertelnej.

Dziś, gdy tam walka wygasła, tym większa jest odpowiedzialność wasza, Żołnierze Polskich Sił Zbroj-

nych, walczący na lądzie, morzach i w powietrzu obok naszych Sprzymierzonych. Wasz oręż zwycięski nie tylko bierze odwet za Warszawę, ale otwiera drogi do Niej. Walka wasza zbliża moment, gdy ze zgliszcz i gruzów dźwignie się nasza Stolica, wielką swą ofiarą całopalną i nieśmiertelną chwałą.

Ufam, że dłonie wasze nie omdleją, wola nie osłabnie, a wiernością żołnierską nadal okażecie się godni walczącego Kraju, jak okazaliście się pod Cassino i Ankoną, pod Chambois i Arnheim i w tylu innych walkach, w działaniach morskich i w powietrzu nad Francją, Belgią, Holandją, Niemcami.

Tego oczekuje od Was Naród, którego jesteście nadzieją i umiłowaniem. Wierzę, że Bóg sprawiedliwy pobłogosławi Waszej służbie i naszej Słusznej Sprawie.

Londyn, dnia 1. XII. 45

WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ

Ogłoszono również treść depeszy, jaką generał Bór Komorowski nadesłał do Prezydenta Raczkiewicza przed poddaniem się.

Oto owa depesza:

„W tej ostatniej do Pana Prezydenta z wolnej stopy nadanej depeszy pragnę dać wyraz swej najgłębszej czci dla Pana Prezydenta i złożyć najwyzszemu Reprezentantowi i Sternikowi Rzeczypospolitej najgorętsze życzenia osiągnięć dla Ojczyzny — wolności, wielkości i szczęścia“.

W związku, jak się wydaje, z powyższą depeszą, Prezydent Raczkiewicz wydał drugi rozkaz do wojska:

Żołnierze Polskich Sił Zbrojnych!

Wódz Naczelny, generał dywizji Tadeusz Bór Komorowski, dzieląc los swoich żołnierzy Korpusu Warszawskiego, jest w niewoli niemieckiej.

Jako dowódca Armii Krajowej i jako dowódca Walczącej Warszawy, generał Komorowski wypełnił

w najcięższych warunkach z nadludzką siłą ducha swój obowiązek żołnierski do ostatka.

Dziękuję mu za to w imieniu Rzeczypospolitej, Wierzę, że niedaleki jest czas, który przywróci mu wolność i pozwoli mu stanąć na powierzonym mu stanowisku na waszym czele.

WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ

Dziennik „The Daily Sketch“ zamieszcza w dniu dzisiejszym następujący artykuł:

„Nigdy jeszcze premier Churchill nie był bardziej wyrazicielem uczuć narodu brytyjskiego, jak wczoraj, gdy tak żarliwie i wzruszająco składał hołd Polskiej Armii Krajowej i mieszkańcom Warszawy.

Brytyjczycy wylądowali w Grecji i przystąpili do oswobodzenia tego małego, lecz o wielkim sercu, narodu. Alianci uwolnili już Francję i Belgię. Lada dzień oswobodzona zostanie Holandia. Wolna już jest większa część Włoch, które niewspółmiernie mniejsze mają prawo do pomocy alianckiej niż inne kraje od początku walczące po naszej stronie.

Oswobodzenie pokonanych przez wroga krajów — to wielka misja Aliantów, która już niedługo będzie zakończona. Jedna jest tylko tragedia, która mąci ogólną radość — tragedia nieszczęsnej Polski.

Okropny zbieg okoliczności sprawił, że ten kraj, który pierwszy przeciwstawił się wspólnemu wrogowi, będzie wybawiony ze strasznej rzeczywistości — ostatni.

Wszystkie kraje okupowane przez Niemców cierpiały straszliwie, ale żaden z nich nie przecierpiał tyle co Polska, nie był tak skrwawiony jak Polska.

Polacy walczyli ze swoim okropnym losem z nadludzkim — tak, nie ma innego określenia — hartem i z nadludzką odwagą. Nie zapomnimy o tym — jak powiedział premier Churchill — nigdy!“

Londyn, 1 listopada 1944 r.

Jeden z oficerów lotnictwa poprosił o audiencję u prezydenta Raczkiewicza. Po wejściu do sali przyjął

podszedł do prezydenta i ze słowami: „To za powstanie warszawskie“ — uderzył go w twarz.

9 Sąd Polowy skazał owego oficera na dwa lata więzienia. Oficerem tym był Wierusz Kowalski, były wiceminister rolnictwa i... przyjaciel prezydenta.

Ta ostatnia okoliczność, świadcząca o tak bliskim stosunku skazanego oficera do prezydenta Raczkiewicza, jest wiele, a właściwie wszystko mówiąca. Trudno przecież przypuścić, żeby major Wierusz Kowalski zdecydował się na tego rodzaju rozpaczliwy akt protestu, nie będąc głęboko przekonanym o winie czy chociaż współwinie prezydenta Raczkiewicza za niepotrzebną śmierć stu tysięcy ocalałych już, zdawałoby się, ze straszliwej rzezi, Polaków, za nowe cierpienia milionów, za zniszczenie skarbów, zbieranych od wieków, za zburzenie Stolicy aż do fundamentów.

Taki tragiczny wyciągamy wniosek z owej sprawy sądowej i z łagodnego stosunkowo wyroku Sądu Polowego.

Londyn, 11 listopada 1944 r.

„Observer“ z dnia 8 ubiegłego miesiąca drukuje wiadomość, jakoby Niemcy postanowili radykalnie zmienić swój stosunek do Polski i razem z Polakami stworzyć front przeciwko Rosji Sowieckiej.

Jako dowód zmiany polityki w stosunku do Polski Niemcy podają okoliczność, iż wziętych do niewoli powstańców warszawskich traktują jak żołnierzy armii regularnej oraz że obiecują darowanie winy wszystkim tym Polakom, którzy od początku okupacji występowali przeciwko władzom niemieckim.

Wiadomość tę „Observer“ opatruje słusznym komentarzem, że mowy być nie może o jakiegokolwiek kolaboracji Polaków z Niemcami. Zresztą Niemcy nigdy swych zobowiązań ani przyrzeczeń nie dotrzymywali. Nawet teraz nadchodzą wiadomości o nowej, straszliwej fali terroru w obozach koncentracyjnych.

Premier Churchill oświadczył w parlamencie, iż rząd angielski podkreślał zawsze, że jest za daleko od miejsca działania, aby zarządzić i popierać materialnie ogólne powstanie w Polsce, niemniej jednak, pomimo trudności formalnych i praktycznych, zaopatrywał w miarę możliwości powstanie w materiał wojenny.

Straty lotnictwa brytyjskiego operującego na trasie Włochy—Warszawa, wyniosły: 28 samolotów i około 190 lotników zaginionych.

Londyn, 1 grudnia 1944 r.

O powstaniu warszawskim staraliśmy się nie myśleć i nic nie mówić. Wszystkie nieszczęścia, któreśmy przeżyli, były niczym w porównaniu z tym. Jaki naród na świecie zdecydowałby się świadomie posłać na pewną śmierć setki tysięcy ocalałych z tej rzezi współobywateli? Jaki naród zdecydowałby się świadomie zniszczyć skarby kultury zbierane od wieków?!

Nie będę czekał na żadne rozkazy, na żadne odprawy demobilizacyjne, na żadne koniunktury i gwarancje — przy pierwszej sposobności wracam do Kraju.

Londyn, 2 stycznia 1945 r.

Ogłoszono skład personalny nowego polskiego rządu ukonstytuowanego w Lublinie:

Przewodn. Rady Narodowej	B. Bierut
Prezes Rady Ministrów	E. Osóbka-Morawski
I Zastępca Premiera	W. Gomułka
II „ „	S. Janusz
Minister Obrony Narodowej	gen. M. Rola-Żymierski
Minister Spraw Wewnętrznych	J. Maślanka
Minister Bezp. Publicznego	S. Radkiewicz
Minister Finansów	K. Dąbrowski
Minister Sprawiedliwości	E. Zalewski
Minister Roln. i Ref. Roln.	E. Bertold
Minister Robót Publ.	W. Trojanowski
Minister Informacji	S. Matuszewski

Ogłaszając ukonstytuowanie się nowego rządu, Przewodniczący Krajowej Rady Narodowej, Bolesław Bierut, powiedział: „Wszystkie nasze nadzieje opieramy na wierze w trwałość koalicji trzech Wielkich Potęg.“

Londyn, 20 stycznia 1945 r.

„Daily Express“ omawia w poniższy sposób przyszłe wschodnie granice Polski:

„Polska będzie wolna, silna i niepodległa. To jest jej prawo uznane przez Stalina i przez Narody Zjednoczone.

Jednakże Rosjanie, którzy wyrzucając Niemców przelewają obecnie swoją krew — chcą mieć na zachodniej granicy pomocnego i życzliwego sąsiada.

Żądanie przez nich takiej granicy zachodniej, którą mogliby obronić — jest w pełni usprawiedliwione przez historię. „Spalona ziemia“ (The scorched-earth policy) nie może być dłużej pierwszą linią obrony Rosji i zgadza się z tym wielu polskich patriotów. Jednakże są i inni polscy patrioci — w Londynie i w Nowym Jorku — ślepi i nie uznający potrzeb swego sąsiada, któremu zawdzięczają oswobodzenie swojego kraju.

Niech oni ponownie tę sprawę przemyślą. Linia Curzona nie była granicą dowolną. To była granica słuszna i praktyczna.

Niezależnie od motywów kierujących nimi, Polacy, którzy odrzucają obecnie Linie Curzona, nie przysługują się swojej Ojczyźnie.“

(„Daily Express“ z dnia 18. I. 1945 r.)

Londyn, 26 stycznia 1945 r.

Korespondent „News Chronicle“ opisuje swoje wrażenia z Warszawy. W części reportażu zatytułowanej „My byliśmy oszukani“ — pisze:

„Kiedy spotykamy dzisiaj w ruinach Warszawy ludzi odzianych w worki i podobnych do szkieletów — wiemy, że są to byli jeńcy obozu w Pruszkowie.

Ale nawet oni są uśmiechnięci, ponieważ Warszawa jest wolna.

Rozmawiałem z nimi i nie usłyszałem ani jednego dobrego słowa w stosunku do generała Bora. Przeklinają go i potępiają za powstanie.

Jeden z nich, były oficer armii powstańczej, powiedział mi:

— My byliśmy oszukani!

Kiedy dowiedział się ode mnie o decyzji prezydenta Raczkiewicza i premiera Arciszewskiego odznaczenia generała Bora najwyższym polskim orderem wojskowym za jego «zwycięskie działania» — roześmiał się myśląc, że żartuję. Gdy jednak potwierdziłem swoją informację — spojrzał na mnie zdumiony i powiedział:

— Zwariowali! (They must be crazy).“
(„News Chronicle“ z dnia 26. I. 1945 r.)

London, 28 stycznia 1945 r.

Kwatera Główna Wojsk Alianckich zakomunikowała, że podczas niemieckiej kontrofensywy w Ardenach dostało się w ręce wroga 500 000 galonów benzyny, lecz że ilość ta stanowiła mniej niż jeden procent paliwa zmagazynowanego w strefie przyfrontowej.

Przeliczmy te krótkie dane na litry: 1 galon — około 4 litrów, pół miliona galonów — 2 000 000 litrów. Ponieważ owe dwa miliony stanowiło około jeden procent zapasów, a więc ilość paliwa w strefie przyfrontowej wynosiła około dwustu milionów litrów, to jest ilość, która dla naszej „zmotoryzowanej“ Ojczyzny wystarczyłaby chyba na dziesięć lat. Ilość, przygotowana na jeden tylko fragment działań wojennych na jednym tylko odcinku, jednego tylko frontu...!

Teraz staje się jasne, dlaczego nasze przedwojenne dywizje „pancerne“ pędzone były owsem i siewką. Tu dziez — sianem.

Albo takie bombardowanie lotnicze! Tanie jak

barszcz, 5 000 ton bomb dziennie à 10 złotych polskich kilogram — 50 000 000 złotych dziennie. Będziemy w przyszłości bombardować ile wlezie... cegłami.

Londyn, 10 lutego 1945 r.

Armia Czerwona w ofensywie na wszystkich frontach. Alianci wkraczają na terytorium Niemiec. Koniec wojny zbliża się szybko.

A oto kilka aktualnych wiadomości:

W dniu 3 marca mają być zarejestrowane w Niemczech wszystkie świnie i drób. Co do drobiu — oczywiście, ale co do świń, praca zbyteczna: są przecież aktualne spisy ewidencyjne ludności.

Doktor Schuster, niemiecki minister propagandy: „Potworny huragan szaleje nad Rzeszą. Zgasł ogień w kominkach i uleciało ciepło z naszych siedzib.“

Nie wiem, czy minister Schuster powiedział to w radio, czy zaśpiewał. Jeżeli zaśpiewał, to na pewno na nutę „Kominiek zgasł“. Zełgał zresztą, jak zawsze: za każdym razem, a więc codziennie, padają na miasta niemieckie setki tysięcy bomb zapalających, wytwarzających temperaturę przekraczającą 3 000 stopni. Każda, oczywiście. Mowy o tym nie ma, żeby kominiek zgasł i uleciało ciepło.

Generał Guderian: „Żołnierze, pamiętajcie, kto jest teraz za wami. Idźcie na nieprzyjaciela. Idźcie na niego. Naprzód!“

Tenże generał: „Żołnierze, wykąpcie swoje konie w Sekwanie“.

Jakiś generał amerykański: „Żołnierze, wykąpcie swoje konie w Szprewie.“

Suchy: „Waśka, jedziemy wykąpać się w Wiśle“.

Doktor Robert Ley, dyrektor „Kraft durch Freude“: „O ile wytrzymamy nerwowo — poddanie się jest nie do pomyślenia.“

Statek doktora Roberta Leya „Kraft durch Freude“ (10 000 ton), został zatopiony na Bałtyku. Doktor

Robert Ley nie wytrzymał nerwowo i jakoby zwariował.

Milion niemieckich rodzin nie ma żadnych wiadomości o swoich dzieciach.

Goebels: „Dochodzi godzina 12. Wskazówki zegara historii nie są jeszcze zdecydowane, czy zbliżyć się do niebezpiecznego punktu, czy oddalić się od niego. Obie możliwości są aktualne i wybór jednej z nich zależy od ludzi Kontynentu. Gra idzie o życie lub śmierć Niemiec. Mógłby ktoś pomyśleć, że narody Europy tak nienawidzą i boją się bolszewizmu, iż udzielą pomocy Rzeszy Niemieckiej. Tak nie jest — Niemcy są samotne i opuszczone przez wszystkich“.

„Daily Mail“ z dnia 2 lutego w notatce „Polowanie na masażystę“ podaje, że władze alianckie starają się wyśledzić masażystę Himmlera, niejakiego Feliksa Kerstena, który wyjechał do Szwecji i gdzieś się tam ukrył.

Strach pomyśleć, co się może stać, gdy masażysty nie znajdą! Przeżywamy przecież tak okropne i denerwujące chwile: kontrofensywa niemiecka w Ardenach, wzmożona działalność Luftwaffe i okrętów podwodnych, groźby jakiejś nowej, tajemniczej broni, która jakoby Londyn w perzynę ma obrócić. I tego jeszcze brakowało, żeby masażysta uciekł! To straszne! A może masażysta jest już w Anglii? Może chodzi między nami?

Suchy jest zdenerwowany w najwyższym stopniu.

— Chodziłem za jakimś typem przez kilka godzin. Byłem pewny, że to jest ten masażysta, ale okazało się później, że to nie masażysta, tylko liliput.

— Przecież liliput też może być masażystą — powiedziałem. — Krępy był?

— Krępy.

— No wździsz!

— O rany!

Przez cztery lata wojny zginęły na Wyspie 54 572 osoby cywilne, 76 799 było ciężko rannych.

W związku z sytuacją, jaka wytworzyła się po ogłoszeniu nowego rządu w Lublinie (istnienie starego w Londynie oraz znikoma nadzieja na współpracę między obydwoma rządami lub na ich fuzję) — prasa angielska szuka wyjścia z tego impasu.

Między innymi proponuje utworzenie w Polsce, na wzór Grecji i Jugosławii, trzyosobowej „regencji“ w składzie: arcybiskup ksiązę Sapieha, Wincenty Witos i Bolesław Bierut.

Do Liverpoolu przybył statek amerykański i przewiózł 24 000 ton pilników, młotków, obciążników i świderków.

„Po co nam tyle świderków?“ — zapytuje „News Chronicle“ i odpowiada: „Wszystkiemu winien Churchill. Cztery lata temu przemawiając przez radio do Ameryki, powiedział: «Give us the tools and we will finish the job» (Dajcie nam narzędzia, a my skończymy robotę.) Ma teraz świderki.“

Londyn, 28 lutego 1945 r.

Ponieważ w prasie amerykańskiej ukazały się nieprawdziwe, jakoby, wiadomości o wielkich stratach, jakie w drodze do Rosji poniósł w lipcu 1942 roku konwój statków handlowych eskortowany przez Brytyjską Marynarkę Wojenną oraz że konwój ów został przez eskortujące go okręty wojenne opuszczony — Admiralicja ogłosiła w dniu 26 lutego komunikat o losach tego konwoju.

Ponieważ komunikat ten podaje bardzo ciekawe szczegóły oraz ujawnia nie znany na ogół fakt wysyłania sprzętu wojennego do Rosji północną drogą morską — przytaczam go w całości:

Konwój liczył trzydzieści pięć statków handlowych i eskortowany był przez jedenaście korwet, poławiaczy min, trawlerów oraz przez dwa okręty przeciwlotnicze.

Eskorta dodatkowa, pod dowództwem komandora Broome na HMS „Keppel“, składała się z sześciu kontrtorpedowców.

Poza tym, gdy konwój znajdował się na północny-wschód od Islandii — I Eskadra Krążowników pod dowództwem admirała Hamiltona na HMS „London“ płynęła w stronę konwoju celem wzmocnienia jego ochrony bezpośrednio.

W tym mniej więcej czasie wywiad lotniczy stwierdził, że niemiecki okręt liniowy „Admiral von Tirpitz“, krążownik „Admiral Hipper“ oraz eskadra kontrtorpedowców — opuściły swoją bazę w Trondhjem. Ponieważ przypuszczano, że okręty te zamierzają zaatakować konwój — inna eskadra marynarki brytyjskiej pod dowództwem admirała J. C. Tovey'a na HMS „Duke of York“ skierowała się na północ od Anglii.

Jakiś czas konwój płynął spokojnie, aż któregoś dnia ujrzano nieprzyjacielski samolot, który zaczął towarzyszyć płynącym statkom. Niedługo potem stwierdzono w pobliżu konwoju dużą ilość niemieckich okrętów podwodnych. Przypuściły one jeden atak, a po jego odparciu nie oddaliły się, lecz płynęły z konwojem w bezpiecznej dla siebie odległości.

Tymczasem I Eskadra Krążowników, w oczekiwaniu ataku ciężkich jednostek nieprzyjacielskich, płynęła kursem równoległym do konwoju w odległości około 40 mil od niego.

Tego samego wieczoru konwój został po raz pierwszy zaatakowany z powietrza. Obeszło się jednakże bez strat. Stracono do morza jeden nieprzyjacielski samolot bombowy.

Jednocześnie nadeszły wiadomości, że „Admiral von Tirpitz“ i „Admiral Hipper“ zmieniły kierunek i płyną w stronę North Cape — co wskazywało, iż atak tych ciężkich jednostek na konwój jest niewątpliwy. Wobec tego I Eskadra Krążowników również zmieniła kurs i płynęła pełną szybkością, aby zająć odpowiednie stanowisko.

W tych okolicznościach było oczywiste, że sytuacja taktyczna dawała pełne szanse nieprzyjacielowi, a trwający bez przerwy polarny dzień umożliwiał mu ciągle działanie tak z powietrza, jak i z morza. Poza tym bliskość terytoriów okupowanych pozwalała Niemcom wykorzystać pomoc lotnictwa lądowego i dużej ilości okrętów podwodnych.

Taka była sytuacja, gdy nieprzyjaciel rozpoczął pierwszy atak na dużą skalę.

Dwie fale torpedujących bombowców zbliżyły się do konwoju. Jedna nadleciała z przodu, druga fala z tyłu statków. Bombowce przyjęte zostały ogniem artyleryjskim i ogniem ciężkich karabinów maszynowych. Cztery z nich strącono do morza, jednakże pięć statków z konwoju zatono, trafionych torpedami.

Później, gdy konwój znalazł się na północ od North Cape i ataku nieprzyjacielskich okrętów należało oczekiwać lada chwila — konwój otrzymał rozkaz rozsypania się (to scatter), a sześć torpedowców połączyło się z I Eskadrą Krążowników celem utworzenia zgrupowania bojowego, które mogłoby stawić czoła „Admirałowi von Tirpitz“ i „Admirałowi Hipper“.

Minęły 24 godziny, lecz atak okrętów nawodnych nie nastąpił. Jest niewątpliwe, że zrezygnowanie z szyku zwartego i rozsypanie się konwoju było powodem braku akcji ze strony ciężkich jednostek niemieckich.

Drobne, rozsypane na dużej przestrzeni grupy statków z konwoju płynęły teraz, każda oddzielnie, w stronę portów rosyjskich. Wiele z nich było po drodze atakowanych przez okręty podwodne i samoloty, których dalszych dziewięć strącono, a wiele uszkodzono.

W okresie tym zatono dalszych dziewiętnaście statków handlowych.

W zakończeniu komunikatu Admiralicja podaje, że konwój, o którym mowa, był ze wszystkich konwojów najbardziej atakowany oraz że w przeciągu ostat-

nich 42 miesiące Rosja otrzymała nie mniej niż 91,6% materiałów wojennych skierowanych do niej Północną Drogą Morską.

Mnie osobiście komunikat powyższy nie bardzo przekonuje. Chyba Amerykanie mają rację: strata dwudziestu czterech statków z trzydziestu czterech — to strata olbrzymia. Czy nie byłaby ona niewspółmierne mniejsza, gdyby się konwój nie rozsypał i płynął do celu w szyku zwartym, chroniony przez I Eskadrę Krążowników i sześć kontrtorpedowców, a więc przez siłę zdolną do walki z dwoma niemieckimi „Admiralami“?

W ochronie konwojów płynących do Rosji Północną Drogą Morską brały również udział okręty Polskiej Marynarki Wojennej. Jakżeby inaczej?

Londyn, 14 marca 1945 r.

Goebels zapowiada nową ofensywę niemiecką na froncie wschodnim, w rezultacie której Związek Sowiecki ma być bezlitośnie zniszczony.

Oto wyjątki z jego przemówienia:

„...Nie mogliśmy spojrzeć w oczy naszym przodkom, gdybyśmy odrzucili broń i poddali się.

...Niech nikt nie mówi, że nie mamy szans. Jeżeli każde miasto stanie się fortecą, a każdy dom warownią — nie tylko zatrzymamy nieprzyjaciela, ale odrzucimy go i zniszczymy.

...Führer jest głęboko przekonany, że opanujemy obecny kryzys i wroga pobijemy.

...Dotychczas prowadziliśmy wojnę „fair”, stosując się do obowiązujących praw. Postępowanie przeciwne byłoby sprzeczne z naszą naturą,

...(obecnie jednak...) nie ma żadnych nadziei, aby żołnierz niemiecki, który przejdzie na wschodzie do ataku, wiedział, co oznacza słowo «litość».

...Naprzód! — krzyczy storturowana dusza narodu niemieckiego“.

Londyn, 31 marca 1945 r.

W roku 1941, w czasie gdy palił się Londyn, gdy wszystkie prawie większe miasta i porty angielskie — Glasgow, Southport, Liverpool, Newcastle, Manchester, Coventry — ginęły pod bombami Luftwaffe, gdy ilość zabitych i rannych mieszkańców Wyspy sięgała już dziesiątków tysięcy — wtedy jedna z gazet londyńskich rozpisała ankietę „Czy przycisnąłbyś czerwony guzik?“

„Masz na biurku przycisk elektryczny z czerwonym guzikiem. Jeżeli go przyciśniesz, to w tym samym momencie wszyscy Niemcy zginą. Czy go przyciśniesz?“ Tak brzmiało jedno tylko pytanie ankiety.

Około dziewięćdziesięciu procent odpowiedzi brzmiało: „Nie, nie przycisnę.“

Pamiętam, że ankietę tę i jej wynik omawialiśmy z kolegami i doszliśmy do zgodnego wniosku, że wszyscy bez wyjątku Polacy przycisnęliby ów guzik ochoczo. Jeden tylko Suchy powiedział, że nie przycisnąłby guzika.

— Nie, ja nie.

— Co z tobą, Suchutki — choryś?

— Nie. A duży on jest?

— Kto?

— No, guzik.

— Chyba nieduży, taki, wiesz, jak u dzwonka.

— Nie, nie przycisnąłbym go, boby mi się łapy tak z radości trzęsły, że nie trafiłbym w niego, cholera!

Kilka dni temu jeden z posłów zapytał w Parlamencie ministra Edena: „Jeżeli żołnierz brytyjski zobaczy Hitlera, to czy obowiązkiem jego będzie zastrzelić go, czy wziąć Führera do niewoli?“

Na pytanie to minister Eden odpowiedział: „Z przyjemnością pozostawiłbym tę sprawę do decyzji owego żołnierza.“

Odpowiedź ta stała się okazją do rozpisania nowej ankiety tym razem pod tytułem: „Co zrobilibyś z Hitlerem?”

Ankieta taką ogłosił „Evening Standard” i pierwsze odpowiedzi drukuje w dniu dzisiejszym (Nr 37 610 z dnia 31.3.45 r.):

„Hitler i jego banda powinni być osadzeni, tutaj albo w Ameryce, w obozie koncentracyjnym zbudowanym i zorganizowanym dokładnie na wzór typowego niemieckiego obozu koncentracyjnego na Kontynencie” (L. Trier, West Hill, Putney, S. W. 15)

„Największe upokorzenie, jakie spotkało Niemców w ciągu wieków, miało miejsce w roku 1077, kiedy to król Henryk IV czynił pokutę w zamku Canossa. Gdy zapytacie jakiegokolwiek Niemca, co jest symbolem największego wstydu jego rasy — odpowie jednym słowem: Canossa.

Bismarcka dumne słowa: «Nach Canossa gehen wir nicht!» (Nie pójdziemy do Canossy) odrzucające pokutę jako coś obraźliwego, stały się hasłem każdego Niemca, maltretującego i poniżającego wszystkich — aroganta.

Każcie Hitlerowi w hańbie i wstydzie czynić swoją pokutę. To uzmysłowi całemu narodowi niemieckiemu jego znikczemnienie i upodlenie, a w rezultacie wypleni z korzeniem wszelką gloryfikację Hitlera jako mistyka, cierpiącego za swój naród.” (N. H. Martin, porucznik. Vincents-drive, Dorking).

„Szubienica? — to byłoby zbyt dobrze dla Hitlera. Ja pokazywałbym go w Luna Parku, a miliony osiągnięte za bilety wejścia przeznaczyłbym na ulgi podatkowe.” (H. Buckmaster. Strathrey, Frinton-on-Sea.)

„Przeznaczcie Berchtesgaden na przytułek dla biednych i wynędzniałych Żydów, a Hitlera zaangażujcie na stanowisko posługacza w klozecie.” (J. H. Kittow, Montpelier-street, S. W. I.)

„Hitler jako dowódca naczelny armii i marynarki, podlega prawom wojennym. Kiedy Niemcy poddadzą się Narodom Zjednoczonym — pierwszym żądaniem powinno być natychmiastowe wydanie Hitlera celem postawienia go przed sądem złożonym z dowódców alianckich. Rozstrzelany powinien być o zmierzchu następnego dnia po wyroku.

Jego zbrodnie popełnione przeciw większej części świata są tak ogólnie znane, że dłuższy przewód sądowy jest zupełnie zbyteczny. Proponowana przeze mnie procedura oszczędzi całe lata chytrych krętałów obrońców i umożliwi wymierzenie sprawiedliwości natychmiast po zwycięstwie, a nie z zimną krwią po latach albo... nigdy.“ (Chas. A. H. Franklyn, M. D. Wickham Hill House. Hassocks. Sussex.)

„Dajcie go Polakom — to będzie prawdziwa honorowa satysfakcja!“ (Eileen Cholmeley. Danvers-street, Chelsea.)

„Ponieważ Hitler był zdumiewającą osobowością, poddajcie go badaniom psychologicznym. Jego narodowe i międzynarodowe zbrodnie są potworne. Niech najmądrzejszy duchowny zmusi go, jeżeli to możliwe, do skruchy.

Powieście go w Anglii. Przeprowadźcie — dla dobra nauki — pośmiertne badania mózgu i gruczołów.“ (Elisabeth J. Cooper. St. Georges-drive, S.W.I.)

„Sugestie wyrażone przez Edena i innych mówców, dopuszczające zgładzenie Hitlera przez żołnierzy, którzy go złapią, wydają mi się i nieodpowiedzialne, i niepożądane. Fakt taki stałby się niewątpliwie przyczyną powstania legendy, że był on «męczennikiem» lub «świętym».

Sąd nad Hitlerem i jego egzekucja powinny mieć bezwzględnie formę legalną“. (S. T. England. Gipsy-hill, Uper Nordwood, S. E.)

„Ponieważ Anglia jest krajem chrześcijańskim, Hitler powinien umrzeć w sposób chrześcijański (in a Christian-like fashion), a nie w nieludzki i okrutny sposób japoński (not in the unhuman and savage style of the Japanese).

Przed śmiercią powinno mu się pokazać całe zło, jakie wyrządził światu, i wtedy dopiero oddać go jego losowi. To byłaby prawdziwa brytyjska sprawiedliwość.“ (Christopher Wheeler. Portman Mansions, W. I.)

— A ty, Suchy, co byś z Hitlerem zrobił? — zapytałem swego przyjaciela celem uzupełnienia ankietowych odpowiedzi.

— Ja? Ja bym go, drania, wykończył właśnie w stylu japońskim, nie tak, jak chce pan Wheeler.

— To znaczy, że nieludzko i okrutnie?

— Nie, u mnie po japońsku to w mordę i harakiri. Aby prędko i nie babrać się z tym świństwem.

Londyn, 27 kwietnia 1945 r.

Dzisiaj dopiero ogłoszono urzędowe dane o wynikach bombardowania Londynu przez rakiety V-2.

W przeciągu siedmiu miesięcy upadło na Anglię 1 050 rakiet, zabijając 2 754 ludzi i ciężko raniąc 6 523. Jedna V-2 zabijała przeciętnie 2,7 ludzi, raniąc 6.

Nie wszystkie rakiety osiągnęły Londyn, niektóre były zbyt „krótkie“ i rozerwały się nad hrabstwami Essex, Hertford i Kent. Kilkadziesiąt V-2, spadających z szybkością większą niż głos, z wysokości 65 mil, a więc ze 100 przeszło kilometrów — po spotkaniu się z atmosferą ziemską rozgrzało się tak bardzo, że wybuchło ponad ziemią.

Pierwsza V-2 upadła w dniu 8 września 1944 roku na Chiswick (zachodnie przedmieście Londynu) i zburzyła 8 domów, zabijając lub raniąc 12 osób. Ostatnia V-2 upadła na Orpington w hrabstwie Kent w dniu 27 marca, zabijając jedną osobę i ciężko raniąc 23.

W szczytowym dniu „rakietowej ofensywy“, rozerwało się nad Londynem 17 rakiet.

W pięciu tylko wypadkach były liczne ofiary:

New Cross — rakiet spadła w dzielnicy handlowej, zabijając 160 ludzi, raniąc 108.

Stepney — trafiony został duży blok mieszkalny. 134 zabitych, 49 rannych.

Smithfield Market — bazar w godzinach porannych. 110 zabitych, 123 rannych.

Deptford — dzielnica mieszkaniowa. 52 zabitych i 32 rannych.

Islington — ulica Mackenzie. 68 zabitych, 99 rannych.

W jednym tylko wypadku rakiet spadła na ziemię (w ogrodzie między domami) i nie rozerwała się. Jednakże „trzęsienie ziemi“ spowodowane uderzeniem wystarczyło do uszkodzenia czterech domów. (Dane z „The Daily Telegraph and Morning Post“ z dnia 27. 4. 1945 r.)

Gdyby inwazja kontynentu spóźniła się o miesiąc — nie odbyłaby się wcale...

Londyn, 28 kwietnia 1945 r.

Żeby nie te baby... ale, od początku.

Oddział policji wojskowej z Trzeciej Amerykańskiej Armii generała Pattona patrolował wieczorem ulice miasteczka Merkers, 25 mil od Gothy. Godzina policyjna minęła już dawno i ulice wydawały się puste. Naraz...

— E! zwei Frauen, co tutaj robicie?

— My, właśnie, panie sierżancie, wracamy od sąsiadki.

— Jest już po godzinie policyjnej! Marsz do areztu!

— Oj! złociutki, niech pan nas puści...

— Nie ma złociutki, Frauen zaraz iść z nami!

— Oj! złociutki, jak pan nas puści, to my panu coś powiemy...

Dzięki informacjom uzyskanym od owych dwóch Niemek, zatrzymanych po godzinie policyjnej, znaleziono w pobliskiej kopalni soli ukryty w głębokich na 700 jardów sztolniach — niemiecki skarb:

100 ton złota w sztabach,
750 000 000 funtów w markach niemieckich,
1 500 000 dolarów amerykańskich,
110 000 funtów szterlingów,
100 000 000 franków francuskich,
4 000 000 koron norweskich oraz

wiele bezcennych dzieł sztuki zrabowanych przez Niemców w krajach okupowanych.

Skarbu tego pilnował doktor Fritz Vieck i dwóch urzędników Banku Rzeszy.

A wszystko przez to, że baby poszły na plotki.

Londyn, 30 kwietnia 1945 r.

Benito Mussolini, od dwudziestu dwu lat dyktator Włoch, inspirator Hitlera, „Żaba z Błot Pontyjskich“, która Cezarom chciała dorównać, „Il Duce — przeznaczenie i szczęście Italii“, ten, co w 1939 roku powiedział: „Zadowolony jestem, że sprawa polska została rozwiązana“ — wisi teraz głową na dół na rusztowaniu ustawionym na Piazza Loreto w Mediolanie.

Ostatni rozdział historii tego dyktatora rozpoczął się dnia 25 kwietnia, kiedy wezwano go do pałacu kardynała Schustera, arcybiskupa Mediolanu, na „konferencję“ z generałem Cadorna, dowódcą wojsk powstańczych, z marszałkiem Graziani, dowódcą wojsk faszystowskich i z generałem Wittinghofem, dowódcą wojsk niemieckich we Włoszech.

Kazano mu pół godziny czekać w antyszambrze. Czekał spokojnie z miną — jak mówią świadkowie —

uniżoną i podłą. Wreszcie, gdy go wezwano, zapytał — jaki jest cel konferencji. „Omówienie bezwarunkowego poddania się“ — brzmiała odpowiedź.

— Przypuszczałem, że będziemy rokować...

— Nie ma mowy o żadnych rokowaniach — przerwał generał Cadorna. — Bezwarunkowe poddanie się zostało już przyjęte przez Niemców.

Na to Graziani interweniował z furją, że jest to kwestia honoru, lecz Mussolini krzyknął, że jeżeli Niemcy ponownie złamali swoje słowo, to on nie uważa się już za związanego jakimikolwiek umowami.

— Niemcy zawsze traktowali Włochów jak niewolników! — wrzeszczał. — My mamy tego już dosyć!

Nastąpiła przerwa w „rokowaniach“, lecz Duce nie opuszczał siedziby arcybiskupa.

O godzinie 7,30 tego samego wieczoru poinformowano Mussoliniego, że generał Wittinghof poddał się już i że oczekiwana jest natychmiastowa odpowiedź od niego. Mussolini nie odpowiedział nic i opuścił pałac w stanie wielkiego podniecenia, wraz z Grazianim i z dwoma księżmi.

Następna wiadomość o Benicie nadeszła od szwajcarskiego urzędnika kolejowego, który jakoby widział go rano dnia 27 przejeżdżającego przez Cornobio nad jeziorem Como. Duce jechał w zamkniętym samochodzie w środku niemieckiej kolumny pancernej. Pomimo że na mundur faszystowski włożył niemiecki płaszcz wojskowy — poznać go było łatwo.

O godzinie 10 rano Mussolini wraz z Niemcami próbował przekroczyć granicę Szwajcarii, ale bez sukcesu.

W Nusso rozpoznany został przez urzędnika celnego, który zawiadomił o tym telefonicznie oddział powstańczy w Dongo.

Przy aresztowaniu Mussolini nie stawiał oporu. Noc z 27 na 28 spędził w celi nr 6 więzienia San Domino w miejscowości Como. Był bardzo zdenerwowany

i przerażony. Próbował rozmawiać ze strażą więzienną i skarżył się, że nie ma nikogo, kto by go bronił.

Na drugi dzień, to jest w sobotę dnia 28, przetransportowano go do małego miasteczka Galiano di Mezzegere w pobliżu jeziora Como. Spotkał się tam z Clarettą Petacci i trzydziestoma faszystowskimi dygnitarzami, których aresztowano wcześniej.

Sąd odbył się błyskawicznie. Nie pomogły błagania i obietnice Mussoliniego: „Ocalcie mi życie, a dam wam imperium!“

Wyrok śmierci wykonano strzałem w tył głowy. Umarł jak tchórz, wrzeszcząc: „Nie, nie, nie!“

Zwłoki Mussoliniego, Petacci i owych starszych rangą faszystów, przewieziono samochodami ciężarowymi do Mediolanu, porzucono na placu Loreto i oddano na pastwę tłumów.

Według relacji korespondenta „Daily Mail“ Challinora James'a („Daily Mail“ nr 15 283 z dnia 30.4.45 r.) — odbywają się tam dantejskie sceny.

Do wiszących głową na dół trupów tłum strzela, pluje na nie, rozrywa na kawałki...

O, słoneczna Italio, kolebko kultury i chrześcijaństwa, ojczyzno sztuki i piękna, kraju, gdzie świętością jest dziecko, a modlitwą — piosenka...!

London, 1 maja 1945 r.

To już koniec. Do Berlina wkracza Armia Czerwona. Na froncie zachodnim Niemcy poddają się masowo. Zdobyto Magdeburg, Lipsk, Regensburg, Augsburg, przekroczono Elbę...

Poddanie się Niemiec oczekiwane jest w ciągu najbliższych godzin. Hitler jakoby otruł się czy zastrześlił w podziemiach Kancelarii Rzeszy. Razem z Goebelsem, który dziesięć dni temu z okazji pięćdziesiątej szóstej rocznicy urodzin Führera taką oto wygłosił mowę:

„Wszystkie siły nienawiści i zniszczenia uderzają obecnie — zapewne po raz ostatni — na nasze fronty.

Nigdy przedtem, naród niemiecki nie znajdował się w tak straszliwym niebezpieczeństwie.

Przez dwadzieścia przeszło lat stałem u boku Führera i stoję nadal w tym momencie, kiedy przeznaczenie postawiło jego i cały naród niemiecki przed okrutną próbą, lecz która w rezultacie — jestem tego pewny — ozdobi Führera i wszystkich Niemców laurowymi wiencami zwycięstwa!

I znowu dziękujemy Panu Bogu, jak już nie raz dziękowaliśmy, że w chwilach tak okropnych i tak przełomowych dał nam prawdziwego Wodza.

Czy to jest możliwe, żeby taki naród jak nasz po sześciu latach ciężkiej walki mógł tak siebie poniżyć i upodlić, żeby w tym oszałamiającym momencie sprzedać za łyżkę soczewicy swoje prawa do przyszłego istnienia?

Ta próba będzie naszą próbą ostatnią. Wojna już się kończy. Szaleństwo wroga osiągnęło swój szczyt. Przewrotne przymierze zbrojczyców — plutokracji z bolszewizmem — rozlatuje się. Szef wrażego spisku — Roosevelt — został przez los złamany, przez ten sam los, który 20 sierpnia zachował naszego zacnego i prawego Führera w zdrowiu, żeby mógł wypełnić do końca to, co przeznaczenie mu nakazało.

Gdy wojna się skończy, Rzesza Niemiecka zakwitnie tak, jak nigdy przedtem, a cała Europa podzieli nasze szczęście.

Będziemy znowu w szczerzej przyjaźni ze wszystkimi narodami dobrej woli. We współpracy z nimi залечymy głębokie rany, które tak zniekształciły szlachetne oblicze naszego Kontynentu.

Inne narody połączą się z nami w tej konstruktywnej pracy, nie dlatego, że będą zmuszone, lecz ze swojej wolnej, dobrej woli.

Nikt inny, tylko nasz Führer może tę wspólną dla nas wszystkich drogę wytyczyć, albowiem on tylko jest

i będzie rozkazodawcą.“ („The Star“ z dnia 19 kwietnia 1945 r.)

Heil! — łza się w oku kręci...

Londyn, 16 maja. 1945 r.

W jednym z państwowych archiwów w Północnych Włoszech znaleziono ostatni list Hitlera do Mussoliniego. List datowany jest dnia 27 grudnia 1944 roku.

Hitler z goryczą wymawia w nim Mussoliniemu zaatakowanie Grecji i pisze, że byłoby lepiej, gdyby zamiast tej bałkańskiej kampanii wojska niemieckie i włoskie zdobyły Gibraltar.

Tę część listu Mussolini zakreślił i dopisał taką uwagę:

„Gdyby Włochy zamiast atakować w 1941 roku Grecję, rozwiązały wspólnie z Niemcami problem hiszpański — obecna wojna miałaby przebieg zupełnie inny.“

Hitler zapewnia dalej Mussoliniego, że wojska niemieckie mogły wówczas łatwo zająć Gibraltar, co w przyszłości uniemożliwiłoby Aliantom lądowanie w Północnej Afryce. Poza tym Hitler twierdzi, że generał Franco zgadzał się początkowo na okupację Gibraltarów przez Niemców, jednakże gdy kampania grecka przybrała zły obrót, a Anglicy odnieśli pierwsze sukcesy w Libii — zdanie swoje zmienił i cofnął obietnicę pomocy.

Powiadając Mussoliniego, że w 1944 roku Luftwaffe przechodziła poważny kryzys, dodaje:

„Jeżeli nadal walczyć będziemy z takim samym fanatycznym uporem — możemy jeszcze uzyskać nadając się do przyjęcia i honorowy pokój.“

W końcu listu Hitler wyraża zadowolenie z poprawy zdrowia Mussoliniego i pisze, że „jest to najlepsza gwarancja przyszłości Italii“.

Gibraltar i porty półwyspu Pirenejskiego — baza-
mi niemieckich okrętów podwodnych.

Hiszpania — w stanie wojny z Anglią.

Ameryka — ubrana w kimona.

Związek Sowiecki — kuchnia.

Wielka Brytania — klops.

Francja — cinéma-cochon nur für Deutsche. Hajtla!

Że tak się nie stało, zawdzięczamy Il Duce. Kre-
tyn był nielichy, ale że nie usłuchał rad Hitlera i rzu-
cił się na Grecję — niech mu się spokojnie teraz wisi.

Londyn, 24 maja 1945 r.

Niemiecki „rząd“ admirała Doenitza został w dniu
wczorajszym aresztowany w swojej siedzibie, we Flens-
burgu.

Okoliczności tej tragikomedii, były następujące:

Godzina 10.

Doenitz wezwany został na pokład okrętu „Patria“,
gdzie generał brytyjski Lowell W. Rooks i jeden z ge-
nerałów sowieckich powiadomili go w kilku słowach,
że jego rząd jest aresztowany.

W tym samym czasie dwa bataliony piechoty (Ches-
hires i Herdfordshires) oraz dwa dywizjony huzarów
z 15 i 19 pułku wkroczyły do siedziby aresztowanego
rządu.

Godzina 10,15.

Wzdłuż korytarzy Niemieckiej Kwatery Głównej
ustawili się twarzami do ściany i z podniesionymi do
góry rękami — oficerowie, żołnierze i pracownicy cy-
wilni. Za nimi żołnierze angielscy z bagnietami na ka-
rabinach.

Jednocześnie rozpoczęto przenoszenie do krytych
samochodów — radioaparatów, poufnych dokumentów
i rzeczy osobistych aresztowanych.

Specjalnie troskliwie pilnowano generała Jodla
i ubranego w śliczny niebieski tużurek Eryka Ostrow-
skiego, sekretarza admirała Bruecknera.

Godzina 10,30.

Generał Jodl, w pełnym mundurze generalskim, z monoklem i we wspaniałym, czarnym skórzanym płaszczu oraz twarzowych kanarkowych sztylpach — z dumnie zadartą głową, zszedł wolno i dostojnie po ośmiu schodkach (cóż za nieocenioną wartość będzie miał mój pamiętnik dla przyszłych historyków!) do hallu i spojrział pogardliwie na skierowane ku niemu obiektywy aparatów fotograficznych.

Gdy dano mu znać, że ma iść do samochodu, skłonił się z lekka w stronę swojego rozczochranego sztabu, po czym, co krok to godniej i co krok to wyżej zadzierając głowę, skierował się ku wyjściu.

Godzina 11.

Ulicami Flensburga przemaszerował oddział niemieckiej marynarki „still singing“ — śpiewając znaną pieśń „Maszerujemy przeciwko Anglii“ (Wir fahren gegen England). Eskortujący ich Tommys zataczali się ze śmiechu.

Godzina 11,15.

Admirał Friedeburg, uzyskawszy zezwolenie na zabranie paru zapomnianych rzeczy, zamknął się w łazience i zażył cjanku potasu. Po kilku sekundach — nie żył.

Godzina 11,30.

Na prośbę korespondentów wojennych przyprowadzono do pokoju prasy Doenitza, Jodla i Speera.

— Czy może nam pan powiedzieć, gdzie obecnie znajduje się Himmler? — zapytał Doenitza jeden z korespondentów.

— Nie powiem ani jednego słowa — odpowiedział nowy Führer.

— A może pan nam powie, panie reichsministrze Speer?

— Nic nie powiem.

— No, to może pan, panie generale? — próbował niezrażony korespondent, zwracając się do Jodla.

— Jestem jeńcem wojennym. Oprócz swego nazwiska i stopnia mam prawo nie mówić nic — odpowiedział Jodl, wyprostowując się na całą swoją wysokość.

— A więc proszę — uparł się korespondent.

— Jestem generał-pułkownik Alfred Jodl, szef sztabu Wehrmachtu — brzmiała krótka odpowiedź.

Jestem przekonany, że gdyby Polacy lub Rosjanie zadawali pytania owym dostojnikom — odpowiadałoby na wszystkie. I to bardzo szybko.

Londyn, 16 lipca 1945 r.

Sok z grape-fruitów i łosoś z rusztu przestały działać. Śnią mi się już prawie bez przerwy te cholerne chabry i płaczące wierzby.

Dzisiaj, o godzinie 2 w nocy, napisałem do swojego przełożonego, pułkownika L., meldunek. Taki:

Londyn, 15 lipca 1945 r.

Komendant Bazy Sił Powietrznych
RAF Station Lindholm Lodge

Melduję Panu Pułkownikowi, że postanowiłem podporządkować się legalnemu Rządowi Rzeczypospolitej oraz Naczelnemu Dowództwu Wojsk Polskich w Warszawie.

Decyzję swoją powziąłem w przekonaniu, że spełniam swój obowiązek obywatelski, bowiem tylko wracając do Ojczyzny i pracując tam z całych sił na jakimkolwiek polu — będę mógł przyczynić się do Jej odbudowy.

Zdając sobie sprawę, że powrót ludzi dobrej woli, będąc konieczny, jest zarazem pilny — uważam czekanie na „koniunkturę“ i na jakoweś gwarancje osobistego bezpieczeństwa za dowód nieczystego sumienia i pospolitego strachu, bądź, w najłagodniejszym wypadku, za brak trzeźwego sądu o rzeczywistości.

Okoliczność, że nie kierują mną żadne względy

natury materialnej — czego nie potrzebuję zresztą dowodzić — utwierdza mnie tym bardziej w słuszności i prawości mojej decyzji, którą, jestem pewny, zrozumie również Pan Pułkownik, bowiem znam gorący Jego patriotyzm.

ZYGMUNT WASILEWSKI
major

Londyn, 1 września 1945 r.

Atmosfera staje się coraz bardziej ciężka. Dowództwo nasze stara się wszystkimi sposobami wstrzymać żołnierzy od powzięcia decyzji powrotu. Przekonuje przemawiając do honoru i powołując się na przysięgę i sztandar, obiecuje, grozi i prosi, a nade wszystko — straszy. Nic nie pomaga — większość żołnierzy powróci.

Myślę, że tylko bardzo nieliczni z tych, co postanowili zostać, to ludzie o zdecydowanych poglądach politycznych. Reszta — to pracownicy dwójki, starszycy — tak zwani kościani dziadkowie, którym obiecano zaopatrzenie, poza tym żołnierze pożenieni z Angielkami, a których dzieci mówią już tylko po angielsku, oraz — w znakomitej większości — ludzie kierujący się wyłącznie względami materialnymi i ci, którzy ulegli propagandzie strachu.

Propaganda ta nie przebiera w środkach. Twierdzi, że na tych, co powrócą, czekają już lochy NKWD, a w najlepszym razie czeka ich zesłanie na Syberię i śmierć w obozach koncentracyjnych. Propagandzie takiej nie mogą uwierzyć i nie wierzą ludzie uczciwi i niewinni, ludzie normalnie rozumni i inteligentni.

Jestem tak głęboko przekonany o konieczności powrotu żołnierzy do Kraju, do zgliszcz i ruin Ojczyzny, że nie mogłem ograniczyć się tylko do własnej decyzji

i pozostać bierny. Podpisałem, wraz z innymi kolegami, wezwanie do żołnierzy lotnictwa, aby wracali.

Ojczyznę ma się tylko jedną. Jakakolwiek by Ona była — jest tylko jedna. Skrwawiona i spalona. Biedna i głodna. A zima się zbliża...

Londyn, 1 grudnia 1945 r.

List otwarty do generała M. Iżyckiego

Panie Generale, niedawno na jednej ze stacji lotniczych przemawiał Pan do żołnierzy i apelując, aby do Ojczyzny nie wracali, zakończył Pan przemowę okrzykiem:

Niech żyje Najjaśniejsza Rzeczpospolita!

Tak Pan przemowę zakończył, pomimo że zdawał Pan sobie sprawę, iż okrzyk: Niech zginie Rzeczpospolita! przemowy tej mógłby być jedynym logicznym zakończeniem.

Panie Generale! przecież wie Pan, że przemiany społeczne i ustrojowe, jakie zaszły w Polsce, mają charakter stały. Że skutki ich nie dla nas co prawda, lecz dla naszych dzieci będą dobre, że w Ojczyźnie naszej będzie lepiej niż było, że zapanuje tam spokój i dobrobyt.

Wie Pan również, Panie Generale, że Ojczyzna nasza dźwiga się z grobu, że słaba jest jeszcze bardzo, że cud to prawdziwy, iż żyje!

Wie Pan przecież, że w biednym naszym kraju brak rąk do pracy, brak fachowców, brak inteligencji, że fabryk nie ma kim obsadzić, że nie ma w szpitalach doktorów, że ziemia stoi odłogiem — wie Pan o tym, Panie Generale, wie Pan dobrze, i... 15 tysiącom swoich podkomendnych, którzy walcząc obowiązek Polaków spełnili, 15 tysiącom ludzi dobrej woli, którzy chcą i mogliby pomóc Ojczyźnie, powrócić Pan zabrania? Dzieciom odbiera Pan ojców, których tak bardzo potrzebują! matkom — synów? Polsce, tej biednej i głodnej, odmawia Pan pomocy? Odbiera jej Pan obywateli? Przecież wie Pan, Panie Gene-

rale, że ci, co pozostaną tutaj teraz, pozostaną już na zawsze, bowiem starsi z nich umrą, ludzie w sile wieku pracować będą dla obcych, a młodzi i ich dzieci przestaną mówić po polsku!

Czy zdaje Pan sobie sprawę, Panie Generale, jaką straszną odpowiedzialność bierze Pan na swoje sumienie? Czy uprzytomnił Pan sobie ten fakt przeraźliwy, że wiele, bardzo wiele rodzin tych Pańskich podkomendnych, którzy nie wrócą do kraju teraz, nie przetrzyma nadchodzącej zimy? I że viceversa — powrót ich byłby i jest jedynym dla nich ratunkiem? Powrót ich bowiem to praca, to pożywienie i lekarstwa, to węgiel i ciepłe ubrania! To ich życie, Panie Generale! Życie tych nędzarzy-bohaterów!

Czy zdaje Pan sobie sprawę, Panie Generale, że tysiącom tragedii okropnych jest Pan w mocy zapobiec? Niechże im Pan zapobiegnie, Panie Generale. Niech Pan nie każe im wracać, niech Pan tylko wrócić im pozwoli.

Powrót ich to pomoc. Pomoc, której Polska tak bardzo przecież potrzebuje!

Do czego Pan dąży, Panie Generale? Czy pragnie Pan, aby trzecia wojna, tym razem robotów, przeszła przez naszą Ojczyznę? Wojna, która nie pozostawiłaby już za sobą ani śladu życia! Czy nie zdaje Pan sobie sprawy, że to właśnie Polska byłaby w pierwszej linii „frontu“? Atomem Pan grozi? Komu? Polsce? O! Panie Generale!

Okrucieństwo nie wypływa nigdy ani z bohaterstwa, ani z miłości i nie jest cechą Polaka. Cechą Polaka jest zdolność do ofiar, właśnie z bohaterstwa wpływających i z miłości.

W imię czego Pan tak czyni? W imię czego przystąpił Pan do ludzi szalonych czy złych? Do ludzi, którzy dopuścić nie chcą, aby w Ojczyźnie naszej nastał wreszcie spokój, aby żyła ona w przyjaźni z potężnym sąsiadem ze wschodu. W przyjaźni, którą

nakazuje nam historia i rozsądek, którą nakazuje nam słowiańskie pokrewieństwo, przyjaźni wreszcie, tej jedynej, którą nakazuje nam polska racja stanu. Przyjaźni, która dla Polski jest kwestią życia i śmierci!

Panie Generale! przecież Pan wie, że do przeszłości powrotu już nie ma i nie będzie! Że dziewięćdziesiąt procent polskiego społeczeństwa przeszłości tej nie żałuje, powrotu jej nie chce i powrócić jej nie pozwoli! Że z chwilą gdy narody Związku Sowieckiego wyciągnęły do nas rękę i ręka ta przez olbrzymią większość Polaków przyjęta została szczerze i z wiarą w jej prawość — z chwilą tą, Panie Generale, nastąpił zwrotny moment w dziejach Polski!

Z chwilą tą skończyły się szalone wyprawy na Moskwy, Smoleński i Kijowy i Polska stanęła nad Odrą, której nam już nikt i nigdy odebrać nie będzie mógł i nie będzie... śmiało! Z chwilą tą bowiem Polska po raz pierwszy w dziejach ma przyjaciół i to przyjaciół potężnych! Tak jest, Panie Generale, po raz pierwszy w dziejach!

Czy nie zastanawiał się Pan, Generale, że ciesząc się swego czasu zaufaniem wszystkich lotników zmuszony Pan był obecnie do stworzenia specjalnego komitetu, który by potrafił skłonić masy żołnierskie, aby obdarzały ponownie Pana Generała i Jego oficerów zaufaniem? Czy nie zastanawiał się Pan nad przyczynami utraty tego zaufania?

Czy nie myśli Pan Generał, że cofnąć zaufanie kazał żołnierzom ich zdrowy... instynkt? Wbrew tyloletniej propagandzie, wbrew rozkazom, wbrew prósbom!

Czy przypuszcza Pan Generał, aby ów komitet, do którego powołał Pan tajną policję, mógł poszczycić się sukcesem!

Nie, Panie Generale! nie tędy droga do żołnier-

skich serc, nie przez żandarmów się Pan tam dostanie! Ani nie przez Wydział Informacji i jego obecnego kierownika, karanego sędownie szmuglera walut.

Panie Generale! Niech Pan pozwoli żołnierzom swoim wrócić do Ojczyzny. Niech Pan im pomoże. Niech Pan nie będzie obojętny na ich i ich bliskich cierpienia.

Niech Pan przeprowadzi rewizję swoich poglądów, niech Pan zmieni swoje zapatrywania. Niech Pan nic nie żąda już od Polski — niech Pan Jej wszystko odda.

Nawet swoją ambicję.

Niech się Pan Generał takiego aktu nie wstydzi.
Dla Polski, Panie Generale!

Z. WASILEWSKI,
mjr lot.

Londyn, 12 grudnia 1945 r.

Ukazał się rozkaz treści następującej:

Dowództwo Sił Powietrznych.

D. S. P./01215/2/S. Sz.

Londyn, dnia 5 grudnia 1945 r.

w/g rozdzielnika

Poniżej podaję wytyczne ustosunkowania się żołnierzy P.S.P. do osób przebywających poza Polską z ramienia Władz Warszawskich oraz do tych żołnierzy P.S.P., którzy złożyli swe podpisy na ulotkach, wzywających do natychmiastowego powrotu do Kraju, nie bacząc na to, że Polska nie jest wolna.

Podkreślam, że nie ma różnic między nami tutaj a tymi Polakami, którzy w Kraju pracują dla dobra Polski. Zachodzi natomiast różnica między tymi spośród nas, którzy pozostają obecnie a tymi, którzy zgłosili chęć natychmiastowego powrotu. Wbrew bowiem orędziu Pana Prezydenta R. P. i wytycznym Naczelnego Wodza, wykazali oni mylne zrozumienie

przysięgi i regulaminów wojskowych i zwątpili w zwycięstwo sprawy, o którą dotąd w większości walczyli.

Nie może być żadnej wspólnoty między nami, a tymi, którzy ze względów oportunistycznych uznają okupację Polski za stan normalny.

Odnosnie osób, przebywających poza Polską z ramienia Władz Warszawskich, zarządzam:

- a) zabraniam nawiązywania z nimi stosunków oficjalnych i prowadzenia rozmów na tematy służbowe,
- b) zezwalam na kontaktowanie się z tymi osobami w charakterze czysto prywatnym, jeżeli są to starzy znajomi, natomiast gdyby w trakcie rozmów wysuwano propozycje dalszych kontaktów, należy odmawiać.

Należy pamiętać przy styczności z tymi osobami (dawni znajomi), że kontakt może być obserwowany i mylnie komentowany przez żołnierzy P.S.P. i może być powodem wprowadzenia rozłamów i powstania braku zaufania do przełożonych i kolegów.

Zabraniam wprowadzania tych osób na teren służbowy, jak i do kasyn, świetlic itd.

Odnosnie żołnierzy P.S.P., którzy podpisali ulotki, skierowane do żołnierzy P.S.P. a wzywające do podporządkowania się Rządowi Warszawskiemu:

Piętnuję ich akcję jako dążącą do wprowadzenia rozłamów w P.S.P., których całość stoi na straży przysięgi. Akcja ich tym bardziej zasługuje na napiętnowanie, że większość z nich, namawiając innych, sama do repatriacji się nie zgłosiła.

Uważam za nakaz moralny niekontaktowanie się z nimi, nawet jeśli byli przyjaciółmi.

Styczność z nimi, o ile są w P.A.F., winna ograniczyć się tylko do załatwienia przez ich bezpośrednich przełożonych spraw służbowych, związanych z ich stosunkiem służbowym do P.A.F.

Poniżej podaję nazwiska wyżej wymienionych
żołnierzy według stanu z dnia 3.12.45 r.

płk Pniewski, ppłk Madejski, mjr Wasilewski, mjr
Ścibor

D-ca Sił Powietrznych

M. IŻYCKI

Gen. bryg. pilot.

Pniewski, Madejski, Ścibor... Mogę być tylko dumny, że wraz z ich nazwiskami, z nazwiskami ludzi o tak kryształowych charakterach, ludzi prawych, zacnych i uczciwych, starych lotników cieszących się ogólną przyjaźnią i szacunkiem — znalazło się i moje nazwisko.

Szef sztabu i autor powyższego rozkazu, gdyby przewidział jego skutki, na pewno nie napisałby go wcale lub napisał zgoła inaczej: już na drugi dzień po ukazaniu się omawianego rozkazu, i zapewne tak będzie aż do chwili mojego wyjazdu, odwiedzać mnie zaczęło — wbrew rozkazowi! — dziesiątki przyjaciół i żołnierzy z innych rodzajów broni. Przychodzą nie tylko z prośbą o zabranie do Polski paczki, listu czy pieniędzy, ale przychodzą bez wyraźnego nawet powodu, po to tylko, aby życzyć mi szczęśliwej podróży i podać mi rękę, co szczerze zresztą przyznają.

Londyn, 20 grudnia 1945 r.

Na pokładzie „Princess Elizabeth”

Przed chwilą — godzina 21 — syrena grubym basem ryknęła trzy razy. Wciągnięto pomosty, dało się odczuć lekkie drganie i granitowy brzeg londyńskiego portu począł się wolno odsuwać od burty „Princessy“...

22 grudnia 1945 r.

Na pokładzie „Princess Elizabeth”

Godzinę temu minęliśmy latarnię morską na Roze-
wiu. Wyszliśmy wtedy wszyscy na pokład i w zupełnej
ciszy wypatrywaliśmy (była lekka mgła) sylwetki Gdy-

ni. Ukazała się wreszcie. Jakaś smutna i szara, jakaś cicha i bez życia... Bezwiednie zdjęliśmy nakrycia głowy.

Jeszcze tylko kilkanaście minut. Jeszcze kilka. Już!

Kamienny brzeg gdyńskiego portu przysuwał się coraz bliżej i bliżej do burty „Princessy“, aż wreszcie dotknął jej lekko...



NAZWISKA lotników, którzy zginęli pełniąc służbę w lotnictwie polskim przy RAF, a o których jest wzmianka w niniejszej książce:

kpt. Antonowicz	sierż. Księżyc
kpt. Arciuszkiewicz	por. Kuzian
sierż. Astromowicz	sierż. Laskos
por. Bernas	sierż. Łydka
sierż. Bocheński	sierż. Małczyński
sierż. Cupryk	kpt. Miarczyński
sierż. Danielewicz	sierż. Mońka
ppor. Dubas	por. Musiał
mjr Eberhardt	kpt. Nikonoff
mjr Florianowicz	sierż. Rudlicki
sierż. Gankowski	kpt. Rzepa
mjr Gawlikowski	por. Sadowski
płk Gosiewski	płk Skarzyński
por. Habela	sierż. Słoma
sierż. Halamun	ppor. Smolik
kpt. Hermanowski	por. Srzednicki
sierż. Horak	por. Sokołowski
por. Iliński	por. Stabrowski
por. Jakimowicz	kpt. Stefanicki
sierż. Januszkiewicz	por. Stępień
por. Jozepajt	kpt. Sukniewicz
kpt. Karczewski	sierż. Teodorko
mjr Kielich	sierż. Waškowiak
por. Klatt	sierż. Witkowski
sierż. Kocoń	sierż. Zemmler
kpt. Kryński	sierż. Zubała

SPIS TREŚCI

	str.
<i>Od Autora</i>	7
W Polsce	9
W Rumunii	23
W drodze do Francji	43
We Francji	63
W drodze do Anglii	97
W Anglii	113

Redaktor
Barbara Harassek

Redaktor techniczny
Krzysztof Olszewski

INSTYTUT WYDAWNICZY „PAX“
WARSZAWA 1958

Wydanie I. Nakład 20.000 + 350.
Format B6 spec. Ark. wyd. 14.
Ark. druk. 18,25. Druk ukończono
w kwietniu 1958 r. Pap. dzieł.
sat. kl. V 70 g 82×104/16 dost.
z fabryki pap. w Boruszowicach.

Zam. Nr 5638

A-57

Copyright by
Instytut Wydawniczy „PAX“
Printed in Poland by Szczeciń-
skie Zakłady Graficzne, Szczecin,
Al. Wojska Polskiego 128

Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka
w Gdańsku

26379



26379